Suche rzeki • Czy rząd ma plan? • Prof. Matczak o radykalnym centrum • AI kręci
Co to jest gastrofizyka • Ryczące Mazury • Krnąbrny Sasnal • Nowe prawa pasażerów

POLITYKA.PL

POLITYKA



© TOMASZ KUBIAK ARTSERVICE/FORUM

Skolim
król latino, benzyny i wędliny s. 74

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 34 (3578), 19.08–25.08.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 25.08.2026

eprasa.pl abonament

BOGOWIE ZA ŻYCIA



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl a53f7da89d



© GETTY IMAGES

24
Zmysłowa gastrofizyka

Tematy tygodnia

10 Andrzej Hołdys **Rzeki wysychają!**
13 Tomasz Sawczuk **Co piszczy w rządzie**

Polityka

16 Rozmowa z prof. **Marcinem Matczakiem** o tym, gdzie jest dzisiaj polityczne centrum i jak zwalczać skrajności
20 Rafał Kalukin **Silni wciąż razem – ile wytrzyma twardy elektorat Tuska?**

Społeczeństwo

24 Joanna Podgórska **Gastrofizyka: jak to się je**
28 Natalia Sawka **Skutery terroryzują jeziora**
31 Violetta Krasnowska **Niewinnie skazani?**
34 Magda Brzezińska **Głusi i niedosłyszący Polacy kontra ślepe państwo**
37 Agnieszka Sowa **Udręka zwierząt w parkach wodnych**

Rynek

40 Rozmowa z **Grzegorzem Kinelskim** o tym, jak polska energetyka radzi sobie z upałami
43 Cezary Kowanda **Jakie prawa ma teraz pasażer w samolocie**

Świat

46 **Evan Osnos** o tym, czego chcą najbogatsi Amerykanie
49 Marcin Piątek **FIFA i wielka kasa**
52 Jędrzej Winiecki WIELKA BRYTANIA **Kulisy kariery najmłodszego czarnoskórego profesora Cambridge**
54 Leon Pińczak UKRAINA **Kim jest Mychajło Drapaty, nowy dowódca ukraińskiej armii**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Rozmowa z dr **Kamilem Dreczkowskim** o tym, dlaczego AI potrafi napisać poemat, ale nie radzi sobie ze złożeniem koszulki
59 **Bill Markham** o tym, co żyje w naszych ogrodach
62 Andrzej Hołdys **Przeprawa Hannibala: co wiemy o legendarnym przemarszu przez Alpy**

Historia

64 Rozmowa z **Tomaszem Słomczyńskim** o dziejach Żuław i ich mieszkańców
67 Edwin Bendyk **35 lat niepodległej Ukrainy**

Kultura

74 Michał Klimko, Aleksandra Żelazińska **Skolim: polski Bad Bunny?**
78 Jakub Demiańczuk **Sztuczna inteligencja zmienia branżę filmową**
82 Rozmowa z **Wilhelmem Sasnalem** o twórczych aktywnościach i stosunku do polityki Izraela
91 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

86 Marcin Zaremba WSPOMNIENIE **Prof. Tomasz Szarota: po stronie prawdy**

Ludzie i style

94–97 • **Surrony atakują**
• **Słuchawki na kabel wracają**
• **Dla kogo mikroemerytura**
• POCZTÓWKA POLITYKI: **Czarnogóra: kwintesencja bałkańskości**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **70** Afisz • **87** Hartman
• **88** Sulej • **89** Chutnik i Plebanek
• **90** Orliński
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **92** Mizerski
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl a53f7da89d



Jaki pan ma plan?

Jerzy Baczyński

Nieubłaganie zbliża się koniec wakacji. Można już chyba powiedzieć, że tegorocznym królem tras koncertowych był Skolim, a tras politycznych Morawiecki. Skolim to kulturowo-biznesowy fenomen, jakiego Polska dawno nie widziała, i nawet jeśli się takiej muzyki nie słucha, warto przeczytać (s. 74) o tej niezwykłej, zaplanowanej niemal od dzieciństwa, karierze. Natomiast o Morawieckim, rozłamie w PiS i „wojnie 4 prawic" napisaliśmy już tyle, że na razie zostawiamy byłego premiera w objeździe po kraju i zaglądamy do koalicji rządowej, gdzie właśnie zdarzyła się sensacja. Chodzi o dymisję Macieja Berka, sprawującego dotychczas urząd o dziwacznej nazwie „ministra do spraw nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu", ale nazywanego też superministrem, pierwszym zastępcą Tuska, rządowym karbowym. Ten, w powszechnej opinii, znakomity urzędnik, prawnik, człowiek cienia ma być, jak ogłosił premier, kandydatem koalicji na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Ta propozycja (omawia ją Tomasz Sawczuk na s. 13) wywołała jednak głównie krytykę.

Można kpić z hipokryzji PiS, który wcześniej do Trybunału wysyłał swoich najbardziej usłużnych polityków, a teraz potępia „próby upolitycznienia Trybunału", ale i po demokratycznej stronie sporo było kwasu – Berek co prawda osobiście świetny, ale przecież koalicja 15 października obiecywała, że czynni politycy nie będą już trafiać do TK. (Ostro w tej sprawie wypowiada się m.in. prof. Marcin Matczak – rozmowa na s. 16). Pomysł Tuska znalazł poparcie głównie wśród przedstawicieli i wyrazicieli tzw. twardego elektoratu Platformy, który od dawna domagał się „większej stanowczości w usuwaniu pisowskich złogów" z instytucji państwa. A TK, pod kierunkiem Bogdana „Godzilli" Święczkowskiego, był najjaskrawszym przykładem politycznego serwilizmu na usługach „Nowogrodzkiej".

Wśród wyborców koalicji wrócił jednak spór między idealistami (nie należy walczyć z PiS i prawicą ich metodami) a pragmatykami (oni by się tak nie cackali – i nie będą, kiedy wrócą do władzy). Ale jednych i drugich połączyło pytanie: czy Tusk ma tu jakiś plan?

Premier często rzucał efektowne pomysły, ale się przy nich potem nie upierał. Jeśli jednak zdecydował się oddać swojego najbliższego współpracownika, to – należy domniemywać – zapewne powierza mu misję jeszcze ważniejszą niż organizowanie pracy rządu. Co by to miało być? Tusk nie zdradza, koalicjanci zdają się zaskoczeni. Pozostają więc spekulacje. Jeśli Maciej Berek rzeczywiście zostanie wybrany, to wraz z siódemką sędziów już powołanych do TK przez obecny Sejm „nowi" będą mieć arytmetyczną większość w Trybunale. A przy wsparciu kogoś ze starej ekipy wkrótce byłoby w Trybunale dość głosów, aby pozbawić immunitetu, a potem urzędu, Bogdana Święczkowskiego (o co od dawna wnioskuje prokuratura, m.in. z powodu niedopuszczania do pracy legalnie wybranych sędziów). Wtedy, zgodnie z prawem uchwalonym jeszcze przez PiS, funkcję prezesa objęłaby najstarsza sędziowskim stażem Anna Korwin-Piotrowska. Wraz z odejściem z TK tzw. sędziów-dublerów (ostatni w styczniu 2027 r.) Trybunał odzyskałby fundamentalną legalność, wrócił do orzekania, a rząd do publikacji jego orzeczeń. Taki scenariusz – niewolny od prawniczych pułapek – oznaczałby zasadniczą zmianę polityczną.

Trybunał – zapewne nieuznawany przez opozycję i prezydenta – mógłby zacząć usuwać wiele ustrojowych pozostałości z czasów rządów Zjednoczonej Prawicy. Chodzi tu np. o wyroki dotyczące samego TK, o neosędziów i nowe izby Sądu Najwyższego, o ustawy odesłane do TK przez prezydenta, może nawet o zmianę wyroku TK z 2020 r. zakazującego aborcji z przyczyn embriopatologicznych.

Odnowiony TK mógłby też temperować prezydenckie próby poszerzania własnych kompetencji, objawiające się m.in. odmowami wręczania nominacji ambasadorom, sędziom, profesorom, oficerom. Obecny TK wielokrotnie rozstrzygał na korzyść PiS prawdziwe lub domniemane spory kompetencyjne między organami państwa. Teraz ta broń mogłaby być odwrócona, wykorzystana dla odwojowania standardów konstytucyjnych – jeśli nie ustawami (bo weto), to wyrokami.

Być może to political fiction i żadna podobna taktyka nie jest szykowana, ale Tusk, uzasadniając decyzję o oddelegowaniu Berka do TK, mówił, że wobec blokad ustrojowych założonych przez dawną władzę i obecnego prezydenta „potrzeba zdecydowania i twardości". A Maciej Berek, jak rozumiem, miałby pełnić rolę łącznika między TK a legislaturą rządową i sejmową. Jeśli tak, to weszlibyśmy w etap faktów dokonanych, tym razem tworzonych przez rządową większość, ale też wzajemnego unieważniania się rządu i opozycji, coraz większej retorycznej radykalizacji sporu. Są podejrzenia, że Tuskowi o to też może chodzić. Rafał Kalukin pisze (s. 20), że nawet najwierniejsi wyborcy KO/PO są dziś rozczarowani jakością rządzenia, a przede wszystkim brakiem sprawczości w trzech podstawowych kwestiach: przywracania praworządności, rozliczania nadużyć PiS, liberalizacji aborcji. Odblokowanie TK mogłoby być ścieżką do odzyskania przez koalicję – także w tych obszarach – wiarygodności i wigoru, odnowienia kontraktu z października 2023 r., demonstracją siły. Wykorzystaniem szansy, jaką daje rozpad PiS. Czy to jest ten plan?

Prof. Matczak lansuje od pewnego czasu ideę klubów „radykalnego centrum", skupiających wyborców umiarkowanych, niechętnych brutalizacji politycznego sporu, ale gotowych bronić demokratycznych wartości. Ogólnie taka idea jest nam bliska; w POLITYCE, na długo przed prof. Matczakiem, półżartobliwie definiowaliśmy się jako „radykalnie umiarkowani", naiwni (zapewne) zwolennicy debaty, rozsądku, kompromisu, społecznego spokoju i tym podobnych anachronizmów. Wydaje mi się, że Tusk, próbując odblokować TK, i prof. Matczak, zakładając kluby „normalsów", myślą w sumie podobnie: demokracja musi szukać własnych silnych emocji i nowej energii. Musi nabrać radykalizmu. Bo ciepłe kluchy zostaną zjedzone.

eprasa.pl a53f7da89d

Albatros travel

Albatros 40 lat

Apulia

ukryty skarb południowych Włoch

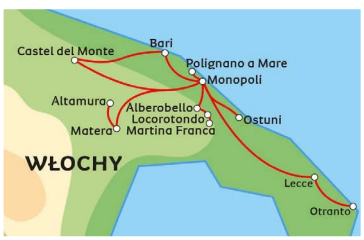
Zapraszamy do odkrycia regionów Apulia i Basilicata wpisanych na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, gdzie zamieszkamy w hotelu tuż przy plaży.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Neapol – Monopoli. Zakwaterowanie nad morzem. **Dz. 2** Alberobello, degustacja wina w Martina Franca i urokliwe Locorotondo. **Dz. 3** Bari i wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO Castel del Monte. **Dz. 4** Matera – skalne miasto z listy UNESCO i Altamura - miasto chleba. **Dz. 5** Ostuni – Białe Miasto. **Dz. 6** Lecce – „Florencja Południa" i malownicze Otranto. **Dz. 7** Monopoli i Polignano a Mare. **Dz. 8** Bari – Warszawa.

2 posiłki dziennie

8 dni
Wylot z Warszawy
05/05 2027

od **6.498,-**





Maroko i Hiszpania – śladami Maurów

Wspaniała architektura, historyczne miasta i zapierające dech w piersiach widoki podczas wycieczki po imperium Maurów z Maroka do Hiszpanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy i przelot do Lizbony. **Dz. 2** Wylot z Lizbony i przylot do Marrakeszu w Maroku. **Dz. 3** Marrakesz – zwiedzanie miasta, w tym minaret Kutubijji, Pałac Bahia oraz tętniący życiem plac Dżamaa al-Fina. **Dz. 4** Marrakesz – Essaouira. W stronę wybrzeża i zwiedzanie Essaouiry. **Dz. 5** Essaouira – Casablanca. Czas wolny i zwiedzanie Casablanki, w tym meczetu Hassana II. **Dz. 6** Casablanca – Tanger. Przejazd szybkim pociągiem do Tangeru i zwiedzanie miasta. **Dz. 7** Tanger – Chefchaouen – Tanger. Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Chefchaouen. **Dz. 8** Tanger – Algeciras – zwiedzanie Rondy – Malaga. **Dz. 9** Malaga — spacer po mieście i czas wolny. **Dz. 10** Malaga – Granada – Alhambra – Malaga. **Dz. 11** Malaga – Kordoba – Malaga. Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do Kordoby. Kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Malaga – Warszawa. Powrót do domu.

11-12 dni | Wyloty z Warszawy 01/11 2026, 06/03 2027 | od **9.998,-**



Ekwador – przygoda w Amazonii i rejs jachtem po Galapagos

Wyjątkowy rejs 16-osobowym jachtem po Galapagos, bujna przyroda Amazonii, wysokie Andy, Quito i rdzenne plemiona Indian.

Luksusowy rejs połączymy z wyjątkową wyprawą przyrodniczo-kulturoznawczą. W Ekwadorze odkryjemy kolonialne Quito, amazońską puszczę, indiańskie wioski oraz społeczność Otavalo, słynącą z rzemiosła. Następnie wyruszymy na 5-dniowy rejs luksusowym jachtem M/Y Solaris po Galapagos, spotykając endemiczne gatunki: żółwie słoniowe, uchatki, legwany, pingwiny, zięby Darwina i głuptaki. To podróż pełna niezwykłych spotkań z lokalną kulturą i przyrodą.



12 dni | Wyloty z Warszawy i Krakowa 17/11 2026, 21/09, 30/11 2027

od **30.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL31**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl a53f7da89d

Siłownia zamiast SAFE



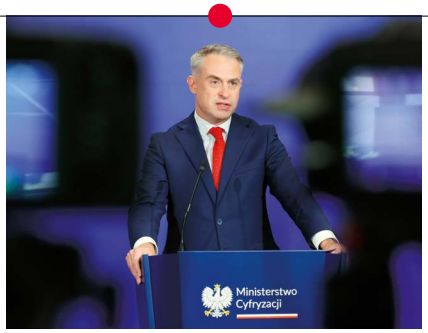
Niespełnione zostały nadzieje, że w dniu Wojska Polskiego i przy okazji rekordowej defilady najwyżsi rangą politycy będą mówić jednym głosem o obronności, zbrojeniach, sojuszach i wydatkach na wojsko. **Karola Nawrockiego** musiało kłuć w oczy nie tylko oficjalne hasło wydarzenia „#PolskaSAFE", ale też przyklejony do asfaltu przed trybuną honorową plakat, podkreślający znaczenie europejskich funduszy dla bezpieczeństwa Polski. Zwierzchnik sił zbrojnych przypuścił dwukrotny atak na program SAFE, z ciasnych okopów prawicowego suwerenizmu – dokładnie jak kilka miesięcy temu, gdy z szefem NBP Adamem Glapińskim przekonywał, że żadnych pożyczek na zbrojenia Polska nie potrzebuje.

Usłyszeliśmy więc, że bezpieczeństwa Polski nie wolno „zamykać w sejfie, do którego klucze są w innych stolicach Europy" i że na wojskowych sztandarach „od wieków wypisane jest: »Bóg, honor, Ojczyzna«, a nie SAFE". Zgrzytać zębami musieli awansowani kilka chwil wcześniej generałowie, z których kilku publicznie – tak jak wszyscy najważniejsi dowódcy – cieszyło się z przyspieszenia zakupów (po zagwarantowaniu na ten cel 180 mld zł). Odpór dał minister obrony, który skrót SAFE rozszyfrował jako: Sojusze, Armia, Fabryki i Europa. Władysław Kosiniak-Kamysz, przemawiając po prezydencie, z trudem ukrywał emocje. Powrót do konfrontacji o europejskie pieniądze na wojsko źle wróży wcześniejszym deklaracjom o konieczności wspólnego opracowania strategii bezpieczeństwa, reformie systemu dowodzenia czy kontynuacji zbrojeń – „zgodnie z planem poprzedników".

W swojej zapalczywości historyk Nawrocki zaliczył wpadki, gdy polskich żołnierzy przedstawiał jako obrońców Monte Cassino (wzgórza bronili Niemcy, Polacy je zdobywali) czy mówił o sztandarach, na których wspomniane przez prezydenta trzy słowa pojawiły się w czasie drugiej wojny światowej – a nie przed wiekami. Pewnie nie byłby sobą, gdyby nie zrównał szkoleń na poligonie i służby na granicy z ćwiczeniami na sali treningowej. Ale bardziej wymowne i złowróżbne było to, że przemówienie prezydenta przesycone było kultem narodowej siły: wielokrotnie wskazywał, że tylko silny, zdrowy i zjednoczony naród będzie w stanie się obronić „świadomy tego, czym jest Polska, dla kogo jest Polska, jaka jest Polska". Usłyszeliśmy, że generałowie muszą dorastać do odwagi narodu, a władze do jego ambicji. To był manifest militarnego nacjonalizmu i zapowiedź antyeuropejskiego kursu w nadchodzącej kampanii wyborczej.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Wielki wyciek



To był największy taki wyciek w polskiej historii: wskutek cyberataku na platformę MyDr wypłynęły wrażliwe dane aż 19 mln Polek i Polaków. Chodzi o numery PESEL, imiona i nazwiska, numery telefonów, adresy e-mail, recepty czy historię leczenia. Firma twierdzi, że najnowsze z danych pochodzą z 2024 r. Sprawę bada Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości, dochodzenie nadzoruje prokuratura. „Wiele wskazuje, że chodzi o próbę wyłudzenia okupu od tej firmy" – mówił premier Donald Tusk. Wykradzione dane można wykorzystać rozmaicie, np. do szantażu. Dlatego trzeba mieć się na baczności i zwracać uwagę np. na podejrzane maile i telefony.

MyDr dostarcza rozwiązania informatyczne ok. 12 tys. placówek medycznych, innymi słowy: odpowiada za oprogramowanie, dokumentację i zarządzanie pracą przychodni, gabinetów lekarskich, dentystycznych itd. MyDr działa na rynku od 2017 r. Za pośrednictwem firmy miesięcznie odbywa się ok. 3 mln wizyt i jest wystawianych ok. 2,7 mln recept. Sprawcom ułatwiło to zadanie – by dobrać się do danych, wystarczyło uderzyć w dostawcę, a nie setki pojedynczych placówek. Pacjent zwykle nawet nie wie, że jego dane są przetwarzane w chmurze MyDr. Ministerstwo Cyfryzacji wyjaśnia sprawę i „wdraża środki ostrożności". Prewencyjnie są wymieniane m.in. certyfikaty wykorzystywane do komunikacji z systemem P1, obsługującym e-recepty i e-skierowania. „Działamy z wyprzedzeniem, żeby dodatkowo zabezpieczyć system. Przypominam również o potrzebie zastrzeżenia numeru PESEL", oznajmił szef resortu **Krzysztof Gawkowski** na platformie X.

Portal Niebezpiecznik ma jeszcze jedną, radykalną radę: korzystać z danych tymczasowych, de facto fałszywych. „Jedynym pewnym sposobem na to, aby dane nie wyciekły, jest ich niepodawanie", mówi w filmiku instruktażowym redaktor naczelny serwisu Piotr Konieczny. Bo czy dentysta musi wiedzieć, gdzie mieszkamy? Jeśli wszędzie podajemy ten sam adres, mail i numer, to łatwo je potem powiązać i stworzyć nasz spójny profil.

Co dalej ze sprawą MyDr? „W scenariuszu katastroficznym włamywacze, nie doczekawszy się spodziewanych korzyści finansowych, w odruchu samobójczej rozpaczy postanowią wykradzione dane sprzedać. Kupi je ktoś, kto źle życzy Polsce, i zacznie się zabawa w analizowanie, kto jest w bazie i jakie tabletki przyjmował", pisze Adam Haertle, specjalista ds. bezpieczeństwa informatycznego, redaktor naczelny portalu Zaufana Trzecia Strona, który pierwszy ujawnił incydent z MyDr. W najlepszym scenariuszu sprawcy wystraszą się, odpuszczą albo zostaną namierzeni i przykładnie ukarani. Zdaniem ekspertów szczęśliwe zakończenie nie jest wcale nierealne. (AŻ)

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, PAP/PAWEŁ SUPERNAK, POLSKA HETERO/FACEBOOK

eprasa.pl a53f7da89d

Nie czas na popcorn



Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk; doradca prezydenta RP w latach 2010–15.

Politycy rządzącej koalicji pytani o ocenę rozłamu dokonanego w PiS przez Mateusza Morawieckiego odpowiadają najczęściej, że kupują popcorn i rozbawieni oglądają to widowisko. Najwyraźniej trwają w przekonaniu, że ten podział osłabia szanse prawicy na wygranie przyszłorocznych wyborów parlamentarnych. Czy aby na pewno mają rację?

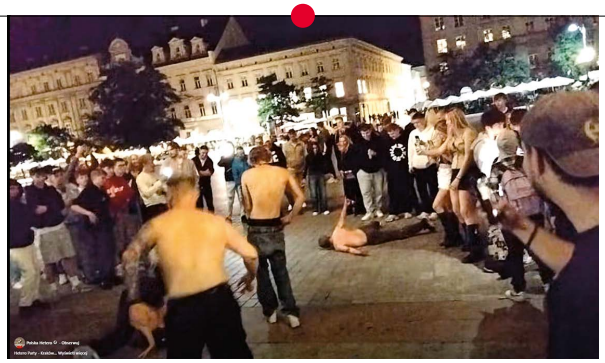
Obecna sytuacja nie przypomina przecież prawicowych waśni z pierwszej połowy lat 90., kiedy wzajemna rywalizacja w tym obozie liczyła się bardziej niż starcie z konkurentami politycznymi. Przypomnijmy, w wyborach z 1993 r. zacietrzewienie na prawicy było tak wielkie, że jej podzielone partie nie przekroczyły progu wyborczego, pozostawiając bez poselskiej reprezentacji aż 35 proc. głosujących. Stało się tak, bo nie było lidera, który potrafiłby opanować warcholstwo i zamęt. Obecnie też obserwujemy na prawicy erozję przywództwa. Wysuwa się ono ze słabnących rąk Jarosława Kaczyńskiego nawet w jego partii, która straciła pozycję hegemona i stała się zaledwie jednym z elementów prawicy, w sondażach mającym mniejsze poparcie niż obie konfederacje, Mentzena i Brauna, razem wzięte.

Kłopoty PiS-u i jego prezesa nie rzutują jednak na kondycję całego obozu, bo tworzy go dzisiaj kilka znaczących ugrupowań. Ma on też nowego lidera, o ironio losu, niebacznie wykreowanego w wyborach prezydenckich przez samego Kaczyńskiego. Karol Nawrocki dobrze pasuje do roli zjednoczyciela prawicy, tak jak on, coraz bardziej radykalnej i nacjonalistycznej. PiS nie może go szachować, jak Andrzeja Dudę, cofnięciem poparcia, bo stoją za nim rosnące w siłę konfederacje, którym już w wyborach prezydenckich był ideowo bliższy niż patronowi z Nowogrodzkiej. W tej sytuacji nie ma znaczenia, że sam Kaczyński nie myśli o abdykacji. Posiada coraz słabsze karty, a secesja Morawieckiego jest tego kolejnym dowodem. Prezes nie odzyska już dawnej mocy i w 2027 r. pozostanie mu tylko pogodzenie się z dominującą rolą Nawrockiego.

Dla obozu rządzącego nie jest to dobry scenariusz, bo łatwiej byłoby mu straszyć wyborców niepopularnym Kaczyńskim niż Nawrockim, przodującym w rankingach zaufania. Prezydenta wzmacnia też usamodzielnienie się Morawieckiego. Partia byłego premiera bez wątpienia przystąpi do zagospodarowania wyborców o umiarkowanych, centrowych poglądach. Nie ma ich zbyt wielu, ale to oni będą języczkiem u wagi, przełamującym widoczny w sondażach impas, spowodowany niewiele różniącym się poparciem dla koalicji 15 października i prawicy pod komendą Nawrockiego.

W tej sytuacji lekceważenie przez rządzącą koalicję Morawieckiego i jego partii to fatalny wybór. Nie czas na zajadanie się popcornem. Jeśli koalicja nie chce w 2027 r. stracić władzy, to musi odbudować swoją pozycję w centrum sceny politycznej. Reanimacja Polski 2050 pewnie już nie jest możliwa, ale wzmocnienie PSL staje się nakazem chwili, także dla odpowiadającego za całą koalicję premiera Tuska. Nie może on już dbać tylko o wynik własnej partii, bo bez centrowego koalicjanta pożegna się z władzą.

Zabawa w dyskryminację



Kraków stał się prawdopodobnie pierwszym w Polsce miastem, w którym odbywają się osobliwe, plenerowe dyskoteki o nazwie **„Hetero Party”**. W sieci można obejrzeć, jak w godzinach wieczornych (21.00–1.00) na krakowskim Rynku (nieopodal Wieży Ratuszowej) zbiera się grupa tańczących osób, a w tle widać banery z hasłami „Polska hetero” i „<3 heteroseksualizm”. Akcja jest nastawiona głównie na przypadkowych turystów, którzy na krakowskim rynku szukają darmowej rozrywki. I ją dostają.

„Dyrektorem ruchu Polska Hetero” – jak sam się określa – jest Tomasz Ziółkowski. Na jednym z nagrań mówi o swojej akcji: „Oni robią swoje, promują homoseksualizm, a my promujemy hetero (…). Chodzą po wszystkich miastach, robią parady (…) to tak, jakby klub jeden piłkarski wywiesił wszędzie flagi”. Ziółkowski uważa, że „prawa hetero” i „kultura hetero w Polsce” powinny być bardziej wspierane. Na pytania o to, jakich praw nie mają osoby heteroseksualne żyjące w Polsce, odpowiada, że „występów w TVN np.”. Ziółkowski idzie dalej. Pojawił się przed Małopolskim Urzędem Wojewódzkim oraz Urzędem Marszałkowskim w Krakowie z transparentami i komunikatami głoszącymi, że: „Ruszył Spis Gejów w polskiej policji”, co przypomina już homofobiczne nękanie.

Te wszystkie wydarzenia są oficjalnie zgłaszane do urzędu miasta jako publiczne zgromadzenia. Uchwała antyhałasowa zakazuje w całym Krakowie od godz. 22 do 6 rano „korzystania z urządzeń i instalacji emitujących hałas mogący negatywnie oddziaływać na środowisko, w szczególności z urządzeń nagłaśniających”, ale są od niej dwa wyjątki, m.in. zgromadzenia publiczne. Umiejętnie wykorzystuje je „dyrektor ruchu Polska Hetero”, zgłaszając swoje akcje do ratusza jako manifestacje polityczne/światopoglądowe polegające na „promowaniu kultury hetero”. Władze Krakowa przyznają, że zgłaszanie nocnych imprez tanecznych jako „zgromadzeń” to nadużycie przepisów, ale nie ich złamanie.

– *Imprezy Hetero Party, tak samo jak imprezy organizowane przez DJ-a Staszka* (antyukraińskie „wesela” koło słynnego Adasia – przyp. red.), *odbywają się w oparciu o ustawę Prawo o zgromadzeniach. Obydwa zgromadzenia mają na celu prowokację i poszukiwanie granic tej ustawy* – komentuje Maciej Ciemborowicz ze Stowarzyszenia Dobra Noc Kraków. I dodaje: – *Mamy nadzieję, że działania zarówno DJ-a Staszka, jak i Hetero Polska doprowadzą jak najszybciej do nowelizacji przepisów.* (AGSZCZ)

eprasa.pl a53f7da89d



Prezydent do czasu

Nowy prezydent Węgier, 73-letni **András Baka**, jest jednym z najbardziej znanych naddunajskich prawników, byłym sędzią Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (w latach 1991–2008) i przewodniczącym Sądu Najwyższego (2009–11). Należał do najgłośniejszych krytyków demontażu państwa prawa podczas rządów Viktora Orbána. Mimo to jego wybór zaskoczył Węgrów, którzy spodziewali się kolejnego kandydata w rodzaju światowej sławy szachistki Judit Polgár, wskazanej kilka tygodni temu przez premiera Pétera Magyara. Dopiero gdy Polgár odmówiła, posłowie rządzącej partii TISZA w tajnym głosowaniu w klubie poselskim wybrali Bakę. Trzy dni później, 11 sierpnia 2026 r., przegłosowali jego wybór w parlamencie.

TISZA dysponuje konstytucyjną większością dwóch trzecich głosów. Dzięki temu już w lipcu posłowie wprowadzili do konstytucji poprawkę umożliwiającą skrócenie kadencji Tamása Sulyoka, ostatniego z czworga prezydentów z nadania Fideszu.

W wyborze Baki na urząd głowy państwa można się doszukać zamierzonej symboliki. Przed 15 laty ówczesny prezes Sądu Najwyższego skrytykował forsowaną przez rząd Orbána reformę sądownictwa, w tym pomysł obniżenia wieku emerytalnego sędziów z 70. do 62. roku życia. Z dnia na dzień stał się osobistym wrogiem premiera, choć stronił od polityki. Przed 1989 r. był wykładowcą uniwersyteckim, a podczas pierwszych wolnych wyborów w 1990 r. został wprawdzie posłem z listy centroprawicowego Węgierskiego Forum Demokratycznego, ale wkrótce złożył mandat i kolejne niemal dwie dekady spędził w Strasburgu.

W konstytucji napisanej w 2011 r. pod dyktando Orbána Sąd Najwyższy zastąpiła instytucja o nazwie Kúria. Jednocześnie wprowadzono zapis, że jej członkami mogą być sędziowie z co najmniej pięcioletnią praktyką w węgierskich sądach. Baka, który nie spełniał tego warunku, został bezprawnie usunięty ze stanowiska. Tak orzekł w 2014 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka. I z tego tytułu zasądził na rzecz powoda 100 tys. euro tytułem odszkodowania i zwrotu kosztów procesu.

Baka będzie prezydentem tylko do czasu uchwalenia nowej konstytucji, czyli najdalej do 2028 r. Zapowiedział, że podczas swojej krótkiej kadencji chce przywrócić szacunek należny głowie państwa po 16 latach sprawowania tego urzędu przez „marionetki Orbána". Tym samym dał do zrozumienia, że nie będzie niczyją marionetką, ale w ramach obowiązującej wciąż orbanowskiej konstytucji prezydent nie ma wiele do powiedzenia. Być może się to zmieni, jeśli zgodnie z zapowiedziami jego następcę Węgrzy wybiorą w wyborach powszechnych.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

Symbol i ofiara



Jason Arday, najmłodszy czarnoskóry profesor w 800-letniej historii uniwersytetu w Cambridge, został znaleziony martwy w swoim londyńskim mieszkaniu. Policja wstępnie wykluczyła udział osób trzecich. Kilka dni wcześniej zrezygnował ze stanowiska po zarzutach o plagiat i ubarwienie biografii (od niemówiącego, opóźnionego w rozwoju chłopca – do sławnego specjalisty w dziedzinie socjologii edukacji). Burmistrz Londynu Sadiq Khan uznał, że 41-latek został publicznie upokorzony i padł ofiarą prześladowań na niedopuszczalną skalę. Premier Andy Burnham, mówiąc o „tragedii na wielu poziomach", zaapelował o chwilę refleksji. O tyle potrzebnej, że Arday zogniskował szereg brytyjskich sporów (piszemy o nich na s. 52, tekst poszedł do druku przed informacją o śmierci wykładowcy).

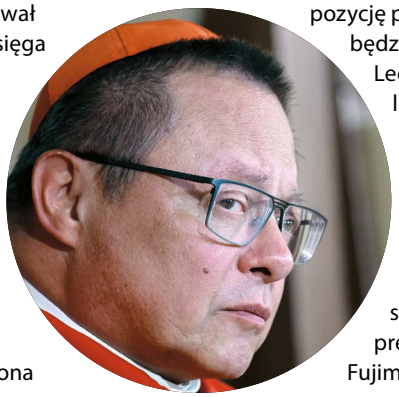
Uczelnia deklaruje, że otoczyła byłego pracownika troskliwą opieką i wszczęła wewnętrzne postępowanie, mające wyjaśnić okoliczności przyjęcia młodego profesora. Nie ucieknie bowiem od odpowiedzi na pytania o obniżenie progu dla kogoś, kto nie miał wystarczających kwalifikacji, w tym wymaganego dorobku badawczego, i nie zdążył jeszcze wypromować doktorantów. Uczynienie z Ardaya bardziej celebryty niż badacza było zaproszeniem dla przeciwników polityki wyrównywania szans, progresywnych zmian i otwartego społeczeństwa. Stąd tym, czego w porę nie zrobił m.in. uniwersytet, zainteresował się naukowiec o poglądach ewidentnie rasistowskich i skonfliktowany z Cambridge. Publikację podchwyciła i nagłośniła prawa strona, zwracając uwagę na trajektorię niezwykłej kariery Ardaya.

Do jej sprawdzania przystąpili dziennikarze, którzy wcześniej też się zgapili, widząc w wykładowcy przede wszystkim uroczego rozmówcę. Na tyle atrakcyjnego, wrażliwego i naznaczonego licznymi przezwyciężonymi trudami, że również prasa nie zdecydowała się podać ich w wątpliwość. Arday był symbolem wysiłków na rzecz różnorodności w akademii, nadal zdominowanej przez białych mężczyzn, którzy w licznych przypadkach nie ponosili konsekwencji za znacznie poważniejsze nieprawidłowości, z plagiatami i molestowaniem włącznie. I gdyby nie kolor skóry, twierdzą mu przychylni, nadal by żył, a jego pracy i osiągnięć nie poddano by tak surowej ocenie. JW

eprasa.pl a53f7da89d

Finanse z Marxem i Rysiem





Nieprzejrzystość watykańskich finansów to rzecz znana. A mówimy o setkach milionów euro z nieruchomości, lokat i darowizn. Agencja Reutera podała, że rok 2025 Watykan zamknął wynikiem blisko 2,7 mld euro, jeśli chodzi o sumaryczną wartość aktywów. Mimo że Bank Watykański wykazał operacyjny deficyt w wysokości 44–60 mln euro, to budżet państwa miasta odnotował w 2024 r. skromną nadwyżkę ok. 1,6 mln. Watykan sięga po wypróbowane instrumenty – globalne zbiórki funduszy i kampanie nastawione na pozyskiwanie donacji w internecie. Od 2014 r. z inicjatywy papieża Franciszka działają Sekretariat i Rada ds. Ekonomii, ciała odrębne, lecz współpracujące na polu uporządkowania gospodarki finansowej papiestwa. Jest co porządkować, usprawniać i reformować. Brak przejrzystości z jednej strony służy interesom części watykańskiej korporacji, ale z drugiej naraża ją na katastrofalne błędy inwestycyjne i skandale wizerunkowe. Przykładem nietrafiona inwestycja w londyńską nieruchomość pod nadzorem kard. Angelo Becciu, skazanego za to trzy lata temu w pierwszej instancji na pięć i pół roku więzienia.

Papież Leon XIV właśnie odświeżył skład Rady ds. Ekonomii. Przedłużył mandat kard. **Reinharda Marxa** jako jej szefa na kolejne pięć lat, powołał nowych członków, w tym kard. **Grzegorza Rysia**, i fachowców świeckich, jak zastępczyni Marxa, prawniczka prof. Charlotte Kreuter-Kirchof. Miły miks dżenderowy. Nominacja wzmacnia pozycję polskiego hierarchy w Kurii Rzymskiej, którą będzie teraz nadzorować pod kątem finansowym. Leon ostrożnie, acz konsekwentnie kontynuuje linię Franciszka nie tylko na polu watykańskich finansów. Zachował kard. Marxa, choć koła ultrakatolickie nie znoszą go za „progresizm". Wyróżnia się podejmowaniem tematu sztucznej inteligencji. W listopadzie wybiera się z wizytą do Ameryki Południowej, gdzie rosną wpływy trumpizmu. W tym do Peru, gdzie spędził z przerwami 20 lat, a ostatnie wybory prezydenckie wygrała córka osławionego Alberta Fujimoriego. Warto będzie śledzić. ASZ

Ja wysiadam!



Sekret nie uchował się długo. Po lipcowym szczycie NATO w Ankarze **Donald Trump** wsiadł do udającego się do Londynu Boeinga 747 Air Force One, ale tuż przed startem potajemnie przesiadł się do furgonetki z żywnością, która przewiozła go do wojskowego transportowca C-32A i tym samolotem poleciał do brytyjskiej stolicy. Jak wyjaśnił Biały Dom, zmyłkowy manewr był wynikiem ostrzeżenia wywiadu, że prezydenckiemu samolotowi grozi niebezpieczeństwo, więc Secret Service zarządziło zmianę przewoźnika. Nieoficjalnie podano, że Iran planował zestrzelenie Jumbo Jeta rakietą ziemia–powietrze.

Informacje o zagrożeniu pochodziły z CIA, NSA i od służb tureckich. O ich wiarygodności miał zaświadczać fakt, że Irańczycy wiedzieli nie tylko, w jakim hotelu Trump mieszka w Ankarze, lecz nawet na którym piętrze. Turcja sąsiaduje z Iranem, a ten od dawna się odgraża, że zamorduje prezydenta, więc służby nie mogły zlekceważyć ostrzeżenia. Jednak historia z zamianą samolotów wywołała niezbyt pochlebne dla Trumpa komentarze. Do wojskowego C-32A prezydent zabrał tylko szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha i trójkę młodych doradców. W Air Force One, który poleciał do Londynu, pozostali inni członkowie delegacji Stanów Zjednoczonych, w tym sekretarz stanu Marco Rubio, sekretarz skarbu Scott Bessent i towarzyszący im przedstawiciele mediów.

Można było oczekiwać, że Trump nie zostawi współpracowników i dziennikarzy w zagrożonym samolocie. Można też sobie wyobrazić prezydenta, który nie zgodzi się na fortel i uzna, że planowany przez Teheran „zamach" to blef, bo taki akt terroru wywołałby druzgocący odwet Ameryki. Ale USA nie mają innego prezydenta…

W sieci roi się teraz od memów z Trumpem ukrytym w kontenerze na prowiant. I z sugestiami, że wysiadł z Air Force One, by bezpieczniej flirtować z atrakcyjną młodą blondynką Natalie Harp, jedną z trojga asystentów, których zabrał do małego samolotu. Prezydent i jego przyboczni plączą się w wyjaśnieniach, twierdząc nawet, że zagrożenia nie było. Przeczy temu choćby fakt, że Trump wciąż często używa starego Air Force One zamiast otrzymanego od Kataru nowego Boeinga 747, który jest mniej bezpieczny.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

© JANOS KUMMER/GETTY IMAGES, REX/EAST NEWS, ALESSANDRA TARANTINO/AP/EAST NEWS, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER, WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

eprasa.pl a53f7da89d



Europejskie rzeki wysychają. Naukowcy podkreślają, że suszę hydrologiczną na kontynencie wywołuje nie tylko brak deszczu, lecz także coraz silniejsze parowanie związane z rosnącą temperaturą.

ANDRZEJ HOŁDYS

Rzeki sięgają dna

Ren, Dunaj, Łaba, Pad, Loara, Wisła i wiele innych europejskich rzek ma wyjątkowo niskie przepływy, miejscami zbliżające się do historycznych minimów. W wielu regionach Europy rzeki prowadzą dziś tak mało wody, że barki muszą ograniczać ładunek lub całkowicie rezygnować z rejsów, elektrownie mają poważne problemy z chłodzeniem reaktorów, a rolnicy z nawadnianiem upraw. Także w Polsce kolejne fale upałów, długie okresy bez opadów i bardzo silne parowanie sprawiły, że przepływy wielu rzek spadły do rekordowo niskich poziomów. Według europejskiego monitoringu suszy trudna sytuacja objęła większość kontynentu.

Najbardziej spektakularnym symbolem kryzysu jest Ren. Na początku sierpnia w Lobith przy granicy niemiecko-holenderskiej płynęło nim niewiele ponad 600 m sześc. wody na sekundę, ok. 20 proc. mniej niż podczas rekordowej dotychczas suszy z lata 2022 r. Poziom wody na wielu odcinkach zbliżył się do najniższych wartości od rozpoczęcia pomiarów w 1880 r. Dunaj jest równie wymownym przykładem: rekordowo niski stan wody zmusił Węgry do ograniczenia produkcji elektrowni Paks, a Rumunia wyłączyła ostatni pracujący reaktor w Cernavodă z powodu niewystarczającej ilości wody chłodzącej. We Włoszech w dolinie Padu słona woda z Adriatyku wdziera się coraz dalej w głąb lądu, zagrażając polom uprawnym. We Francji sytuacja również stała się bezprecedensowa. W 92 departamentach

© HESHAM ELSHERIF/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH

eprasa.pl a53f7da89d



Tyle zostało z Renu w Düsseldorfie.
Poniżej: **Wisła pod Warszawą nie wygląda lepiej.**

wprowadzono ograniczenia zużycia wody, kilkadziesiąt tysięcy osób doświadczyło już przerw w jej dostawach, a zaopatrzenie kolejnych 550 tys. mieszkańców uznano za zagrożone.

Niewidzialna pompa

To jednak tylko najbardziej widoczne skutki. Prawdziwy dramat – przekonują naukowcy – rozgrywa się w glebie i atmosferze. Jeszcze do niedawna suszę tłumaczono przede wszystkim niedoborem opadów. Opublikowana pod koniec lipca analiza międzynarodowego zespołu naukowego World Weather Attribution pokazuje jednak, że taki obraz staje się niepełny. Zachodnia część Europy miała przecież stosunkowo wilgotny początek roku, a mimo to już na początku lata znalazła się w objęciach ekstremalnej suszy.

Na wschodzie i w centrum Europy problem zaczął się wcześniej i miał nieco inny przebieg. W obu przypadkach wspólnym mianownikiem okazały się jednak coraz wyższe temperatury i związane z nimi silne parowanie.

Mechanizm jest zaskakująco prosty. Im cieplejsze staje się powietrze, tym większe jest jego „pragnienie". Dominik Schumacher z ETH Zürich, współautor analizy, porównuje rozgrzaną atmosferę do niewidzialnej pompy, która coraz intensywniej wysysa wodę z gleb, roślin, jezior i rzek.

Zimowe deszcze

Spośród wszystkich zagrożeń klimatycznych dla mieszkańców Europy, w tym Polski, najgorsze mogą okazać się właśnie susze. W przeciwieństwie do powodzi i wichur, które są niczym ostra infekcja, przypominają one raczej chroniczny stan zapalny, który powoli, lecz nieubłaganie niszczy osłabiony organizm. Nie pojawiają się z hukiem. Narastają miesiącami, często niezauważalnie, aż w końcu wielkie rzeki zaczynają coraz częściej szorować po dnie, a te najmniejsze okresowo znikają.

Rzecz jasna susze w Polsce i Europie nie są niczym nowym. W przeszłości nie raz, nie dwa zdarzały się bezdeszczowe okresy, po których przychodziły opady, a wtedy przyroda z nawiązką oddawała to, czego wcześniej poskąpiła, i wracała równowaga. Jeszcze w połowie dekady 2000–10 częstotliwość i intensywność susz na terenie naszego kraju mieściła się zasadniczo w ramach naturalnej zmienności klimatu. Wyraźniejszy trend ujawnił się dopiero w kolejnej dekadzie. Podobnie jest u naszych bliższych i dalszych sąsiadów na zachodzie Europy – w Niemczech, krajach Beneluksu czy południowej części Wielkiej Brytanii.

Istotny jest też inny trend. Choć roczna suma opadów atmosferycznych w Polsce generalnie pozostała taka sama, powoli zmienia się ich rozkład w ciągu roku: zwiększa się udział opadów w chłodnej połowie roku, podczas gdy latem coraz częściej mamy długie okresy bez deszczu przeplatane gwałtownymi ulewami. Paradoks polega na tym, że oba zjawiska mogą sprzyjać suszy. Podczas nawałnicy woda spada tak szybko, że znaczna jej część odpływa powierzchniowo, zamiast powoli wsiąkać w glebę. Takie pojedyncze letnie ulewy nie odbudują zapasów wody w głębszych warstwach gruntu.

Wszystko to prowadzi do letniego kryzysu wodnego, który może się gwałtownie zaostrzyć, gdy długotrwały układ ▶



eprasa.pl a53f7da89d

▶ wysokiego ciśnienia zablokuje drogę deszczowym frontom, w zamian zsyłając falę ekstremalnego gorąca. Jeszcze bardziej dramatycznie robi się, gdy po jednej takiej blokadzie wyżowej pojawiają się następne. Tak jest w tym roku. I tak może się zdarzać coraz częściej w przewidywalnej przyszłości. Badania opublikowane pod koniec lipca w „Nature Geoscience" wykazały, że za coraz bardziej suche lata w Europie odpowiadają nie tylko wzrost temperatur i parowania, ale również zmiany w cyrkulacji atmosferycznej.

Ostatni zawodnik

Na mapach tworzonych przez naukowców śledzących suszę na świecie w ramach projektu Global Drought Monitor widać, jak w Polsce – i wielu innych krajach Europy – mniej więcej od 2010 r. dramatycznie szybko przybywa susz atmosferycznych. W uproszczeniu oznaczają one niedobór opadów lub przewagę parowania nad opadami. Jeśli taka susza atmosferyczna trwa wystarczająco długo, zaczyna brakować wody w glebie. Pojawia się susza rolnicza. Potem kurczą się zasoby płytszych poziomów wodonośnych, czyli nastaje susza hydrogeologiczna. Wreszcie przychodzi kolej na rzeki. Rzeka jest więc niczym ostatni zawodnik w sztafecie. Kiedy jej przepływ spada do rekordowo niskiego poziomu, to oznaka, że kryzys trwa już od dawna, tyle że wcześniej rozgrywał się w atmosferze, glebie i wodach podziemnych.

W tym roku już w połowie lipca – jak pokazywały dane zbierane przez unijny serwis COPERNICUS European Drought Observatory – znaczna część rzek w Europie miała bardzo niskie przepływy. Wilgotność gleb na tym obszarze była miejscami najniższa od początku obserwacji satelitarnych prowadzonych od 1979 r. Każdy następny tydzień przynosił pogorszenie sytuacji.

W Budapeszcie poziom Dunaju spadł do ok. 30 cm. We Francji pod koniec lipca ponad 40 proc. monitorowanych małych rzek miało przynajmniej od czasu do czasu wyschnięte koryta. W Szwajcarii wiele wodowskazów odnotowało skrajnie niskie przepływy występujące do tej pory raz na 100 lat. O Renie była już mowa. Dodajmy jeszcze, że średni miesięczny przepływ wody był w nim najniższy w historii lipcowych pomiarów. Wykonane na początku sierpnia przez europejskiego satelitę Sentinel-2 zdjęcia kilku wielkich europejskich rzek pokazywały ten sam obrazek: wielkich piaszczystych plaż i łach, które wyłoniły się z wody po raz pierwszy od wielu dekad.

W Polsce ostrzeżenia IMGW przed suszą hydrologiczną obowiązywały w lipcu w 64 zlewniach, m.in. Noteci, Warty, Pilicy, Bugu, Sanu oraz na wybranych odcinkach Wisły i Odry. W połowie sierpnia takich ostrzeżeń było już 87, głównie w Polsce południowej i południowo-wschodniej. Na początku sierpnia Wisła w Warszawie znów opadała do rekordowo niskich poziomów.

W tym, co się teraz dzieje z rzekami, nie ma nic nagłego ani niespodziewanego – podkreślają hydrolodzy. W wielu regionach Polski susza w głębszych poziomach gleby utrzymuje się co najmniej od kwietnia. W opublikowanym parę dni temu Biuletynie Agrometeorologicznym IMGW czytamy, że „lipiec był kolejnym miesiącem z niewystarczającymi opadami atmosferycznymi w większości kraju. (...) Obserwowano również wydłużanie się okresów bezopadowych, czyli liczby kolejnych dni bez opadów na danym obszarze. Dotychczasowe sumy opadów, włącznie z lipcowymi, nadal nie były wystarczające do uzupełnienia narastających niedoborów wodnych. Sytuacja staje się coraz bardziej niekorzystna".

Dalej autorzy biuletynu apelują o pilne rozpoczęcie działań służących ochronie zasobów wodnych. „Głębsze warstwy gleby stanowią rezerwuar wody, dlatego narastające niedobory wilgoci na tym poziomie powinny być traktowane jako wyraźny sygnał ostrzegawczy.

Polska jak Węgry

Taka przestroga staje się oczywista w świetle wyników symulacji komputerowych, które dość zgodnie wskazują, że w najbliższych dekadach obecny trend raczej się nie odwróci. Susz będzie coraz więcej, nawet mimo potencjalnie wyższych opadów. Z tymi ostatnimi modele klimatyczne radzą sobie średnio. Rozbieżności pomiędzy nimi są spore. Dla Polski wiele z takich projekcji, uwzględniających rozmaite scenariusze emisji gazów cieplarnianych, wskazuje jednak, że za mniej więcej pół wieku przeciętna suma opadów atmosferycznych w Polsce może się zwiększyć od kilku do nawet ponad 20 proc., w zależności od konkretnego modelu, przy czym mokre mają stać się głównie zimy i wiosny. Byłby to sygnał, że zmierzamy w stronę klimatu pod pewnymi względami (bardziej suche lata) przypominającymi śródziemnomorski. Już dziś, zdaniem naukowców, klimat południowej i centralnej Polski przypomina latem Węgry sprzed dwóch, trzech dekad.

A co z suszami? Wiemy już, że równocześnie rośnie temperatura i parowanie. W tym przypadku pomiędzy modelami panuje zgoda. To oznacza, że nawet przy wyższej rocznej sumie opadów możemy za pół wieku mieć jeszcze mniej wody – na powierzchni i pod nią.

Kilka lat temu Jonathan Spinoni z Joint Research Centre, naukowej agendy Komisji Europejskiej, wykonał z grupą współpracowników symulacje intensywności przyszłych susz w Europie z uwzględnieniem dwóch scenariuszy ocieplenia klimatu: umiarkowanego i silnego. W pierwszym częstotliwość susz rosła dramatycznie na południu kontynentu i mniej wyraźnie w jego środkowej części (czyli m.in. w Polsce). W drugim wariancie – pesymistycznym, zakładającym wzrost emisji gazów cieplarnianych w kolejnych dekadach – praktycznie w całej Europie, z wyjątkiem jej północnych krańców, wilgotność powietrza znacznie spadnie. „Susze mogą stać się głównym zagrożeniem klimatycznym na co najmniej połowie obszaru Europy. (...) Skutki ekonomiczne, ekologiczne i społeczne byłyby olbrzymie" – przestrzegał Spinoni z zespołem.

Jeśli chodzi o Polskę, natura oszczędziła nam trzęsień ziemi, wulkanów, huraganów i tornad. Ale pozostawiła nam jedno, poważne zmartwienie: wodę. Jej zasoby w przeliczeniu na osobę mamy już dziś niezwykle skromne. W Europie jesteśmy pod tym względem na jednym z ostatnich miejsc. Ujemny klimatyczny bilans wodny jest od ponad trzech dekad stanem chronicznym na polskich nizinach. Można się oczywiście pocieszać, że symulacje komputerowe mogą się mylić co do przyszłości i nie robić nic, by zapobiec wysuszaniu gleb i kurczeniu się rzek, choć przeszłość z kolei uczy nas, że za kataklizmami naturalnymi szły zwykle katastrofy gospodarcze, społeczne i polityczne.

ANDRZEJ HOŁDYS

O tym, jakim zagrożeniem są susze dla energetyki, piszemy na s. 40.

eprasa.pl a53f7da89d

Zanosi się na burze

Rozłam w PiS powinien oznaczać święto dla koalicji rządzącej. Ale czy mający własne problemy rząd Donalda Tuska na tym skorzysta? Odejście ministra Macieja Berka, kluczowej postaci w kręgu premiera, zaskoczyło wszystkich.

TOMASZ SAWCZUK



© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

W ostatnim tygodniu PiS oficjalnie wykluczył z partii 38 posłów i dwóch senatorów, którzy dołączyli do inicjatywy Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego. Rzecz, która byłaby do niedawna niewyobrażalna, stała się faktem – PiS się rozpadł. W dodatku kandydat tej partii na premiera, Przemysław Czarnek, nie rokuje. Poparcie dla PiS w niektórych badaniach już spadło do poziomu poniżej 20 proc., a dalsze obniżki nie są wykluczone. Dominacja PiS na prawicy stanęła pod znakiem zapytania.

W koalicji nie widać jednak oznak ożywienia. Jeśli przyjrzeć się, jak wygląda w ostatnim czasie koalicyjna codzienność, nie widać pomysłów na to, jak wykorzystać kłopoty opozycji. Nie ma poczucia, że otworzyła się nowa droga do utrzymania władzy. Życie koalicji jest gdzie indziej.

Pierwszym tematem po stronie koalicyjnej jest obecnie odejście Macieja Berka z rządu. Samo wydarzenie było wręcz szokujące, a jego znaczenie polityczne trudno przecenić. Berek nie jest szerzej znany opinii publicznej. Jednak wśród osób analizujących politykę Rady Ministrów zyskał opinię głównego filaru prac rządu. Dość powiedzieć, że premier Donald Tusk, ogłaszając jego odejście, określił go mianem swojej prawej ręki. W ratingu rządu Polityki Insight Berek jako jedyny uzyskał w 2025 r. notę „A", najwyższą spośród wszystkich ministrów.

Człowiek orkiestra

Berek pełnił w rządzie kilka funkcji. Od grudnia 2023 r. był ministrem-członkiem Rady Ministrów i przewodniczącym Stałego Komitetu Rady Ministrów. Odpowiadał za koordynację współpracy między ministerstwami i weryfikację projektów trafiających na posiedzenia rządu. W lipcu 2025 r. w ramach rekonstrukcji został ministrem ds. nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu – następnie ogłosił 58 priorytetów gabinetu Tuska, których realizację miał nadzorować. Kierował również rządowym zespołem ds. deregulacji. Dawało mu to bardzo mocną pozycję w rządzie.

Ale nie chodzi tylko o pełnione funkcje. Berek miał opinię człowieka kompetentnego i profesjonalnego, dzięki któremu procesy rzeczywiście idą do przodu. ▶

▶ Z tych względów informacja o jego odejściu była wielkim zaskoczeniem, a wręcz wydała się niezrozumiała. Jeśli popularnym punktem krytyki obecnego rządu jest twierdzenie, że ten powinien działać w sposób bardziej strategiczny i uporządkowany, to zadaniem Berka było właśnie patrzenie na sprawy państwowe w sposób ponadresortowy i regularne oliwienie administracyjnej maszyny, która ma tendencję do zacinania się. Oczywiście wszystko to należy przedstawić we właściwych proporcjach. Nie sposób, żeby analityczny mózg rządu składał się z jednego Macieja Berka. I nie jest możliwe, żeby rząd miał aż 58 priorytetów, nawet jeśli owa lista miała pewne zalety operacyjne. W scenariuszu alternatywnym zadania dotąd powierzane Berkowi mogłaby wykonywać wyspecjalizowana rządowa komórka strategiczna. Taka komórka jednak nie funkcjonuje, dlatego w praktyce rola Berka była szczególnie istotna.

Rady od Rady

Bez Berka rodzą się pytania: czy bez głównego organizatora rząd będzie działać bardziej chaotycznie niż dotąd? A może w ogóle przestanie dowozić? Jeszcze ważniejsze wydają się wątpliwości czysto polityczne: co mówi o przyszłości rządu odejście najlepszego ministra? Czy jest to rząd, który ma przyszłość?

Na razie wiemy tyle, że urząd ministra ds. nadzoru zostanie zlikwidowany, natomiast Komitetem Stałym pokieruje doświadczona legislatorka Joanna Knapińska, która już wcześniej była jego wiceprzewodniczącą. Jako że jest ona jednocześnie prezeską Rządowego Centrum Legislacji, będzie na niej spoczywać duża odpowiedzialność. Knapińska ma opinię sprawnej i apolitycznej ekspertki, ale jej pozycja polityczna wydaje się słabsza niż w przypadku Berka. Z pewnością będzie mogła liczyć na wsparcie premiera, byłaby jednak dla rządu problemem, gdyby musiała poświęcać zbyt wiele czasu na temperowanie konfliktów między koalicjantami zamiast na pisanie jak najlepszych ustaw.

Pod nieobecność Berka lista 58 priorytetów wydaje się martwa – po prawdzie przedsięwzięcie to od początku trudno było dobrze opakować i sprzedać wyborcom i poza Berkiem mało kto się do niego odnosił. W praktyce może to oznaczać przesunięcie akcentów programowych w kierunku powołanej w lutym Rady Przyszłości, której pracom przewodniczy minister finansów i gospodarki Andrzej Domański. W jej skład wchodzi jeszcze 18 osób ze świata nauki i biznesu, takich jak m.in. prezes zarządu WB Group Piotr Wojciechowski, dyrektor instytutu IDEAS Piotr Sankowski czy prezes ICEEYE Rafał Modrzewski.

Rada od początku wyglądała na ciało o ograniczonym znaczeniu. Nie posiada ona silnego umocowania instytucjonalnego, ma funkcję czysto doradczą. Nie może więc odpowiadać za kierunek działania rządu. Ale nie można jej również zupełnie zbagatelizować – gromadzi osoby o dużym dorobku i znaczących ambicjach, z których przynajmniej część nie będzie miała ochoty zasiadać w ciele o znaczeniu czysto marketingowym. Tymczasem widowiskowe rezygnacje z udziału w Radzie nie byłyby korzystne dla rządu.

Do lipca Rada sformułowała kilkadziesiąt rekomendacji programowych, z których część otrzymała „opiekunów" w ramach struktur rządowych. Minister Andrzej Domański, który stoi na jej czele, będzie w największej mierze odpowiadał za wdrażanie jej zaleceń. Jako szef Ministerstwa Finansów i Ministerstwa Rozwoju odpowiada również za wprowadzanie w życie propozycji zgłaszanych w ramach inicjatywy deregulacyjnej, której dotąd przewodził Berek. Znaczenie Domańskiego dla programu rządu może więc jeszcze wzrosnąć.

Ile partii ma koalicja?

Dwa dni po rezygnacji Berka z funkcji tajemnica jego odejścia z rządu się wyjaśniła. Premier Tusk poinformował, że będzie on kandydatem Koalicji Obywatelskiej do Trybunału Konstytucyjnego; jako pierwsza napisała o tym Polityka Insight. O ile jego dotychczasowa działalność w rządzie miała przede wszystkim wymiar koncyliacyjny, teraz Berek wkracza w pełnej zbroi na środek krwawego pola bitwy.

W sensie politycznym decyzja Tuska jest łatwa do zrozumienia i wyjaśnia, dlaczego był gotów zgodzić się na odejście Berka z rządu: wysyła swojego najlepszego człowieka do kluczowej instytucji opanowanej przez PiS, aby zmienił tę sytuację. Premier przyznał, że ministrów w TK rzeczywiście miało nie być, ale przekonywał, że kilka lat po zmianie władzy sytuacja wciąż jest nadzwyczajna, Trybunał trzeba uzdrowić, a rząd musi być w tych sprawach „zdecydowany i coraz twardszy".

Szybko pojawiły się jednak problemy. Przede wszystkim pomysł wzbudził kontrowersje wśród części koalicjantów. Powoduje to, że nie wiadomo, czy kandydatura Berka może liczyć na większość w Sejmie. Według informacji Polityki Insight sprawa miała być dyskutowana na sierpniowym spotkaniu liderów koalicji z udziałem Donalda Tuska, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Włodzimierza Czarzastego. Jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem pomysłu przeciwko kandydaturze Berka wypowiedzieli się jednak m.in. szefowa Klubu Lewicy Anna Maria Żukowska, szef klubu Polski 2050 Paweł Śliz, a także przewodnicząca Unii Centrum Paulina Hennig-Kloska.

Ostre wypowiedzi krytyczne padły ze strony praworządnościowych aktywistów, takich jak prof. Marcin Matczak (rozmowa na s. 16). Wskazują oni, że kandydatura Berka jest niezgodna z wartościami promowanymi przez koalicję 15 października, według których sędziowie TK powinni być apolityczni. Co więcej, byłaby ona niezgodna z ustawą o TK, którą w 2024 r. przegłosowała sama koalicja, a której nie podpisał ówczesny prezydent Andrzej Duda. Wymagała ona czteroletniej przerwy między pełnieniem funkcji ministra a funkcji sędziego Trybunału.

Wreszcie trudno sobie wyobrazić, że Nawrocki dokona zaprzysiężenia Berka, nawet w razie uzyskania przez niego większości w Sejmie. Zapewne nie będzie potrzebować specjalnego pretekstu, ale może przekonywać, że kandydat nie spełnia kryteriów ustawowych do roli sędziego TK – prawo wymaga m.in. 10 lat pracy w zawodzie prawniczym, podczas gdy Berek ma kwalifikacje radcy prawnego, ale przez większość kariery zawodowej był urzędnikiem państwowym. Cała sprawa zapowiada zatem gorący polityczny wrzesień.

Drugim palącym tematem koalicyjnym jest przyszłość polityczna środowisk, które w 2023 r. tworzyły Trzecią Drogę. Wtedy koalicja PSL i Polski 2050 uzyskała w wyborach 14 proc. głosów. Teraz obie partie spadają w badaniach poniżej progu wyborczego, a ich przyszłość stoi pod znakiem zapytania. Nietrudno dojść do wniosku, że bez tych głosów utrzymanie władzy w 2027 r. nie będzie możliwe.

Chociaż media żyją przede wszystkim podziałami na prawicy, partie koalicji podzieliły się w ostatnich miesiącach bardziej niż opozycja, tyle że ciszej i w atmosferze ogólnego rozkładu, a nie walki

eprasa.pl a53f7da89d





Szymon Hołownia i Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Z kim pójdą do wyborów?

o przywództwo. Szyldu Trzeciej Drogi już nie ma – w 2025 r. partnerzy ogłosili zakończenie projektu. Na początku 2026 r. Szymon Hołownia – który wcześniej przestał być marszałkiem Sejmu – po wahaniach odszedł z funkcji szefa Polski 2050.

Na stanowisku zastąpiła go ministra funduszy regionalnych Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, która wygrała rywalizację o fotel przewodniczącej z ministrą środowiska Pauliną Hennig-Kloską. Jednak ta ostatnia w reakcji wyprowadziła z partii połowę klubu parlamentarnego i powołała nowy byt o nazwie Unia Centrum. Na zewnątrz pozostał Ryszard Petru, który chce najpierw zbudować jeszcze kolejny ruch, pod hasłem Konfederacji Light, aby współtworzyć ewentualne szersze porozumienie polityczne.

Nie jest więc jasne, ile partii liczy obecnie koalicja. Sierpniowe spotkanie Tuska z udziałem jedynie Kosiniaka-Kamysza i Czarzastego nie było takim pierwszym. Tusk odbył przy tej okazji oddzielnie spotkania z Pełczyńską-Nałęcz i Hennig-Kloską. W takiej formule wszelkie uzgodnienia koalicyjne stają się trudniejsze. Pokazuje to m.in. sprawa Berka, chociaż Unia Centrum zdążyła już zmienić zdanie w sprawie kandydata z krytycznego na przychylne, a Lewica też może go ostatecznie poprzeć, co będzie skutkować rosnącą presją na posłów Polski 2050.

Tymczasem Hołownia zachowuje się coraz bardziej nieobliczalnie. W czerwcu powołał własną inicjatywę Umiarkowani, w lipcu podejmował zaś próby przejęcia klubu parlamentarnego PL 2050, chociaż bez powodzenia. W sierpniu Onet podał, że Hołownia byłby gotów wejść do rządu jako wicepremier, przy czym trudno sobie wyobrazić, jak w praktyce miałoby się to odbyć. Plotki te Pełczyńska określiła mianem politykierstwa najgorszej wody.

Obóz Pełczyńskiej podejrzewa, że Hołownia chce po prostu włączyć swoją byłą partię do PSL. Nie można wykluczyć, że albo samodzielnie, albo z garstką posłów rzeczywiście wyląduje w ugrupowaniu Kosiniaka-Kamysza. Trudno bowiem zakładać, że w warunkach nieustającego konfliktu będzie trwać w swojej macierzystej partii. Tymczasem Pełczyńska regularnie wypowiada się krytycznie na temat rządu i nawołuje go do bardziej ambitnej polityki. Ale wynik jest taki, że nie ma ani sojuszników w rządzie, ani wyborców. Nieliczni stronnicy Hołowni i Pełczyńskiej uważają, że to ta druga strona nie rozumie, jak się uprawia politykę.

Jesienny plan

Jeśli wziąć pod uwagę ostatnie badania opinii publicznej, w przyszłym parlamencie rząd traci większość. O ile KO notuje poparcie na poziomie ok. 30 proc., to Lewica może liczyć jedynie na 7–8 proc. głosów, a PSL i Polska 2050 osiągają wyniki pod progiem wyborczym i wypadają z parlamentu. Wspólny start Nowej Lewicy z Razem jest mało prawdopodobny, co oznacza dalsze osłabienie nieprawicowej części sceny politycznej w porównaniu z 2023 r.

Układ sił na prawicy dopiero się kształtuje, a wakacyjne sondaże nie są całkiem wiarygodne. Niemniej osłabiony PiS ma w badaniach ok. 20 proc. głosów, Konfederacja 14–15 proc., Korona 9–10 proc., a partia Morawieckiego ok. 6–7 proc. Partie prawicy są podzielone, ale według aktualnych badań dysponują większością parlamentarną nawet w razie oddzielnego startu w wyborach. A przecież dość łatwo sobie wyobrazić, że Rozwój Plus ostatecznie idzie do wyborów na listach PiS.

W tych warunkach formacje rządowe rzeczywiście nie mają powodów do celebry. Koalicji nie pomagają pojawiające się ostatnio regularnie informacje o aferach, w tym nieprawidłowościach w warszawskim Szpitalu Południowym, zarzutach o konflikt interesów przy pisaniu ustawy o najmie krótkoterminowym wobec wiceministra sportu Ireneusza Rasia z PSL, a także nadużyciach przy wydawaniu pieniędzy przeznaczonych dla ofiar powodzi, w czym miała mieć udział działaczka KO. Wydarzenia w rodzaju odwołania w referendum prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego z KO również nie poprawiają nastrojów.

Jak zmienić tę sytuację? W dyskusjach na ten temat pierwszą reakcją jest zwykle poszukiwanie odpowiedniego układu list wyborczych. Według Onetu na ostatnim spotkaniu liderów premier Tusk miał nalegać na wspólny start partii koalicyjnych. Tego rodzaju pomysł nie powinien zaskakiwać. Jeśli przyjąć, że poparcie KO, Lewicy i PSL wynosi łącznie ok. 40 proc., to przy podziałach na prawicy i w warunkach kampanijnej mobilizacji przeciwko możliwym rządom Konfederacji zostaje już tylko krok do uzyskania parlamentarnej większości.

Jednak dla PSL i Lewicy równanie jest bardziej złożone. Odrodzenie Trzeciej Drogi jest raczej niemożliwe, ponieważ na taką układankę potrzeba by obecnie zbyt wiele puzzli. Ale rozpłynięcie się na listach KO byłoby dla PSL bardzo kłopotliwe i zresztą nie jest pewne, czy partia Kosiniaka rzeczywiście pomogłaby takiej liście osiągnąć lepszy wynik. Wspólna lista byłaby ryzykowna również dla Nowej Lewicy. Nie ma ona pomysłu na zwiększenie poparcia i osłabia ją wroga postawa partii Razem – ale ostatecznie osiąga w badaniach wyniki powyżej progu.

Polska 2050 – pewnie w wersji bez Hołowni – jest w stanie porozumieć się zarówno z Razem, Nową Lewicą, jak i formacją Morawieckiego, ale raczej nie z KO. Sojusz z Morawieckim wydaje się przy tym najmniej prawdopodobny. Konfederacji Light nie chce tworzyć chyba nikt poza Petru. Na listach KO zapewne wyląduje Unia Centrum.

Wszystkie te kalkulacje mają znaczenie, ale nie zmieniają faktu, że obok tradycyjnej dyskusji o listach wyborczych stronie rządowej przydałby się głębszy oddech. Morawiecki próbuje wykrzesać na prawicy nową energię; dwie Konfederacje również przedstawiają się jako partie przyszłości, które wyrażają ducha czasu lepiej niż PiS. Prawica się kłóci, ale walczy o dominację. Ze strony koalicji na razie nie widać takich prób, a wśród wyborców widać oczekiwanie na „wielki, jesienny plan", którym Tusk zmieni sytuację. W każdym razie rozgrywka między rządem a opozycją wchodzi w nową fazę.

TOMASZ SAWCZUK

© DAREK DELMANOWICZ/PAP, JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl a53f7da89d

Jak zgasić gaśnicę

Prof. Marcin Matczak, prawnik, o tym, gdzie jest dzisiaj polityczne centrum i jak zwalczać prawicowe i lewicowe skrajności



JAKUB MAJMUREK: **– Wokół pana tworzy się sieć klubów „radykalnego centrum". Co dla pana właściwie znaczy ten termin?**

MARCIN MATCZAK: – Nazwa „radykalne centrum" przede wszystkim przykuwa uwagę, bo jest celowym oksymoronem. Centrum kojarzy się przecież z wszystkim, tylko nie z radykalizmem: z czymś wyważonym, wypośrodkowanym, trochę nijakim.

Ja mówię o „radykalnym centrum", by uczynić centrum bardziej atrakcyjnym, bo bardzo obawiam się radykałów. A cały dzisiejszy świat działa jak jedna wielka maszyna, programująca nas tak, żebyśmy dobrze reagowali na skrajności.

Centrum rozumiane jako rozwaga, analiza, merytoryczny spokój, nawet jeśli jest atrakcyjne intelektualnie, to przegrywa emocjonalnie. Moją obsesją jest od jakiegoś czasu to, jak wyrazić idee środka tak, by były tak atrakcyjne jak idee skrajne.

Gdzie dziś jest właściwie ten polityczny środek?

Uważam, że centrum mieści się między prawicą i lewicą, zwłaszcza skrajną prawicą i skrajną lewicą. Podam przykład: prawica stoi na stanowisku, że różnice między ludźmi są naturalne i polityka państwa nie powinna ich programowo zwalczać. Bo np. różnice w wynagrodzeniach to odzwierciedlenie naturalnych hierarchii. Lewica z kolei jest za równością i uważa, że należy zwalczać wszelkie nierówności. Stanowisko centrum brzmiałoby: hierarchie wynikają z różnic naturalnych i predyspozycji, ale bywają też hierarchie skorumpowane, oparte na kryteriach niemerytorycznych (np. na nepotyzmie czy oszustwie), i takie należy krytykować. Inny przykład: migracja. Prawica coraz bardziej chce się zamknąć na wszelką migrację. Z kolei lewica jest za daleko idącą otwartością, lekceważąc niektóre zagrożenia związane z migracją. Nie musimy przyjmować tych skrajności, radykalne centrum może powiedzieć: jesteśmy poważnym europejskim państwem i naprawdę potrafimy ocenić, którzy migranci nas wzbogacają, a którzy są dla nas zagrożeniem.

Nie ma dziś w Polsce centrum, które politycznie reprezentowałoby podobne stanowisko?

Myślę, że nie ma. Mamy osłabiony duopol KO-PiS, w którym PiS jest prawicowy, a KO nie wie, jaka chce być – miota się od lewa do prawa, w zależności od tego, gdzie widzi polityczny zysk. W środku nie ma centrum – jest próbujący się w wbić w duopol PiS-PO klin w postaci dwóch Konfederacji. One są prawicowe, niecentrowe, ale ponieważ jeszcze nie rządziły, coraz więcej osób zastanawia się, że może warto, by wywróciły stolik, bo z tego być może wyłoni się nowy porządek.

Ja w to zupełnie nie wierzę, uważam, że obie Konfederacje są niebezpieczne dla Polski. Ich program jest po prostu absurdalny i wewnętrznie sprzeczny. Domagają się np. państwa, które jest jednocześnie silne i słabe, które nie interweniuje w kwestiach gospodarczych, ale interweniuje w moralnych, które jak najmniej zbiera w podatkach, ale przy tym jest silne militarnie. Tak się nie da, jak kiedyś napisałem: Konfederacja chce państwa, które ma biceps Pudziana i nogi bociana.

Konfederacje, choć wchodzą klinem między PiS a KO, są bardziej skrajne od PiS. I nie wykluczam, że gdy powstanie rząd z udziałem Konfederacji, to zatęsknimy za Jarosławem Kaczyńskim jako politykiem umiarkowanym.

Dwa lata temu mówił pan: „Wydaje mi się, że nie zdajemy sobie sprawy z siły centrum, bo harcownicy z obydwu stron, czyli realnie kilkanaście procent Polaków, zagłuszają normalną debatę". Dziś, po zwycięstwie Karola Nawrockiego, podtrzymuje pan tę diagnozę?

Cały czas uważam ją za aktualną. Często wyobrażamy sobie Polskę jako kraj podzielony na dwa polityczne plemiona, gdy jednak wnikniemy głębiej, to ten obraz się komplikuje. Mamy np. badania fundacji More in Common, pokazujące, że w Polsce mamy nie dwa, ale siedem podstawowych segmentów socjologicznych. Wśród nich są dwie skrajności – progresywna i tradycjonalistyczna – które razem stanowią kilkanaście procent społeczeństwa.

Nawrocki wygrał w sytuacji wielkiej polaryzacji, w takich warunkach często może zadecydować niewielkie wahnięcie emocjonalne. Jako swoją misję komunikacyjną traktuję to, by pokazać ludziom, że nie muszą wybierać między skrajnościami – choć oczywiście druga tura wyborów prezydenckich – to w pewnym sensie raj dla polaryzacji. Ale w wyborach do parlamentu już tak czarno-biało nie jest. By centrum było jednak dla ludzi atrakcyjne, samo poniekąd musi stać się harcownikiem.

Zwycięstwo Nawrockiego odczytuje się często jako żółtą kartkę dla rządu. Jak pan ocenia rządy Tuska, które też miały być „centrowe"?

Zastanawiam się, jak to sformułować, żebyśmy nie zostali z nagłówkiem: nawet Matczak krytykuje Tuska (śmiech). Jestem głęboko oburzony sposobem uprawiania polityki przez polską prawicę, która mobilizuje bardzo niskie emocje Polaków dla celów sprzecznych z interesami Polski. Uważam, że powolny postęp jest najlepszym sposobem rozwijania Polski, a ludzi, którzy to rozumieją, widzę raczej po stronie nieprawicowej. Natomiast mam wrażenie, że zachowania lewicy na poziomie komunikacji emocjonalnej często stają się wodą na młyn prawicy. KO z kolei jawi mi się jako środowisko kompletnie nieprzygotowane do sensownej komunikacji emocjonalnej. PiS, może nie zawsze udolnie, próbował jednak proponować społeczeństwu jakieś wspólne cele. Choćby CPK. Narracja była taka: chcemy budować nowoczesną Polskę. To jest tworzenie emocjonalnej wspólnoty, która do czegoś dąży.

Tymczasem od Tuska w ciągu ostatnich trzech lat ja nie usłyszałem żadnej wizji tego, jak Polska by miała wyglądać za 10–15 lat. Zamiast tego mamy punktowe narracje próbujące reagować na emocje społeczne: jak społeczeństwo współczuje migrantom na granicy, to uderzamy w nieludzki rząd PiS, ale jak emocje się zmieniają, to zawieszamy prawo do azylu. Tymczasem od człowieka, który przez pięć lat stał na czele Unii Europejskiej, naprawdę można by oczekiwać choćby wizji tego, jakby miała wyglądać przyszłość Polski w Unii. Zamiast tego mamy w Polsce jedną narrację o Unii, konfederacką: to jest eurokołchoz, następca Moskwy, z którego trzeba uciekać, i żadnej emocjonalnej kontropowieści.

A jak pan ocenia proces przywracania praworządności?

Jako prawnik doceniam, że wiele zmieniło się na lepsze. Do czego czasem wystarczyła zmiana praktyki, a nie ustaw. Jednak na poziomie symbolicznym wyborcy mają poczucie, że naruszenia prawa z okresu 2015–23 nie zostały rozliczone. Przez osiem lat partie dziś rządzące mówiły o zbrodni, a nie poszła za nią żadna kara. W efekcie część ludzi jest nawet przekonana, że to Tusk jest bardziej niepraworządny niż PiS, bo np. odwołano prokuratora krajowego. Choć niezawisłość prokuratury nie jest chroniona konstytucyjnie jak niezawisłość sędziów, na którą atak przeprowadził PiS.

Co pan sądzi o koncepcji wystawienia kandydatury Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego?

Uważam decyzję o powołaniu Macieja Berka do TK za bardzo złą. To sprzeniewierzenie się wartościom, z którymi ta koalicja ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl a53f7da89d

▶ szła do wyborów, czyli apolityczności sądownictwa – bo oto do TK idzie minister ds. polityki rządu. Trudno o bardziej wymowny symbol wchodzenia polityki tam, gdzie jej nie powinno być. Tę decyzję premier uzasadnia potrzebą „twardości". Ale na czym ta twardość ma konkretnie polegać? Co Berek ma w TK zrobić, czego nie mógłby zrobić inny dobry, ale apolityczny kandydat? Tego premier nie mówi. Moim zdaniem ta decyzja pokazuje po prostu, że nie tylko politycy PiS, ale także politycy KO traktują Trybunał Konstytucyjny jak spółkę Skarbu Państwa, czyli coś, nad czym przejmuje się kontrolę wraz z wygranymi wyborami. To jest myślenie antypaństwowe i powoduje, że następnym razem część ludzi, którzy wcześniej wychodzili na ulice, by bronić praworządności, zastanowi się, czy warto to znowu zrobić.

Mówił pan o lewicy, której działania stają się wodą na młyn prawicy. Gdzie pan ją dostrzega w Polsce?

Mamy tradycję myśli lewicowej krytykującą chore hierarchie, socjaldemokrację skupiającą się na tematyce społeczno-gospodarczej – i ja taką lewicę szanuję. Ale mamy też lewicę ideologiczną, która głosi relatywizm moralny, ciągle walczy z patriarchatem, bo uważa, że cały czas jest bardzo silny, szuka nowych przestrzeni, gdzie można by walczyć z np. „systemowym rasizmem". I moim zdaniem ta druga lewica napędza konserwatywną, prawicowo-populistyczną reakcję.

Konkretny przykład: protesty kobiet po faktycznie skandalicznej decyzji Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji z jesieni 2020 r. Ja się zgadzałem z wieloma podnoszonymi wtedy argumentami: to był przekręt instytucjonalny, efekt wpływu polityków na Trybunał, wcześniej zresztą obsadzony politykami. Ale nie mogę się zgodzić z tym, że przy okazji pisano sprejem na murach kościołów hasła „Szkoda, że Maryja nie zrobiła aborcji".

Tylko to jest jedno hasło, a nie program Nowej Lewicy albo Razem.

To prawda i ja nie kieruję swoich uwag do Włodzimierza Czarzastego czy Adriana Zandberga, których postrzegam jako przedstawicieli tej racjonalnej lewicy. Ale my sobie możemy rozmawiać o różnych odłamach lewicy, natomiast ludzie nie rozważają ideowych niuansów. Wiedzą tylko, że jest „lewactwo", które nienawidzi Kościoła, religii, tradycyjnych wartości, i szukają kogoś, kto ich przed „lewactwem" obroni. Ostatnio wdałem się w polemikę z Ziemowitem Szczerkiem, który napisał post stwierdzający, że ludzie idący w pielgrzymkach do Częstochowy są baranami dającymi się wodzić klerowi na nos. Ja staram się uświadomić osobom, które naprawdę powinny wiedzieć lepiej, że taki język otwarcie wyrażający pogardę do osób wierzących tylko napędza radykalną prawicę.

Ziemowit Szczerek jest pisarzem, a tradycje antyklerykalnej satyry sięgają przecież w Polsce czasów Mikołaja Reja.

Tylko w czasach Mikołaja Reja nie było w Polsce Instagrama i innych mediów społecznościowych. I naprawdę to nie jest tylko moja diagnoza – powołuję się np. na badania Karen Stenner – że gdy ludzie mają poczucie ataku na ważne dla nich wartości, to pojawia się mechanizm ucieczki od wolności.

To jak w takim razie środowiska LGBT+ mają się organizować na rzecz swoich praw, a osoby niereligijne na rzecz bardziej świeckiego państwa, by nie wywoływać reakcji, o której pan mówi?

Nie chcę występować w roli doradcy. Ale myślę, że jeśli ktoś promuje swoją agendę, atakując agendę innych ludzi, to nie jest dobra strategia. Przyglądając się różnym strategiom równościowym, zauważyłem też, że często odwołują się one do różnicy – jesteśmy inni i nasze prawa jako innych zasługują na obronę, ta inność często ustawia się przy tym w pozycji konfrontacji aksjologicznej wobec większości. Ja bym odwrócił tę narrację i powiedział: nie, nie chodzi o inność, chodzi o to, że miłość dwóch kobiet albo dwóch mężczyzn jest taka sama jak kobiety i mężczyzny i zasługuje na równe prawa. A więc: „jesteśmy tacy sami", zamiast „jesteśmy inni".

Strona liberalno-lewicowa przedstawiła bardzo kompromisową propozycję ustawy o statusie osoby najbliższej w związku i skończyło się prezydenckim wetem.

Tylko w naszym porządku politycznym ta ustawa była postrzegana jako próba zmiany porządku normatywnego i prawica mogła się zaprezentować w roli obrońcy rodziny i małżeństwa – nie musząc nawet tłumaczyć, w jaki sposób ta ustawa miała mu rzekomo zagrażać. Mieliśmy podobną dyskusję wokół wyroku TSUE nakazującego Polsce transkrypcję małżeństw jednopłciowych. Od razu pojawiły się głosy, że państwo reaguje za wolno, że to trzeba załatwić natychmiast.

Pan przedstawia lewicę jako siłę rewolucyjną, a prawicę stabilizującą. Czy jednak nie jest odwrotnie, że to prawica jest dziś siłą rewolucyjną, a przynajmniej antysystemową? PiS przecież próbował zmienić ustrój, nie mając do tego konstytucyjnego mandatu.

Ja tu znów powołam się na Karen Stenner, która pisze o tym, że dziś podstawową opozycją jest zróżnicowanie–jednolitość. I prawica stoi po tej drugiej stronie. Gdy w 2016 r. po raz pierwszy wygrał Trump, George Lakoff napisał esej, w którym postawił tezę, że Trump jest figurą surowego ojca, który obiecuje przywrócić dawny ład. A dawniej było bardziej jednolicie: Ameryka była biała, heteroseksualna, patriarchalna. Tak samo u nas Grzegorz Braun ze swoją barokową frazą obiecuje przywrócić dawny porządek, gdy wszystko było rzekomo prostsze i gdy nie trzeba było znosić zróżnicowania. Bo gdy wyjedziemy poza duże miasta, to zobaczymy, że Polska jest ciągle dość konserwatywnym krajem i różnorodność jest czymś, co wiele osób źle znosi.

Ma pan rację, że PiS próbował nam zafundować rewolucję instytucjonalną. Ale co było jej celem? To, by cała władza była jednolita: by Trybunał Konstytucyjny nie blokował rządu. Osobom źle znoszącym różnorodność jednolitość daje pozorne poczucie bezpieczeństwa, choć zabiera wolność, a demokratyczny wielogłos, co Stenner nazywa „kakofonią" – a przy tym jest fundamentem liberalnej demokracji z zasadą trójpodziału władz – może być dla nich niezrozumiały.

Dlaczego Kaczyński traci hegemonię na prawicy?

Moim zdaniem wynika to z tego, że dyskurs emocjonalny tak się zaostrza, że Kaczyński nie jest już w stanie nadążyć. Pamiętam, jak w latach 2005–07, jeszcze w 2015 r., Kaczyński wydawał się strasznym rewolucjonistą. Jako prawnik byłem zszokowany atakami na sędziów, tym, co on mówił o imposybilizmie prawnym albo gdy wprowadzał sędziów-dublerów do Trybunału. Gdy jego posłowie w 2007 r. wzywali sędziów TK, by wyłączyli się z orzekania w sprawie lustracji, bo ich akta są w IPN, to wtedy mogło się wydawać, że to jest bezczelne i rewolucyjne.

Dziś Kaczyński nie poleci jednak z gaśnicą na świece chanukowe. A Braun to zrobi, to on jest radykałem, a Kaczyński mainstreamem.

eprasa.pl a53f7da89d

Czyli to Karol Nawrocki lepiej się odnajduje w polityce, gdzie granica radykalizmu się przesuwa? Widzi pan w nim przyszłego lidera prawicy?

On na pewno umie grać w emocje prymitywne: takie jak agresja, wrogość czy strach. Co, powtórzmy, wynika z tego, że prawicy łatwiej jest mobilizować opinię publiczną wokół swoich emocji, bo są to emocje prostsze. Gdy Nawrocki ryknie: „Czołem żołnierze", to merytorycznie nic nie znaczy, ale pokazuje siłę, która dla całej masy ludzi, którzy nie są sprawczy w swoim własnym życiu, będzie atrakcyjna. A on potrafi wejść w rolę samca alfa, który boksuje, wyciska na klatę 150 kg i jest agresywny np. wobec dziennikarza TVN. Siła niestety myli się dziś ze sprawczością – bo realnie Nawrocki w ciągu roku nie zrobił nic, nie zrealizował żadnej ze swoich kampanijnych obietnic. Ale ludzie ufają mu, bo widzą w nim surowego ojca, o którym Lakoff pisał w kontekście Trumpa. Więc tak, prezydent ma szanse zostać emocjonalnym liderem prawicy.

A Morawiecki?

Na poziomie propozycji programowych Morawiecki mógłby zostać następcą Kaczyńskiego. Na pewno jest bardziej intelektualny niż Nawrocki. Natomiast narracyjnie Morawiecki nie ma nośności, on wygląda i mówi jak intelektualista, a intelekt nie jest dziś w cenie, tylko siła.

Żyjemy w świecie skrótowej, memicznej komunikacji, więc ja sobie zrobiłem umysłowe ćwiczenie: z jakimi przedmiotami moglibyśmy skojarzyć polityków. Braun to, wiadomo, gaśnica. Nawrocki – rękawice bokserskie. Ale jaki byłby przedmiot kojarzący się od razu z Trzaskowskim? Albo z Morawieckim? Nic nie przychodzi do głowy, a więc są oni emocjonalnie niewyraźni.

Mówił pan, co jest nie tak z Tuskiem, prawicą, lewicą, czemu jednak propozycja Trzeciej Drogi, bliska chyba pana postulatom, się posypała?

Patrzyłem z nadzieją na wejście Szymona Hołowni do polityki, bo nie kojarzyłem go tylko jako zabawnego chłopaka z „Mam talent!", ale też jako autora ciekawych książek. Liczyłem na to, że Hołownia, wchodząc do polityki, w dodatku jako osoba wierząca, stanie się kimś w rodzaju figury surowego ojca, w trochę lepszej wersji, łącząc surowość i powagę z mądrością i rozwagą. To się nie udało.

Ale ludzie mają potrzebę ulokowania we władzy swoich nadziei. I niech pan porówna Grzegorza Brauna, który wygląda jak starzec z brodą, z Szymonem Hołownią – przecież Hołownia mógłby być wizerunkowo jego synem.

Od lat 80. ludzie coraz bardziej myślą obrazem. Trzecia Droga nigdy nie potrafiła się zaprezentować jako atrakcyjna emocjonalnie alternatywa dla ludzi bardziej konserwatywnych niż KO i mniej niż PiS. I dlatego mimo dobrego programu ma ok. 2 proc. poparcia.

Czyli polska polityka potrzebuje dziś kogoś, kto będzie potrafił wejść w rolę otwartego, ale surowego ojca?



ILUSTRACJA **OBYWATEL JANEK**

Gdybym miał radzić komuś, kto chce wejść do polityki, to poleciłbym szukanie takiego wizerunku. Dla mnie wzorem jest tu prezydent Czech Petr Pavel. On jako były żołnierz wnosi wiele wartości ważnych dla konserwatywnej części społeczeństwa: surowość, solidność, wytrwałość, troskę o bezpieczeństwo. A z drugiej strony nie jest talibem, jest w stanie zrozumieć potrzeby otwartości i tolerancji, o których przecież głośno mówi.

Pan jako lider klubów „radykalnego centrum" nie chce odegrać w Polsce takiej roli? Kluby to wstęp do budowy własnej partii? Początek kampanii Matczak 2030?

W Polsce ludzie skrajnie nie ufają politykom, postrzegają ich jako manipulatorów i kłamców. Wejście do polityki oznacza utratę zaufania, a nawet sprawczości, zwłaszcza w momencie, w którym trzeba się przykleić do jednego ze skrzydeł duopolu.

Ja chciałbym zbudować ruch publiczny, który niekoniecznie będzie jednak polityczny, ale działając publicznie, będzie sprawczy. Choć nie wykluczam konieczności czysto politycznego zaangażowania. Nawet nie w kontekście wyborów, ale np. referendum w sprawie wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Bo ja się realnie boję, że do niego może dojść.

W jaki sposób kluby mają wpływać na rzeczywistość, zanim dojdzie do tego scenariusza?

Duży ruch społeczny może tworzyć postulaty, które przy reaktywności naszych polityków mogą przełożyć się na konkretne zmiany. Moim zdaniem mamy dziś trzy tematy, w których ktoś musi zaproponować rozwiązania: nasze bezpieczeństwo w kontekście relacji z Rosją; stosunki polsko-ukraińskie, co wiąże się z tematem migracji, wreszcie kwestie ochrony zdrowia.

Ja mam pewne pomysły, w jakim kierunku powinny pójść zmiany, zwłaszcza w temacie ochrony zdrowia, bo mam doświadczenia jako prawnik zajmujący się latami zawodowo prawem medycznym. Ale nie jestem omnibusem, chciałbym, by kluby były miejscem, gdzie rozwiązania będą się tworzyły w ramach szerokich dyskusji ekspertów z różnych pól, ludzi z różnych pokoleń. Przy czym problemem polskiej sfery publicznej nie jest brak dobrych merytorycznie pomysłów. Problemem jest to, że one nie mogą się przebić w debacie zdominowanej przez skrajności – gdzie np. w temacie Ukrainy jest się wyzywanym albo od ruskiej onucy, albo od banderowca.

Ja chcę, by kluby były miejscem, gdzie np. ekspert od ochrony zdrowia spotka się z influencerem, który przełoży jego wiedzę na język zrozumiały emocjonalnie dla tiktokowej publiczności. W debacie o uchodźcach nic nie zrobiło tyle dla humanitarnych argumentów jak zdjęcie tego kurdyjskiego dziecka, które utonęło u wybrzeży Europy. Chcę szukać w innych sprawach podobnych punktów zaczepienia.

ROZMAWIAŁ JAKUB MAJMUREK

eprasa.pl a53f7da89d



Twardziele miękną

RAFAŁ KALUKIN

Jak zachwyca, jeśli nie zachwyca? Takie pytanie coraz częściej zadają sobie ludzie, którzy do niedawna stanowili żelazne zaplecze obozu Donalda Tuska. Jeszcze trwają przy obozie premiera, ale jak długo?

Na pierwszy rzut oka nie dzieje się nic specjalnie niepokojącego. Na tle skotłowanej prawicy strona koalicyjno-rządowa wydaje się wręcz oazą spokoju. Co najwyżej od czasu do czasu przypomni o swojej odrębności Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ale jej znikającą partią chyba nikt już nie zawraca sobie głowy. Afera w Szpitalu Południowym na chwilę potrząsnęła całym układem, ale problem na razie udało się rozmasować, kierując uwagę na problem wynagrodzeń w służbie zdrowia. Bez wyraźnych strat w sondażach, w których Koalicja Obywatelska bezpiecznie prowadzi, a jej słupki wyglądają na stabilne. Wskaźniki gospodarcze nie dają zresztą powodów do niepokoju pomimo napiętego budżetu. Nastroje konsumenckie w normie, nie boimy się o pracę. Prędzej już wojny, ale premier nieprzypadkowo skupia się niemal wyłącznie na bezpieczeństwie, ogłaszając kolejne zakupy sprzętu i inwestycje w zbrojenia.

Nastrój jest co prawda wybitnie prawicowy i niemalże oddychamy nacjonalizmem, który jednak w trybach prawicowej licytacji przyjmuje formy tak bardzo karykaturalne, że po przekroczeniu punktu krytycznego Polacy może wreszcie otrzeźwieją. Pikujące oceny Trumpa pokazują, że jest to możliwe. Do wyborów jeszcze ponad rok i nic nie jest

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl a53f7da89d



Warszawa, 2023 r. Marsz Miliona Serc. Czy za rok uda się jeszcze wykrzesać entuzjazm?

przesądzone. Coś się podciągnie, poprawi, skoryguje. A potem wejdziemy w kampanię, odżyją emocje towarzyszące kolejnemu starciu o wszystko, powróci entuzjazm z Jagodna. Albo i nie.

Współczesna polityka utraciła dawną głębię, nawet jeśli wciąż lubi się dekorować racją stanu. Ale tak naprawdę chodzi przede wszystkim o wibracje. Czasem pozytywne, częściej negatywne, ale to w sumie wszystko jedno. Strasząc wrogami, polityczni przywódcy odgrywają rolę bohaterów, którzy każdego dnia ratują świat. Kiedy nie stoją za nimi jednak zwarte hufce, stają się mizerni i nie budzą zaufania. Wtedy straszenie wywołuje odwrotny efekt: rośnie poczucie marazmu, a często podskórny fatalizm.

I coś takiego można zaobserwować po stronie liberalno-demokratycznej. Jej strachy są klarowne, chociaż ubrane w różne figury. Jedni z respektem patrzą na muskularną sylwetkę Nawrockiego. Inni wciąż nie pojmują, jak to się dzieje, że w kraju z taką historią i geografią tak wielu Polaków popiera Grzegorza Brauna. Kolejnych trwoży wizja miast patrolowanych przez bojówki Roberta Bąkiewicza. Ale to tylko różne twarze tego samego faszystowskiego koszmaru. Na ich tle kurczący się Jarosław Kaczyński może się wydawać niemalże poczciwy. Jednak nie widać odruchu panicznego. Bardziej już łagodny sceptycyzm, rezygnacja, ogólne zniechęcenie. Bo co będzie, to będzie, i nie trzeba się martwić na zapas. A na razie cieszmy się chwilą, nawet jeśli wydaje się ona coraz bardziej ulotna.

„Na nikogo więcej nie mogę liczyć jak tylko na was, ludzi” – mówił Donald Tusk na spotkaniu z wyborcami w Pabianicach. To było rok temu, niedługo przed zaprzysiężeniem Nawrockiego. Premier był rozedrgany po przegranej kampanii. Kilka razy bezradnie rozkładał ręce, narzekając na współpracowników i koalicjantów. Przy okazji oberwało się ekspertom, którzy „nie wygrywają wyborów, bo wygrywa się siłą i determinacją”.

Odezwały się nawet ukryte tęsknoty Tuska, kiedy z zaskakującą otwartością wyznał: „Jak patrzę na ich [prawicy] wyborców, to widzę wojsko, armię. Widzę gości, którzy nie marudzą, tylko jazda do przodu. A po naszej stronie widzę piękną, pluralistyczną, różnorodną i bardzo mądrą grupę ludzi. Ale was przekonać jest trochę trudniej niż Kaczyńskiemu wydać rozkaz swoim. Spróbujmy więc założyć pancerze, wziąć tarczę i miecz, bo w demokracji ludzie od czasu do czasu muszą też stanąć do walki”.

Recepta sama w sobie była dosyć wątpliwa, gdyż elektorat liberalno-demokratyczny tym się właśnie różni od prawicowo-konserwatywnego, że nie ulega aż tak chętnie autorytetom i jest zorientowany raczej indywidualistycznie. Jakoś jednak zrozumiała, gdyż Tusk też przecież miał swoje wojsko, które na jego zawołanie maszerowało w pierwszym szeregu antypisowskich marszów i w zwycięskiej kampanii orkiestrowało mu propagandę w internecie.

Miewało to niekiedy sekciarskie formy, skutkując toksycznymi nagonkami na sojusznicze partie bądź nie dość pryncypialnych komentatorów. Po latach można zresztą zobaczyć, że nie wszystkie ówczesne inwestycje Tuska były właściwe. Przed wyborami w 2023 r. głośny był przypadek zdyscyplinowania posła Sławomira Nitrasa, który na żądanie swojego partyjnego szefa publicznie ukorzył się przed wpływowym influencerem ze społeczności „Silnych Razem”. Tym samym, który po ostatnich wyborach doznał olśnienia, przesiadając się z fandomu Tuska wprost do fandomu Nawrockiego. Chociaż to przypadek tyleż malowniczy, co odosobniony i przez to anegdotyczny.

Na Pabianicach zresztą się skończyło, kolejnych bezpośrednich interakcji już nie było. Podobnie jak nie ma wywiadów z premierem, w których mógłby zmierzyć się z kłopotliwymi pytaniami, żeby rozwiać wątpliwości swoich zwolenników. Chociaż zarazem Tusk nieustannie coś ogłasza, komunikuje, publikuje filmiki o różnym stopniu powagi. I jest w tym biegły, niekiedy nawet błyskotliwy. Tyle że to produkcja dla rozproszonego adresata, czyli trochę dla wszystkich, a trochę dla nikogo. Toteż co najwyżej przykuwa czasami uwagę, ale raczej nie buduje więzi.

„Naprawdę osiąga się dużo więcej, będąc konsekwentnie niezawodnym niż okazjonalnie wyjątkowym” – stwierdziła niedawno Eliza Michalik, jedna z najpopularniejszych w fandomie Tuska internetowych influencerek. Ostrożnie skądinąd dawkowała gorycz, stwierdzając na sam koniec: „Być może w tym, co robi KO, jest jakiś sens, ale chciałabym go zobaczyć”.

Najwyraźniej poruszyła czułą strunę, bo w komentarzach ujawniła się długa litania żalów: „Też mi przeszkadza ten brak komunikacji”; „Aż mi się chce płakać”; „Dlaczego nasz rząd jest taki bezradny?”; „Wydaje mi się, jakbyśmy żyli w równoległych ▶

eprasa.pl a53f7da89d

▶ rzeczywistościach... My ich wybraliśmy, a oni nas nie słuchają"; „Panie Premierze Tusk, kiedy nas pan zacznie traktować poważnie?"; „Mam wrażenie, że Tuskowi się już nie chce... Jakoś tak kapcanieje"; „Pięknie przegrają następne wybory"; „Jestem załamany". I tak dalej.

W takich miejscach chyba najgłębiej można zajrzeć w morale „etosowego" wyborcy KO. Poczuć ów duszony żal, którego nie widać w sondażach. Tłumione wciąż jeszcze rozczarowanie, z którym nie wypada się publicznie obnosić, żeby nie zarażać innych i nie dostarczać argumentów drugiej stronie. Ale po naciśnięciu wrażliwego guzika to się samo zaczyna wylewać.

Zarzuty nie ograniczają się zresztą do marnej komunikacji. W jakiejś mierze to chyba zresztą próba ukrycia ogólnego zawodu jakością tych rządów. Pozostaje co najwyżej nadzieja, że jakiś sens mimo wszystko zalega pod grubą warstwą codziennej szarpaniny, chaotycznego meandrowania pomiędzy prawicowymi wrażliwościami, taktycznego ustępowania z kolejnych bastionów. Cóż bowiem najmocniej spajało ten elektorat przed 15 października 2023 r.? Trzy sprawy: odbudowa praworządności, rozliczenie poprzedników oraz prawo do aborcji. Jedna po drugiej kolejno później upadały. Najpierw aborcja, w znacznej mierze z powodu oporu Trzeciej Drogi, która na jakiś czas skanalizowała złość. Później praworządność, której uporządkowanie wcale nie było tak proste, jak początkowo zapowiadano, a po przegranych wyborach prezydenckich pozostały do dyspozycji już tylko półśrodki. Ale największym źródłem rozczarowania są bez wątpienia ślamazarne rozliczenia, symbolizujące w oczach najwierniejszego elektoratu ogólną niemożność tej władzy.



Wciąż działa Komitet Obrony Demokracji. Ostatnio zorganizował w całej Polsce manifestacje w obronie Ukraińców, co wymagało odwagi.

Zwłaszcza że oczekiwania zostały rozbudzone w stopniu niebotycznym. Pod wieloma względami symboliczna jest rola Romana Giertycha, który dla wielu „twardzieli" był wyrocznią, a w sieciach społecznościowych również animatorem i dyrygentem. Trudno byłoby pewnie zliczyć wszystkie wpisy posła – mecenasa, w których wsadzał pisowskich prominentów do celi. I wciąż na tym nie poprzestaje, chociaż to już dzisiaj tylko karykatura sprawiedliwości, która nie nadeszła.

I to zniechęcenie daje o sobie znać również w internetowym królestwie Giertycha, jego osławionej „farmie trolli". Spadły zasięgi oraz temperatura na forach. Statystycznie każdy wpis wywołuje śladowe reakcje i niemal wyłącznie w obrębie społeczności, o czym informuje chociażby analizująca internet Res Futura. Paradoksalnie można było sobie ostatnio przypomnieć o istnieniu tej grupy wsparcia dzięki materiałom Kanału Zero, którego szef toczy osobistą wojenkę z Giertychem. Faktycznie jej polityczne znaczenie jest dzisiaj śladowe, gdyż najczęściej ogranicza się do mechanicznego przekazywania treści polityków KO, bez istotnego emocjonalnego podbicia z własnej strony.

I nie jest to problem uwiądu morale strażników doktryny. Problemem jest sama doktryna, a raczej jej brak. Jakiego właściwie państwa i jakich wartości należy dzisiaj bronić?

Za rządów PiS wszystko wydawało się dosyć proste. Praworządne państwo stanowiło ogólną ideę, której należało bronić. Unia Europejska była symbolem zakotwiczenia w świecie zachodnim. Potem to się wszystko rozmyło w prawnym chaosie, unikach, nieprzekonujących próbach budowania alibi („bo prezydent i tak zawetuje...") oraz kolejnych kompromisach obecnego rządu, który nie umiał spełnić obietnic.

W sumie nic dziwnego, że po stopieniu się twardego aksjologicznego rdzenia ekipa Tuska próbuje uciekać w mimikrę, stając się od czasu do czasu imitacją prawicy w wersji *light*. Taktycznie to się niekiedy sprawdza, chociaż strategicznie już nie, co było widać w wyborach prezydenckich. I dzisiaj to się nadal odbija. Premier ma całkiem sporo do powiedzenia rozmaitym grupom, które niekoniecznie za nim przepadają, ale z różnych powodów obawiają się recydywy prawicowego populizmu. Najmniej jednak tym, które najbliżej stały i naprawdę uwierzyły w jego nadludzkie moce. Ledwo co namawiał tych wyborców do nałożenia pancerzy i karnego ustawienia się w szyku bitewnym, a dzisiaj jakby wstydliwie odwracał wzrok.

W ten sposób marnuje jednak swój podstawowy kapitał. Bynajmniej zresztą nieoczywisty, bo nie jest przecież tak, że Tusk zawsze miał oddaną armię fanów. Przez długie lata była to unikalna zdolność Jarosława Kaczyńskiego, której lider Platformy z pewnością mu zazdrościł. Jego więź z wyborcami polegała przy pierwszym podejściu do władzy na czymś innym. Był zaporą przed PiS, miał po prostu wygrywać wybory. Ale już do roli przewodnika stada nie aspirował. Najczęściej sam za nim podążał, żeby na koniec je pozostawić.

I dopiero po powrocie do krajowej polityki na symbolicznym białym koniu stał się wreszcie prawdziwym przywódcą. Dzisiaj już pewnie trudno dojść, czy więcej w tym było jego osobistej zasługi, czy też wspólnota sama się zrodziła z doświadczenia zła pisowskich rządów, co wykreowało popyt na zbawcę. Tak czy inaczej metoda rządzenia Tuska jakoś specjalnie się nie zmieniła w porównaniu z jego poprzednimi rządami. Znów chodzi o łapanie ogólnego nastroju, bez ekstra premii dla o wiele liczniejszej twardej bazy. W efekcie KO na powrót staje się partią, na którą głosuje się z rozsądku, ale już bez frajdy. Pozbawioną zdolności budowania więzi.

Rozproszył się również wspierający obecne rządy ruch obywatelski. Weterani ulicznej opozycji gdzieś się pozaszywali. Niekiedy można ich spotkać na rozmaitych konferencjach, gdzie dają upust swojemu rozczarowaniu. Wciąż jednak działa Komitet Obrony Demokracji, dysponujący silną ramą organizacyjną. Ostatnio zorganizował w całej Polsce manifestacje w obronie Ukraińców, co dzisiaj wymaga odwagi. Ale jeśli chodzi o samą politykę, to nastroje są minorowe. Podczas niedawnego zjazdu KOD zgłaszano nawet postulaty wystawienia własnych list w wyborach do Sejmu, do czego pewnie nie dojdzie, ale już sam pomysł świadczy o rosnącym dystansie aktywistów do Tuska i jego formacji.

© WOJTEK LASKI/EAST NEWS

eprasa.pl a53f7da89d

Tymczasem wielkimi krokami zbliża się kolejna kampania i znów trzeba będzie się mobilizować. W 2023 r. uliczne marsze udały się wyśmienicie, chociaż zwołując pierwszy z nich na 4 czerwca, Tusk zagrał va banque. Bo nawet wtedy nikt nie mógł mieć pewności, czy na ulicach Warszawy faktycznie pojawi się „milion serc". Gdyby frekwencja wtedy nie dopisała, nie byłoby tej fantastycznej dynamiki w decydującej fazie kampanii.

Ale czy za rok to się może ponownie udać? I czy warto w ogóle podejmować ryzyko? Ponownie z Tuskiem w roli samotnego szeryfa? Niby badania pokazują, że przynajmniej wyborcy KO wciąż akceptują go w roli premiera. Ale kiedy dać im możliwość wyboru – jak w sondażu Pollster z ubiegłego tygodnia – to nawet oni woleliby w tej roli Radosława Sikorskiego, który wciąż jeszcze posiada jakąś zdolność rozbudzania entuzjazmu.

Wcześniej być może trzeba będzie zmierzyć się z referendum w sprawie odwołania Rafała Trzaskowskiego. Zebranie stosownej liczby podpisów pod wnioskiem nie jest oczywiste, ale mimo wszystko możliwe, jeżeli spojrzeć na rozkłady poparcia w ostatnich wyborach samorządowych oraz prezydenckich w samej tylko Warszawie. Wtedy pojawi się zasadniczy dylemat: czy raz jeszcze (jak w Krakowie) wzywać do bojkotu, czy może jednak zdecydować się na kampanię afirmatywną?

Obie opcje są jednak ryzykowne, bo w naszej demokracji na sterydach obywatele pragną mieć wpływ i odwodzenie ich od tego może wywołać efekt przekory, a z kolei obolały Trzaskowski wyjątkowo słabo nadaje się dzisiaj na bohatera pozytywnego. I chociaż trudno sobie wyobrazić, żeby został na koniec odwołany, już sama kampania referendalna może być doświadczeniem demotywującym w samym bastionie liberalnego elektoratu.

Z drugiej strony to właśnie postawa Trzaskowskiego zasługiwała ostatnio na uznanie, kiedy po aferze szpitalnej potrafił się cofnąć, uderzyć w piersi, podjąć niepozorowane działania. Być może taki rachunek sumienia powinien zrobić cały obóz na jesienną rocznicę wyborów. Niekoniecznie przed całą Polską, ale właśnie przed tymi wyborcami, którzy pokładali w tej ekipie szczere nadzieje. Tylko że Tusk nigdy nie był politykiem skłonnym do rachunków sumienia.

Ale może właśnie dlatego tym bardziej warto. Zwłaszcza że powoli zaczyna powracać dyskusja o konsolidacji całej koalicji w jednym bloku wyborczym. Wcześniej nie miało to większego sensu, ale po rozłamie w PiS i spłaszczeniu się prawicowych słupków okoliczności się zmieniły. Dzięki ordynacji D'Hondta zapewne udałoby się wyszarpać sporo dodatkowych mandatów kosztem prawicy. Mówi się już o tym w KO, ale do takiego rozwiązania dojrzewa też PSL, które chyba straciło ochotę na budowanie kolejnej „trzeciej drogi", a tym bardziej start pod własnym szyldem. Oporna pozostaje jedynie Lewica, chociaż akurat jej lider potrafi się otwierać na racjonalne argumenty.

Tyle że wystawienie wielkiego bloku demokratycznego nie może być tylko operacją techniczną. I nie wystarczy też oświadczyć, że idziemy razem, żeby zatrzymać Nawrockiego, Brauna i Bąkiewicza, korzystając jednocześnie z niektórych ich patentów. Przydałoby się coś więcej – jakieś zasadnicze odnowienie demokratycznej obietnicy, odważne podniesienie sztandaru, próba ekspiacji. Już bez mrugania okiem w stronę „twardzieli", którzy rzekomo zniosą wszystko. To już nie jest bowiem wcale oczywiste.

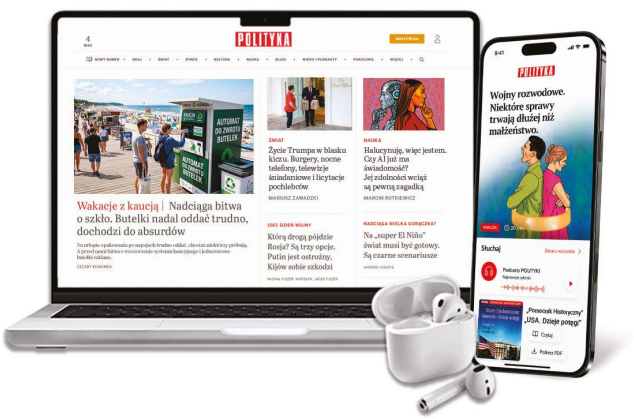
RAFAŁ KALUKIN

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień
przez cały rok



Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl a53f7da89d

Są głosy, że gastrofizyka jako dziedzina nauki nie istnieje. Według innych są dwie gastrofizyki. A może nawet trzy.

Zmysłowa gastrofizyka



eprasa.pl 363f7da89d

JOANNA PODGÓRSKA

Białe talerze są słodsze od czarnych, ale słodycz najbardziej potęgują okrągłe talerze w kolorze czerwonym. Czarne i kanciaste wyciągają smaki gorzkie i pikantne. To jedno z ustaleń prof. Charlesa Spence'a, wykładowcy psychologii eksperymentalnej na University of Oxford, autora terminu „gastrofizyka" i książki pod tym tytułem. Gastrofizyka to dziedzina łącząca psychologię, neuronaukę i gastronomię. Bada czynniki wpływające na polisensoryczne doznania w czasie spożywania posiłków. Dla Spence'a polisensoryczność to słowo klucz, bo – jak twierdzi – podczas jedzenia nie da się pominąć „całej reszty". Ludzkie zmysły nigdy nie działają w pojedynkę. Na doznania w czasie jedzenia wpływają – poza smakiem – wzrok, słuch, węch, dotyk. „Ponad połowa mózgu jest zaangażowana w przetwarzanie tego, co widzimy, a odbieraniem smaku zajmuje się bezpośrednio zaledwie ok. 1 proc. Przyczyną jest to, że nasz mózg korzysta ze statystycznych regularności w środowisku, więc uczymy się przewidywać przypuszczalny smak i wartości odżywcze potencjalnego pożywienia na podstawie innych wskazówek sensorycznych, takich jak kolor czy zapach" – pisze.

Podczas posiłku liczą się nastrój, emocje, oczekiwania. A Spence uczy, jak można tymi doznaniami manipulować. Dlatego gastrofizyka to dziś nie tylko nauka eksperymentalna, lecz także forma komercyjnych usług dla restauracji, coraz bardziej popularna w zachodniej Europie. W Polsce dopiero raczkuje. – *Coraz więcej restauratorów zaczyna dostrzegać znaczenie muzyki, światła czy zapachu, ale nadal brakuje w Polsce ekspertów, którzy potrafiliby kompleksowo projektować takie doświadczenia. Pojawiają się nowe zawody, takie jak stylista stołu czy ekspert od sensoryki, ale restauratorzy i szefowie kuchni opierają się głównie na swoim doświadczeniu i intuicjach, a nie na badaniach czy raportach* – mówi Agnieszka Małkiewicz, założycielka platformy Made for Restaurants.

Jako najprostszy przykład zastosowania gastrofizyki w polskich restauracjach podaje otwarte kuchnie. Skwierczenie, zapach pieczenia, obserwowanie pracy kucharzy to dokładnie to, o czym mówi Spence – posiłek zaczyna się przed pierwszym kęsem. Inny przykład to przygotowywanie koktajli i moktajli: bąbelki, dymy, kolory, pocieranie skórką. Ukochana zabawa barmanów i bywalców barów premium.

Eksperymenty Spence'a idą o wiele dalej. Udowodnił, że kolory mają smaki. W jednej z restauracji gościom podano cztery losowo rozmieszczone łyżki z kulkami smaku: czerwoną, białą, zieloną i brązowo-czarną, by ułożyli je w porządku: słony, słodki, kwaśny i gorzki. Żadnych innych wskazówek nie było, a mimo to 75 proc. badanych ułożyło łyżki zgodnie z oczekiwaniami badacza. W innym eksperymencie zaserwowano stek z frytkami i groszkiem w sali o mocno przygaszonym świetle. Gdy w trakcie kolacji wnętrze się rozjaśniło, okazało się, że goście jedzą niebieskie steki, zielone frytki i wściekle czerwony groszek. Sporo osób poczuło się na tyle źle, że natychmiast musiało się udać do toalety.

Na percepcję smaku działają takie szczegóły jak ciężar sztućców (w restauracjach powinny być ciężkie, lekkie kojarzą się ze stołówką lub tanią jadłodajnią), cena (w jednym z eksperymentów badano, co się dzieje w mózgach pijących wino, kiedy dostawali różne, często mylące informacje na temat jego ceny – wszyscy zgłaszali, że droższe smakuje lepiej, a analiza zdjęć mózgu wykazała zwiększony przepływ krwi w ośrodku nagrody). Ważna jest też muzyka – np. klasyczna sprzyja rozrzutności, bo kojarzy się z klasą i zamożnością. W jednym z najbardziej przekonujących ekonomicznie eksperymentów w dziale win w brytyjskim supermarkecie obserwowano wpływ muzyki na decyzje zakupowe. Gdy odtwarzano akordeonową muzykę francuską, rosła sprzedaż francuskich win, a kiedy puszczano niemiecką muzykę biesiadną, klienci sięgali po wina niemieckie. I dotyczyło to ponad 70 proc. klientów, choć przy kasach zaprzeczali, żeby muzyka miała wpływ na ich decyzje.

Część szefów kuchni dystansuje się od gastrofizyki, twierdząc, że liczy się tylko smak i powinien on sam się obronić. Jednak restauratorzy coraz częściej sięgają po wskazówki Spence'a, który przekonuje, że chodzi nie tylko o posiłek, lecz także o „pożywienie spoza talerza".

Bielszy odcień jogurtu

To, co robią w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, można nazwać gastrofizyką z chemicznym twistem. Badacze określają tę dziedzinę sensoryką. – *Jest to gałąź nauki zajmująca się oceną żywności z udziałem wszystkich zmysłów, jakie mamy do dyspozycji* – wyjaśnia prof. Ewelina Hallmann z Katedry Żywności Funkcjonalnej i Ekologicznej. Wariant najprostszy to badania konsumenckie, podczas których zaprasza się grupę liczącą minimum 20 osób (wtedy są to badania semikonsumenckie), aby wypowiedziały się o jakimś produkcie.

– *Załóżmy, że testują herbatniki* – opisuje prof. Hallmann. – *Oceniają ich kształt, kolor, czy są odpowiednio kruche, słodkie i wydają ostateczną decyzję, czy je lubią, czy nie. Narzędziem oceny jest skala w postaci dziesięciocentymetrowej nieskalowanej linii, gdzie oznaczeniami brzegowymi są stwierdzenia: lubię, nie lubię. Konsument stawia na tej skali znacznik, a my to przeliczamy na punkty, uzyskując ocenę odbiorcy produktu.*

Drugi rodzaj to analiza opisowa, którą wykonuje wykwalifikowany zespół, przeszkolony wcześniej m.in. pod kątem tzw. wyróżników, czyli określeń używanych do oceny. Te testy przeprowadza się w odosobnieniu (zespół może siedzieć w jednym pomieszczeniu, ale podzielonym na boksy). Próbki wsuwa się przez specjalne okienka, które potem się zamykają. Pracuje się w ciszy i skupieniu, by testujący mogli się skupić na wykonaniu testu sensorycznego.

– *Dostają konkretne zadania, np. spośród kilku próbek soku jabłkowego wybierz tę najsłodszą albo uszereguj je od najbardziej do najmniej kwaśnej* – tłumaczy prof. Hallmann. – *Prosimy też o dobranie wyróżników do danego produktu. To są smaki podstawowe, ale też zapachy czy aromaty. W przypadku soku jabłkowego można np. wyczuwać nuty nektarowe, trawiaste, łąkowe; wszystko, co czujemy, testując próbkę. Wyróżnikami są także kolory produktu. W przypadku jogurtów to może być cała paleta: od bieli, przez kremy, żółcie, róże, aż po purpurę.*

Takie badania najczęściej zlecane są przez producentów żywności, którzy chcą wprowadzić na rynek nowy produkt. W przypadku drugiej metody nie wystarczy proste: lubię, nie lubię. ▶

© DZIĘKI UPRZEJMOŚCI RESTARACJI DIFFERENT

eprasa.pl a53f7da89d



© SHUTTERSTOCK

▶ Zespół sensoryczny wydaje opisową ocenę produktu, decydując, czy jest dobry, czy nie. Jeśli zakwestionuje smak, zapach lub konsystencję, producent raczej nie wypuści go na rynek. Rzecz idzie do poprawek, receptura zostaje zmieniona zgodnie z sugestiami zespołu i ponownie trafia do oceny. Tu – w przeciwieństwie do eksperymentów Spence'a – emocje powinny być ograniczone, by nie wpływać na wynik.

– *Dam klasyczny przykład* – mówi prof. Hallmann. – *Gdybym trafiła do zespołu mającego oceniać kiełbasę, zatajając, że jestem wegetarianką, i zrobiła tę ocenę wbrew swoim przekonaniom, nie byłabym obiektywna, bo w grę wchodziłoby negatywne nastawienie do mięsa. Podobnie mięsożerca, kompletnie nieprzyzwyczajony do produktów sojowych, nie oceni dobrze ich smaku czy konsystencji. Dlatego badania poprzedzamy dyskusją zespołową.*

Etap trzeci – najnowszy – to oceny fizykosensoryczne. Na SGGW mają już sztuczny język, sztuczne oko i sztuczny nos; urządzenia mechaniczne, które nutę zapachową – dajmy na to – soku jabłkowego oceniają na podstawie obecności aromatycznych związków lotnych, np. z grupy ketonów czy aldehydów. W przypadku smaków może to być ocena zawartości kwasów organicznych czy cukrów. – *Przy czym nie jest to klasyczna analiza ilościowa. To jakby przejście pomiędzy oceną za pomocą zmysłów a analizą chemiczną* – tłumaczy prof. Hallmann. – *I to jest bardzo fajne, bo mówi nam więcej o jakimś surowcu czy produkcie niż pusta analiza chemiczna.*

Mechanika espresso

Podobno najlepszą kawę w Warszawie można wypić na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. – *Na pewno najbardziej powtarzalną* – ocenia prof. Maciej Lisicki, fizyk teoretyczny specjalizujący się w fizyce materii miękkiej i aktywnej oraz w biologicznej mechanice płynów. W jednym z laboratoriów stoi profesjonalny ekspres, jakiego używają bariści, wzbogacony o dodatkowe druciki – czujniki ciśnienia i precyzyjnego pomiaru masy w filiżance. Obok równie profesjonalny młynek i zapas brazylijskiej kawy. Jak deklaruje prof. Lisicki, kawa jest dla naukowców ważna i bywa paliwem, które umożliwia wiele odkryć. Tym razem wraz z grupą współpracowników postanowił nie ograniczać się do jej picia, ale z nią poeksperymentować. Bezpośrednim impulsem była rozmowa jednego z doktorantów z baristami na Warszawskim Festiwalu Kawy. Skarżyli się, że ta sama kawa, parzona w ten sam sposób, w tym samym urządzeniu, czasem – ni stąd, ni zowąd – wychodzi lurowata. Wiązali to z tzw. kanałowaniem, które zachodzi, gdy woda, przesączając się przez warstwę kawy zwaną ciastkiem, tworzy niepożądane kanały i nierównomiernie rozpuszcza kawę.

– *Jest mnóstwo ekspertów i guru, którzy mają do kawy stosunek niemal religijny i wygłaszają prawdy objawione, ale nikt ich nie sprawdzał. My jako naukowcy mamy narzędzia, by sprawdzić, jak to naprawdę działa* – deklaruje prof. Lisicki. – *Dla fizyka ciastko kawowe to ośrodek porowaty, którego charakterystyki, takie jak rozkład statystyczny rozmiarów drobin, możemy mierzyć np. za pomocą dyfrakcji światła laserowego. Parzenie espresso to proces, w którym spotykają się zjawiska z zakresu mechaniki płynów czy materii miękkiej i transportu substancji rozpuszczonych.*

Badacze sprawdzali, czy do kawy odnosi się prawo Darcy'ego. Ten XIX-wieczny inżynier, budowniczy fontann we francuskim Dijon, wykazał, że im większa różnica ciśnień, tym szybciej woda przesącza się przez piasek. Badania na laboratoryjnym ekspresie pokazały, że w przypadku kawy tak nie jest – dla większych ciśnień tempo przepływu przestaje zależeć od ciśnienia wody. Badano także zawartość kawy w kawie – podczas parzenia co pięć sekund zmieniano filiżankę i badano próbki pod kątem ilości rozpuszczonych substancji. – *Te obserwacje zainspirowały nas do stworzenia modelu matematycznego, który uwzględnia efekty porosprężyste i nieźle opisuje to, co widzimy podczas parzenia espresso* – prof. Lisicki nazywa te badania gastrofizyką i podkreśla, że ten termin Spence niejako podkradł fizykom, a to, co opisuje w książce, należałoby raczej nazwać gastropsychiką czy może psychogastronomią.

– *Czy jako pierwszy w Polsce użyłem pojęcia gastrofizyka dla fizyki kuchennej? Lubię myśleć, że tak, ale pewności nie mam. Na pewno staram się je popularyzować, bo świetnie oddaje naturę rzeczy. Są zjawiska bliskie każdemu, znane z otoczenia domowego, które inspirują do stawiania poważnych naukowych pytań* – mówi prof.

eprasa.pl a53f7da89d



Lisicki. – *Moje zainteresowanie gastrofizyką zaczęło się od tego, że w trakcie pandemii razem z trzema kolegami – ze Stanów Zjednoczonych i z Norwegii – napisaliśmy artykuł o kuchennej mechanice płynów, który zapoczątkował pewną falę w literaturze naukowej. To był czas, gdy naukowcy, nawet nobliści, nie mogąc korzystać z laboratoriów, zaczęli czerpać inspiracje z własnych kuchni.*

Na Wydziale Fizyki wzięto pod lupę także lody. Co roku podczas juwenaliów organizowany jest Dzień Fizyka, którego przebojem są lody przygotowywane przez studentów za pomocą ciekłego azotu – gładsze w smaku od tradycyjnych. Od słowa do słowa zaczęli się zastanawiać dlaczego. Postanowili sprawdzić hipotezę, że podczas gwałtownego mrożenia kryształki lodu są mniejsze niż w tradycyjnych lodach. Za pomocą mikroskopu elektronowego potwierdzili, że faktycznie – są dziesięć razy mniejsze. Jednak lody azotowe włożone do zamrażarki i kilkakrotnie zamrażane zmieniają teksturę i przestają być tak gładkie. Udało się ulepszyć recepturę – ich stabilność zależy od proporcji wody i suchej masy oraz obecności stabilizatorów (długie polimery). Na wydziale powstała także praca licencjacka – podobno świetna – o tym, jak zmienia się sprężystość makaronu w trakcie gotowania. Trwają badania nad procesem wysychania bezy szwajcarskiej.

– *Mamy w laboratorium mały piekarniczek i charakteryzujemy ten proces doświadczalnie, obserwując procesy dyfuzji ciepła i dynamiki parowania* – opisuje prof. Lisicki. Chciałby kontynuować badania nad fizyką parzenia kawy, bo pytań jest jeszcze sporo. Fascynujące mogą też być naleśniki – lepka ciecz, która rozpływa się po patelni. Można zbadać, jak następuje przemiana fazowa, jak zmieniają się właściwości płynu i następuje zestalenie naleśnika.

– *Magia gastrofizyki polega na tym, że bariera wejścia jest niższa niż przy bardziej wyspecjalizowanych tematach. W badaniach nad kawą i innymi produktami brali udział także studenci studiów licencjackich czy magisterskich. Na początku są proste pytania, ale same zjawiska mogą okazać się bardzo skomplikowane i ambitne* – opisuje prof. Lisicki. – *Problemem jest wąskie gardło w pozyskiwaniu funduszy, bo takie badania wydają się niepoważne, dopóki im się bliżej nie przyjrzeć. Może zmieni to nagroda Ig Nobla, tłumaczona na polski jako „antynobel” – moim zdaniem fatalnie, bo to nie jest antynagroda. Jej motto jest takie, że to badania, które w pierwszym momencie nas śmieszą, a potem zastanawiają. O jej randze świadczy fakt, że wręczają ją nobliści.*

W 2025 r. nagrodę dostała grupa Włochów, którzy badali proces powstawania sosu do spaghetti cacio e pepe, robionego z sera pecorino i czarnego pieprzu. Łatwo go zrobić w mniejszej ilości, ale przy większych się rozwarstwia. Zespół fizyków i chemików przebadał to pod kątem termodynamiki wieloskładnikowej mieszaniny. Efektem był naukowy artykuł z przepisem na dużą, nierozwarstwioną porcję sosu cacio e pepe.

Chipsy głośne i świeże

Prof. Charles Spence też był laureatem Ig Nobla, z którego – jak deklaruje – jest bardzo dumny. Wraz z innym badaczem przeprowadził eksperyment nazwany „dźwiękowym chipsem”. Udowodnili, że nawet zleżałe chipsy, gdy podczas konsumpcji towarzyszy im odgłos chrupania, wydają się bardziej świeże i chrupkie. Jego zdaniem opakowania chipsów nieprzypadkowo są tak hałaśliwe i szeleszczące. Eksperymenty Spence'a mają jednak nie tylko komercyjny wymiar. Mogą być też stosowane w dietetyce. Skoro intensywna czerwień wzmacnia odczuwanie słodyczy, to można w ten sposób oszukać mózg i ograniczyć spożycie cukru. Podobnie działa też zapach wanilii czy dźwięki pianina. Wzmacnianie aromatów jedzenia powoduje z kolei, że mózg szybciej sugeruje nam poczucie sytości i może redukować konsumpcję o ok. 10 proc.

Spence gastrofizyki nie porzucił, ale penetruje już nową dziedzinę, *digital dining*, badając, w jaki sposób nowoczesna technologia (w tym sztuczna inteligencja) może wspierać innowacje w gastronomii. Podczas prelekcji dla platformy Made for Restaurants opowiedział o pizzerii w Dubaju, która poprosiła AI o stworzenie nowej kompozycji smakowej. Algorytm zaproponował połączenie arabskiej szawarmy z kurczaka, panierowanego indyjskiego sera, ziół zatar i sosu tahini. Sprawdziło się. Danie trafiło do menu i stało się hitem.

JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl a53f7da89d



Jezior ryk

Na Mazurach szum trzcin ustąpił rykowi wodnych skuterów. Zresztą nie tylko tam. Seria tragicznych uwagę na narastający problem. Tak jak kiedyś quady zaczęły rozjeżdżać lasy, dzisiaj skutery

NATALIA SAWKA

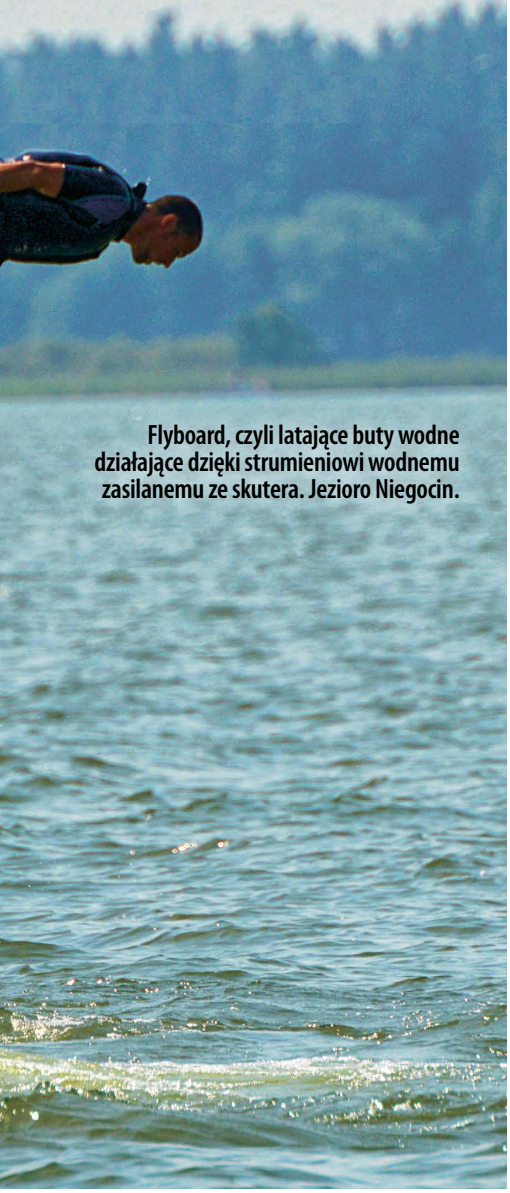
Ukradli nam Mazury, narzekają starzy żeglarze. – *Z roku na rok pływanie w pobliżu Ruciane-go-Nidy, Giżycka i Mikołajek jest coraz trudniejsze* – mówi Roman Pawłowski, który żegluje już 40 lat. W tym roku postanowił samodzielnie opłynąć Jezioro Nidzkie. Powód? Większa część jeziora znajduje się w strefie ciszy, a hałas i ryk motorowodniaków bliżej popularnych portów jest męczący.

Nidzkie to ponad 20 km zatok, wysp i dzikich brzegów. To jedno z tych jezior, które uchroniły się od zalewu masowej turystyki. Wymaga od żeglarzy większego doświadczenia i jak oni sami mówią, kto nie pływał po Nidzkim, ten tak naprawdę nie widział Mazur. Kiedyś Jezioro Nidzkie na wysokości Rucianego brzmiało głosami kormoranów, teraz słychać wyłącznie silniki skuterów. Te są teraz bardzo modne, bo są zwrotne i dynamiczne. Mkną z zawrotną prędkością i pozostawiają wodne pióropusze. Ich właściciele własną radością chętnie dzielą się z innymi. Przecinają kurs płynących jachtów, robią gwałtowne skręty i slalomy przy wejściu do kanałów. – *Przyjemność z żeglowania znika, kiedy całą uwagę muszę poświęcić, by się nie zderzyć z motorówką* – mówi Pawłowski.

Pobite szklanki

Pan Henryk pływa na łódce, którą sam zbudował 50 lat temu. – *Okucia, drewno, wszystko własnymi rękoma. Kiedyś nie było tak jak dziś, że jachty wychodzą gotowe ze stoczni. Każdy, kto marzył o własnej łodzi, musiał nauczyć się szkutnictwa* – opowiada. Żegluje, odkąd skończył 14 lat. Pamięta czasy, kiedy do portów wpływało się na żaglach, a gdy wiatr nie sprzyjał, to brało się do rąk pagaje i wiosłowało do brzegu. Dziś już tego nie ma, przed wejściem do portu trzeba zrzucić żagle i włączyć silnik, a to dlatego, że akweny w nich są zatłoczone, panuje duży ścisk i trudniej manewrować. Ale na Nidzkim tego nie ma, większość miejsc do cumowania to dzikie bindugi, czyli małe drewniane pomosty. – *Jeden mój kolega pływa łódką bez silnika, ale to już rzadkość* – mówi nostalgicznie pan Henryk. Silniki miały pomagać żeglarzom. Dziś są ich przekleństwem. Jedno jezioro po drugim traciło status objętego strefą ciszy, czyli niedostępnego

eprasa.pl a53f7da89d



Flyboard, czyli latające buty wodne działające dzięki strumieniowi wodnemu zasilanemu ze skutera. Jezioro Niegocin.

© ANDRZEJ SIDOR/FORUM

wypadków zwróciła terroryzują jeziora.

dla motorówek, skuterów czy wielkich jachtów motorowych. Na starych mapach jeziora Tyrkło i Tajty to ciągle strefa ciszy. Ale w realu już nie, bo one również straciły swoją ochronę. – *Odkąd rozbudował się tam hotel, rozpoczęło się wynajmowanie skuterów. Wiadomo, hotel chce mieć atrakcje i zarabiać. Dziś jezioro to jedna wielka trasa szybkiego ruchu. Do późnego wieczoru odbywają się wyścigi, co przy tak wąskim jeziorze powoduje duży hałas oraz spore zafalowanie* – opowiada Rafał, który żegluje po Mazurach co roku. – *Skutery to plaga. Są zupełnie anonimowe w odróżnieniu od motorówek* – dodaje.

Najgorzej jest na Bełdanach, zwłaszcza w lipcu, sierpniu i w weekendy. – *Niestety jestem skazany na ten akwen, ponieważ obok w zatoce mam łódkę. To jest przekleństwo. Muszę płynąć zygzakiem, by ich omijać. Pozbyłem się wszystkich szklanek, bo przez te fale wszystko mi się potłukło* – opowiada pan Henryk.

Patent na zabawę

Światy żeglarzy i motorowodniaków są zupełnie inne. W tym pierwszym liczą się wiatr, cierpliwość i umiejętności zdobywane przez lata. Żeglarz sprawdza pogodę, stawia żagle i słucha wiatru. Rejs planuje z mapą albo na smartfonie swojego telefonu. Fani motorówek i skuterów uwielbiają adrenalinę. Wsiadają do swoich ślizgaczy, przekręcają kluczyk w stacyjce i lecą.

Obie grupy mają swój własny kodeks, przyzwyczajenia i listę pretensji wobec drugiej strony. Wypływają na te same jeziora, spotykają się na tych samych kanałach i często mają zupełnie inne oczekiwania wobec akwenu. Na wodzie obowiązują określone zasady. Pływanie po akwenie to nie tylko operowanie rumplem czy manetką gazu – to przede wszystkim znajomość prawa drogi, pierwszeństwa oraz zmieniającej się pogody.

Żeglarstwo na Mazurach wymaga czasu, a nie pieniędzy. Wielu żeglarzy wspomina, że pierwszych manewrów uczyło się od rodziców, dziadków lub znajomych. Zanim samodzielnie stanęli za sterem, spędzili na wodzie dziesiątki, czasem setki godzin. Bo żeglarstwo po wodach śródlądowych to nie tylko znajomość węzłów i żagli.

Żeglarze wiedzą, że jacht płynący prawym halsem ma pierwszeństwo przed jednostką na lewym halsie. Wiadomo jednak, że ważna jest też zasada ograniczonego zaufania i każdy, nawet ten, który ma pierwszeństwo, ma obowiązek uniknięcia kolizji. Pierwszeństwo ma też zawsze żaglówka, chyba że płynie na silniku, to wtedy trzeba puścić tego, który płynie z prawej strony. Choć i to motorowodniacy nie zawsze respektują. Wielu motorowodniaków nie potrafi pogodzić się z koniecznością płynięcia kilka minut za wolniejszą żaglówką. – *Wyprzedzanie przy dużej prędkości powoduje wysoką falę, która może zepchnąć jacht na betonowe nabrzeże. Często wtedy załoga przygotowuje odbijacze i cumy. Wystarczy chwila, by ktoś stracił równowagę* – mówi Przemysław Janusewicz, który na wodzie spędził już 37 lat.

Zakaz wytwarzania fal nie został wprowadzony przypadkowo. Jest szczególnie ważny przed kanałami, mostami i portami, gdzie żeglarze przygotowują swoje jachty do przejścia przez przeszkody. Najbardziej niebezpiecznie jest, gdy ktoś robi falę przy płynącym jachcie, którego załoga jest w trakcie składania lub stawiania ciężkiego masztu. – *Sternik skupiony jest na manewrach, a załoga ma ograniczoną możliwość utrzymania równowagi. Nagłe zafalowanie może sprawić, że ktoś się poślizgnie, upuści maszt i uderzy nim członka załogi* – mówi Andrzej.

Spaliny i paliwo mogą trafiać do jeziora, hałas płoszy ptaki i ryby, a fala podmywa brzegi oraz wzburza dno. Wytwarza się fosfor, który sprzyja zakwitowi glonów i sinic. – *Wysoka fala regularnie uderzająca w brzeg jeziora niszczy trzcinowiska i zakłóca miejsca lęgowe ptaków wodnych oraz siedliska wielu ryb* – wymienia Janusewicz.

Drogo i wygodnie

Wynajem motorówki na Mazurach wiąże się z kosztem 1 tys. zł za dobę plus opłata za paliwo. Choć można znaleźć tańsze. Są też wyścigówki, których wynajem za dzień kosztuje ponad 4 tys. zł w sezonie i 6 tys. kaucji. Moc silnika takiego ścigacza to 350 koni mechanicznych. Taka moc jest większa od mocy większości samochodów na polskich drogach i pozwala osiągnąć prędkość przekraczającą 80 km/h w ciągu kilku sekund. Za wydane tysiące można poczuć wiatr, prędkość i robić slalomy.

Na Mazurach oprócz motorówek i skuterów pływają też potężne houseboaty. Te przypominają luksusowe apartamenty. Mają wyposażone w elektryczny piekarnik kuchnie, wygodny salon, łazienkę. Są tak komfortowe, że można nimi się przemieszczać niezależnie od pogody. Idealne dla tych, którzy lubią wygodę i relaks. Te bardziej premium kosztują ponad 1,6 tys. zł na dzień, ale zdarzają się też takie za ponad 2–3 tys. zł. Dla firm czarterowych to bardzo dochodowy biznes. Im mniej formalności dla klientów, tym większa grupa osób może je wynająć. – *Na takie wakacje trzeba przeznaczyć 15 tys. zł. To nie są biedni ludzie* – mówi Krzysztof, który pływa na Mazurach już czwarty sezon. By wyczarterować luksusową łódkę, nie potrzeba patentu. Warunek? Houseboat ma ograniczoną moc silnika i nie może płynąć szybciej niż ok. 15 km/h. Wystarczy dowód osobisty, krótkie przeszkolenie (zwykle 30–60 minut, teoria plus manewry) i kilkutysięczna kaucja. – *Sterują nimi ludzie bez doświadczenia. Miałem kilka lat temu w Kanale Giżyckim kolizję z płynącym przede mną houseboatem. W pewnej chwili sternik dał całą wstecz i wyhamował* ▶

eprasa.pl a53f7da89d



Houseboaty często wypożyczają ludzie, którzy chcą poimprezować

▶ *na środku kanału. To jest tak, jakby na środku ruchliwej ulicy nagle zahamowała ciężarówka* – mówi Pawłowski. Z tego, co mówi, wynika, że to trochę tak, jakby pozwolić prowadzić ciężarówkę bez prawa jazdy, pod warunkiem że będziesz wolno jechał.

Problemy nie kończą się tylko na powierzchownej znajomości zasad bezpieczeństwa na wodzie. Według Pawłowskiego jednostki wypożyczają ludzie, którzy głównie chcą imprezować. – *Cumowanie przy takim pływającym hotelu to masakra: głośna muzyka, hałasy do późnej nocy, pijackie imprezy na kei. Porty to niestety tolerują, bo czarterowanie i opłaty za cumowanie houseboatów przynoszą duże zyski* – opowiada żeglarz. Houseboaty wygrywają z żaglówkami, ponieważ można je wypożyczyć w dwie osoby, a na jachcie potrzebni są do pomocy ludzie. – *Na żagle nie mam patentu, może kiedyś zrobię. Na houseboacie jest wygodnie i mam wszystko, czego mi trzeba* – opowiada Tomasz, który pływa jako motorowodniak już czwarty rok. – *Nie pływam szybko na jeziorze, chcę, by inni się czuli bezpiecznie. Porty wybieram małe, jest spokojniej i brak imprez do rana* – mówi.

(Nie)bezpieczeństwo

Urlop na Mazurach może jednak skończyć się tragicznie. Każdy kolejny sezon przynosi wypadki, kolizje i akcje ratunkowe. W niedzielę 9 sierpnia 16-latek, który płynął na skuterze wodnym, zderzył się z motorówką. Nie przeżył. Jak przekazała policja, pochodzący z Ostrołęki nastolatek posiadał odpowiednie patenty. Na Mazurach płynął z ojcem, który towarzyszył mu na osobnym skuterze. Na pokładzie motorówki było małżeństwo z Warszawy, obydwoje trzeźwi, a sternik posiadał odpowiednie uprawnienia.

Jak mówi ratownik Radosław Wiśniewski z Mazurskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Giżycku, w 2024 r. ratownicy mieli 348 akcji ratowniczych, z czego pomocy udzielono 979 osobom. Rok później MOPR miał 313 interwencji, 955 osobom udzielono pomocy. W sezonie 2026 r. interwencji było 184, z czego 81 dotyczyło akcji ratunkowych.

Najczęstsze przyczyny wezwań to brawura, przecenianie własnych możliwości, brak doświadczenia, warunki pogodowe, używki i nieznajomość szlaku. Kontrole trzeźwości prowadzi policja – w 2025 r. było ich ponad 2 tys., z czego pod wpływem alkoholu było ośmiu sterników łodzi motorowych. – *Osoby, które nie mają odpowiedniego doświadczenia, nie mają też świadomości, że łódka czy skuter na wodzie to nie to samo co samochód czy motocykl na drodze* – mówi podkom. Tomasz Markowski z KWP w Olsztynie.

Jednym z najbardziej niepokojących widoków na Mazurach jest przewożenie dzieci na dziobie. Motorówka płynie w ślizgu, a na samym dziobie siedzą dzieci ze zwisającymi nogami. Często bez kamizelek ratunkowych. – *Wystarczy niewielka fala lub gwałtowny skręt, a dziób może mocno podskoczyć. Dziecko może zostać wyrzucone z pokładu, a konsekwencje takiego wypadku bywają tragiczne* – opowiada Janusewicz.

Problemem są też nieodpowiedzialni właściciele skuterów, którzy powierzają swoje maszyny dzieciom. W Giżycku na jeziorze Niegocin 11-latek pod opieką ojca nagle dodał gazu i z impetem uderzył w nadwodną stację paliw. Chłopiec doznał urazu głowy i nogi. Żeby prowadzić motocykl o podobnej objętości silnika, trzeba mieć 18 lat i prawo jazdy. Tutaj znacznie mocniejsze silniki są w rękach dzieci.

Rok temu dwóch nietrzeźwych 30-latków pływało we dwójkę brawurowo skuterem po jeziorze Roś. Wytwarzali wysoką falę i nie zwracali uwagi na policjantów, którzy próbowali ich zatrzymać. Uciekając, spadli ze skutera do wody. W trakcie interwencji znieważali funkcjonariuszy, a jednemu z nich grozili pozbawieniem życia. Jeden z nich został skazany na osiem miesięcy więzienia. Sąd orzekł również trzyletni zakaz prowadzenia jednostek mechanicznych na wodzie.

Od czasu liberalizacji przepisów w latach 2010–13 polskie akweny stały się dostępne dla wszystkich marzących o urlopie pod żaglami lub za sterami motorówki. Właśnie ta deregulacja doprowadziła do zjawiska „inflacji patentów". Dotyczy to uprawnień zarówno żeglarskich, jak i motorowodnych. – *Uprawnienia wodne (te żeglarskie i motorowodne) w wielu przypadkach stały się produktem komercyjnym, a egzaminy nie są realnym potwierdzeniem umiejętności* – mówi Adrian Skubis z Polskiego Związku Motorowodnego i Narciarstwa Wodnego.

Jak dodaje Skubis, ta inflacja może doprowadzić do sytuacji, w której polskie uprawnienia motorowodne nie będą honorowane za granicą. – *Taki problem mają na przykład Chorwaci. Wydawane tam uprawnienia nie są uznawane w większości innych państw, bo po prostu podważa się ich wartość i jakość uzyskiwania tego dokumentu* – tłumaczy.

Dodaje, że z danych Związku wynika, że uprawnień motorowodnych robi się czterokrotnie więcej niż uprawnień żeglarskich. I rzeczywiście dysproporcja jest wyraźna: w 2025 r. wydano łącznie 72 033 uprawnienia dla motorowodniaków, a patentów żeglarskich 17 331.

Bez patentu można prowadzić łódź z silnikiem o mocy poniżej 10 kW, czyli niespełna 14 KM. Uprawnienia nie są też potrzebne na houseboaty do 13 m długości i 75 kW mocy, jeśli ich konstrukcja ogranicza prędkość do 15 km/h. Dla porównania nawet słabsze skutery wodne mają ok. 60–90 KM i do ich prowadzenia patent sternika motorowodnego jest już wymagany.

Skubis dodaje, że największym problemem jest to, że część egzaminów na uprawnienia motorowodne odbywa się bez właściwej jakości i kontroli, a wiele z nich nie jest poprzedzonych szkoleniem, które zgodnie z przepisami nie jest obowiązkowe. Dlatego postuluje przywrócenie obowiązkowych szkoleń, tak jak to jest w ośrodkach autoryzowanych przez PZMWiNW.

Pawłowski kiedyś spokojnie mógł odetchnąć na Nidzkim w południowej części jeziora, gdzie obowiązuje zakaz pływania na silnikach. – *Cisza bywała tak gęsta, że nawet z jachtu zacumowanego kilkaset metrów dalej dobiega odgłos krojenia chleba.* Skończyła się.

NATALIA SAWKA

© ERYK STAWIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl a53f7da89d

Sami niewinni?

Ostatnio głośno o uniewinnieniach. Są sprawy ludzi ewidentnie skrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości i takie, które budzą wątpliwości. Prezydenckie ułaskawienie Piotra Pytla to też nie jest czarno-biała sprawa.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Piotr Pytel mówi o sobie, że „święty nie był". To eufemizm. Zaczęło się od tego, że uciekł przed laty do Niemiec, bo w Polsce ścigała go skarbówka. Tam imał się różnych prac dorywczych, ale ciągle marzył o wielkich pieniądzach. Stąd pomysł napadów. Z tym że – jak opisywał niemiecki sąd – „nie chciał osobiście stosować przemocy w stosunku do potencjalnych ofiar". Dobrał więc sobie 17-letniego chłopaka, którego ściągnął specjalnie z Polski. Pytel miał wówczas 35 lat. Najpierw zaplanował napad na 78-letniego właściciela kamienicy w Monachium, gdzie wynajmował mieszkanie. W dniu, kiedy starszy pan zbierał czynsze, młody wspólnik Pytla uderzył go pięścią w twarz i wyrwał kopertę z tysiącem euro. Za to później Pytel dostał wyrok 7 lat więzienia.

Niedługo po tym napadzie zaplanował kolejny, tym razem na luksusową prostytutkę, który zakończył się jej śmiercią. O zabójstwie zrobiło się głośno, więc Pytel ze strachu pozbył się łupu. Policja zatrzymała kierowcę, który odebrał go ze wspólnikiem po napadzie. I to on wystawił Pytla policji, umawiając się z nim w pizzerii, gdzie został zatrzymany. Jego młody wspólnik zniknął. Dziś wiadomo, że od razu uciekł do Polski. Pytel przyznał, że chciał okraść kobietę, ale tylko tyle. Aresztant przebywający z nim w jednej celi zeznał jednak, że Pytel przyznał, że był w jej mieszkaniu, ale wyszedł po tym, kiedy wspólnik zaatakował. Osłaniał napad od ulicy.

W 2006 r. niemiecki sąd skazał Piotra Pytla na karę dożywotniego pozbawienia wolności „za rozbój i sprawstwo kierownicze zabójstwa". Potem, na podstawie konwencji o przekazywaniu osób skazanych, skierował go do odbycia kary w Polsce.



© PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Uzasadniając wyrok, sąd napisał, że oskarżony działał z żądzy zysku, usiłując w sposób odrażający zdobyć ten zysk za wszelką cenę. To zdominowało całkowicie czyn i świadomość. Stało ono w punkcie centralnym całego planowanego zachowania. Oskarżony godził się na śmierć ofiary, żeby móc sobie przywłaszczyć przedmioty wartościowe znajdujące się w jej mieszkaniu.

Swoje wycierpiał

Polskiej policji udało się namierzyć młodego wspólnika Pytla. Przyznał się do zabójstwa i został w Niemczech skazany jedynie na 10 lat więzienia, bo w momencie napadu był nieletni. Zaprzeczył, by Pytel był w mieszkaniu ofiary – podkreśla to często adwokat Paweł Matyja, który w książce „Adwokat diabłów" opisał sprawę Pytla, przekonując, że siedzi niewinnie.

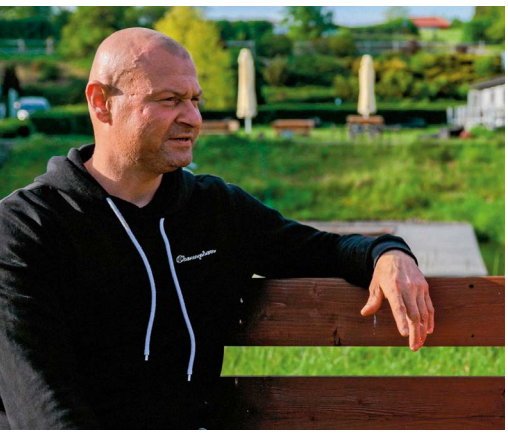
Dla niemieckich śledczych nic to nie zmieniało. Prokuratura Okręgowa w Tarnobrzegu w 2013 r. przekazała niemieckiej prokuraturze wniosek Pytla o wznowienie postępowania w związku z zeznaniami dawnego kompana. Sąd Krajowy w Augsburgu ocenił go jednak negatywnie.

– *Wskazał, że wprawdzie to Tomasz W. własnoręcznie zabił kobietę, jednak nie czyni to z niego jedynego sprawcy. Działał on w ramach wymyślonego przez Piotra P. planu. Został do niego specjalnie wybrany i sprowadzony do Niemiec ze względu na swoją brutalność. Piotr P. był sprawcą, nawet jeżeli nie było go bezpośrednio w mieszkaniu lub w jego pobliżu. Miał interes w dokonaniu tego czynu. W końcu to on zgarnął znaczną część łupu – dużo więcej niż Tomasz W. Zdaniem sądu był współsprawcą rabunku i morderstwa* – opisuje Łukasz Malarski, rzecznik tarnobrzeskiej prokuratury.

Wszystkie materiały zostały następnie przekazane do Prokuratury Krajowej. Jak mówi prokurator Andrzej Janecki, dyrektor Departamentu Postępowań Sądowych w Prokuraturze Krajowej, który zajmuje się wnioskami o ułaskawienia, wynika z nich, że Pytel był osobą, która zaplanowała czyn, ściągnęła posłusznego żołnierza, by dokonał brutalnego czynu, dał mu szczegółowe wytyczne, żeby zakneblować kobietę i związać. Kobieta udusiła się własną krwią.

W ten sposób zamknęła się prawna droga wzruszenia niemieckiego wyroku. ▶

eprasa.pl a53f7da89d





Jarosław Sosnowski zwany „drugim Komendą" wyszedł po 20 latach, Piotr Mikołajczyk siedzi już 15. rok, Michał Wierzchoń na zwolnienie czeka od 23 lat.

▶ Jedyną szansą na wyjście z więzienia stało się ułaskawienie prezydenckie. Matka Piotra Pytla pisała prośby o łaskę do prezydenta Andrzeja Dudy. Opinie prokuratury były jednak negatywne i prośby nie dały rezultatu.

Adwokat Paweł Matyja, który zajmuje się sprawą Pytla w ramach założonej przez siebie fundacji Dowód Niewinności, przyznaje, że w takich sytuacjach o losie skazanych ostatecznie decydują politycy. A najskuteczniejszym sposobem, by zwrócić ich uwagę i spowodować podjęcie działań, jest nadanie sprawie medialnego rozgłosu. I rzeczywiście, „sprawa Pytla" przeszła przez wszystkie media od prawa do lewa; od Telewizji Republika („skazany za zbrodnię, której miał nie popełnić"), przez Onet („niesłusznie skazany na dożywocie"), TVN24 („kogoś musiano skazać"), „Gazetę Wyborczą" („skazany za zabójstwo, którego nie popełnił"), aż po Kanał Zero, który ustami swojej reporterki pytał: „Jak mogło dojść do tak dramatycznej pomyłki sądowej?".

Przekaz się przebił i już nie matka skazanego, ale sam Waldemar Żurek jako prokurator generalny napisał wniosek do prezydenta o łaskę dla Piotra Pytla. Zarządził też przerwę w jego karze. Uzasadniał to wymogami humanitaryzmu i sprawiedliwości, argumentując, że Pytel odbył już ponad 21 lat kary. Gdyby był w Niemczech, mógłby się ubiegać o warunkowe zwolnienie po 15 latach, a w Polsce dopiero po 30. Przekonywał, że trzeba dać człowiekowi drugą szansę.

22 czerwca Pytel wyszedł na wolność, a 3 sierpnia prezydent Karol Nawrocki podpisał akt łaski oznaczający przedterminowe zwolnienie z odbycia reszty kary dożywotniego więzienia na okres próby 5 lat, z ustanowieniem dozoru kuratora sądowego. Tak jak wnioskował Waldemar Żurek.

W niedzielę 9 sierpnia Piotr Pytel przyjechał do Skawiny, gdzie prezydent miał spotkanie z mieszkańcami, by osobiście podziękować. Był uścisk dłoni i wspólne zdjęcie. Na krótkim nagraniu słychać, jak prezydent mówi: „Swoje pan wycierpiał".

Następni w kolejce

Tymczasem adwokat Matyja zapowiada, że w kolejce czekają jego kolejni niewinnie skazani klienci. I wymienia trzy nazwiska osób, których sprawy prowadzi fundacja Dowód Niewinności. Na tym lista czekających się nie kończy.

W kwietniu tego roku senator Grzegorz Fedorowicz wyciągnął z więzienia Jarosława Sosnowskiego, skazanego na 25 lat za zabójstwo kobiety. Na razie ma przerwę w odbywaniu kary. Rzecznik Praw Obywatelskich przyjrzał się jego sprawie i w efekcie złożył do Sądu Najwyższego wniosek o kasację wyroku i wznowienie procesu.

Sosnowski siedział w więzieniu 20 lat i nazywany jest przez media „drugim Tomaszem Komendą". Podobnych spraw jest więcej. Na przedterminowe zwolnienie po 23 latach za kratami, jak na razie bez powodzenia, czeka Michał Wierzchoń spod Lubartowa. Jego niesłuszne skazanie było opisywane przez media (m.in. przez POLITYKĘ). W sierpniu po raz kolejny ma stanąć przed warszawskim sądem penitencjarnym, licząc na warunkowe zwolnienie. Tak jak Sosnowski, najpierw przyznał się do winy pod presją, a później to odwołał. Więcej dowodów w tej sprawie nie było. „Pół życia za czyn, którego nie popełnił" – tak przedstawiał sprawę Sosnowskiego popularny program Polsatu „Państwo w państwie". „Będę cały czas dążył do tego, aby Jarka uniewinnić" – zapewniał w programie senator Fedorowicz, wcześniej zastępca dyrektora generalnego Służby Więziennej. Termin rozprawy jeszcze nie został wyznaczony.

Sąd Najwyższy już kiedyś odrzucił podobną głośną sprawę, nazywaną potocznie „IQ 62". To iloraz inteligencji Piotra Mikołajczyka; oznacza lekką niepełnosprawność umysłową. Został skazany na 25 lat więzienia za zabójstwo dwóch kobiet w 2011 r. w Tłokini Wielkiej pod Poznaniem, gdzie pracował jako parobek, tylko dlatego, że się przyznał; „po dwugodzinnej, męskiej rozmowie z policjantem", jak zapisano w protokole. Bez obecności adwokata. Potem się z tego wycofał, ale mimo to został skazany. Siedzi 15. rok. O jego niewinności przekonana jest Helsińska Fundacja Praw Człowieka i jej Klinika Niewinności. Złożyła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka skargę na nierzetelny proces i skazanie mimo braku dowodów winy. W przypadku pozytywnej decyzji może dojść do ponownego procesu. Sprawa wciąż czeka w Strasburgu na rozpoznanie. W Polsce niedawno wszczęto nowe śledztwo w sprawie przypisanego Mikołajczykowi zabójstwa, ale sąd penitencjarny i tak odmawia mu zgody choćby na przerwę w karze.

Prawnik Piotr Kubaszewski z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka zna historię Mikołajczyka doskonale. – *To była sprawa, w której dalibyśmy sobie rękę uciąć, że zakończy się uniewinnieniem. Jak zresztą wiele podobnych z naszej Kliniki Niewinności. A jednak sądy bez żadnego*

© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, TVN, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PRZEMYSŁAW GLUMA/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl a53f7da89d

problemu orzekały o winie – mówi. Tłumaczy, dlaczego tak się dzieje. – *Skazywanie jest prostsze, tak samo jak stosowanie tymczasowego aresztowania. Obserwuję to od lat. Jeżeli wyroków uniewinniających jest zaledwie ok. 2 proc. rok w rok, czy to znaczy, że prokuratura jest nieomylna? Nie uwierzę, że we wszystkich postępowaniach karnych jest tylko 2 proc. ludzi niewinnych. Po prostu system – działania policji, prokuratury, a na końcu sądu – nastawiony jest na skazanie, a bez takich bezpieczników jak obowiązkowa obecność adwokata przy pierwszym przesłuchaniu skazania niewinnych są i będą* – mówi Kubaszewski.

W 2016 r. powinna zostać w Polsce zaimplementowana dyrektywa unijna, umożliwiająca m.in. kontakt z obrońcą jeszcze przed pierwszym przesłuchaniem. Zapisy, które w końcu powstały, zawetował niedawno prezydent Nawrocki. Według Kubaszewskiego oznacza to, że skazania przy słabych dowodach szybko się nie skończą. A wypłacane potem odszkodowania będą rosnąć.

Wielkie uniewinnienia

Szlak przetarła sprawa Tomasza Komendy i rekordowe 13 mln zł za 18 lat życia za kratami. Do tego odnosi się wprost roszczenie Roberta Janczewskiego, uniewinnionego prawomocnie od zarzutu zabójstwa Katarzyny Zowady, której skórę wyłowiono w 1998 r. z Wisły w Krakowie.

Ta jedna z najgłośniejszych spraw kryminalnych zakończyła się niedawno spektakularną porażką prokuratury; a dokładnie prokuratora Piotra Krupińskiego, niegdyś pupila Zbigniewa Ziobry. Skazanie Janczewskiego na dożywocie, a następnie uniewinnienie na podstawie tych samych dowodów, zasługuje na osobną opowieść. Janczewski przebywał w areszcie ponad 7 lat. Według jego obrońcy, adwokata Łukasza Chojniaka, całe postępowanie prokuratorskie było prowadzone nie po to, by szukać sprawcy, ale by udowodnić, że jest nim Janczewski. Teraz domaga się on 22,7 mln zł zadośćuczynienia.

Piotr Kubaszewski w tym procesie reprezentował Helsińską Fundację Praw Człowieka. W swojej mowie końcowej przypomniał sprawy prowadzone w Klinice Niewinności, m.in. sprawę Piotra Mikołajczyka, i zaapelował do sądu, aby rozważył, czy zasada, że „wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego", nie powinna znaleźć tu zastosowania i doprowadzić do uniewinnienia. Tak jak to powinno było się zdarzyć przy Mikołajczyku.



Robert Janczewski domaga się 22 mln zł odszkodowania

I Sąd Apelacyjny w Krakowie tak właśnie zrobił. Stwierdził, że nie ma dowodów ani ciągu nierozerwalnych poszlak, by móc stwierdzić winę Janczewskiego.

31 lipca zapadło uniewinnienie w innej głośnej sprawie – zabójstwa 17-letniej Iwony Cygan w Szczucinie w 1998 r. – *Pomagam rodzinie Iwony Cygan w wyjaśnieniu sprawy prawie od 18 lat. 13 sierpnia minie równo 28 lat od zabójstwa* – mówi adwokat Ireneusz Wilk. Wspomina, że sprawa szybko została umorzona. Dopiero po latach do wyjaśnienia tej zbrodni zabrało się Archiwum X, przerywając, jak pisano, „zmowę milczenia" mieszkańców. „Miasteczko zbrodni" – tak zatytułowała swoją książkę dziennikarka Monika Góra, pisząc o sieci lokalnych powiązań, strachu i tajemnic wokół śmierci nastolatki. W śledztwie świadkowie incognito mówili o „skręcaniu sprawy". Do aresztu trafiło wielu ludzi.

Zarzuty bezpośredniego udziału w zabójstwie usłyszało dwóch miejscowych mężczyzn, składania fałszywych zeznań – przyjaciółka zamordowanej, a 14 policjantów, którzy pracowali przy sprawie – zarzut utrudniania śledztwa. Słowem – grubo. W 2018 r. ruszył proces, przesłuchano kilkudziesięciu świadków. Prokurator Piotr Krupiński domagał się wysokich kar – dożywocia, 25 lat więzienia. Sąd Okręgowy w Rzeszowie uniewinnił jednak wszystkich 17 oskarżonych. Stwierdził, że nie ma dowodów pozwalających wprost powiązać ich z tą zbrodnią. Zarzucił prokuraturze, że zapomniała o domniemaniu niewinności. „Ale sąd zapomnieć nie mógł" – mówił sędzia Mariusz Sztorc, uzasadniając wyrok.

Według Moniki Góry ten wyrok jest nieobiektywny i stronniczy. Sąd powtarza w nim argumentację obrony oskarżonych, która często nie ma żadnego pokrycia w aktach sprawy. – *Ze zdumieniem słuchałam sądu, który brzmiał jak kolejny obrońca oskarżonych* – mówi. Dodaje, że z powodu upływu 18 lat od zabójstwa do wszczęcia śledztwa były oczywiste trudności z przedstawieniem tzw. twardych dowodów, ale to nie powód, żeby odrzucać wszystkie poszlaki. Sąd uznał za niewiarygodne nawet zeznania świadka, policjanta Leszka W., które przez inny sąd zostały uznane za całkowicie wiarygodne. Leszek W. obciążył kolegów, ale też sam przyznał się do zaniedbań i dobrowolnie poddał się karze. Został prawomocnie skazany – komentowała autorka książki o miasteczku zbrodni.

– *W naszej ocenie wyrok jest niesłuszny* – mówi adwokat Ireneusz Wilk. Według niego błędem jest stwierdzenie sądu o braku winy funkcjonariuszy policji (zacieranie śladów i utrudnianie śledztwa) z tego względu, że nie uznał winy głównych sprawców zabójstwa. – *My twierdzimy, że jest zupełnie odwrotnie. Wątpliwości sądu i w konsekwencji nieskazanie głównych oskarżonych w znacznej mierze jest wynikiem czynów funkcjonariuszy, którzy znaleźli się na ławie oskarżenia* – mówi. Zwraca uwagę, że tylko na skutek ich zaniedbań nie doszło do prawidłowego zabezpieczenia materiału biologicznego i dlatego nie ma DNA sprawcy. – *A przecież wiadomo, że sprawy dotyczące zabójstw sprzed lat są przypisywane sprawcy głównie na podstawie dowodów biologicznych w postaci DNA* – mówi. Zapowiedział złożenie apelacji. Prokurator Krupiński także. Zobaczymy, czy wyrok się ostanie.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl a53f7da89d

Ślepi na Głuchych

W sytuacjach zagrożenia głusi i niedosłyszący Polacy pozostawieni są sami sobie. Nie widzi ich system ostrzegania stworzony przez słyszących.



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

MAGDA BRZEZIŃSKA

Głuchych w Polsce jest więcej niż górników, więcej niż lekarzy specjalistów, prawie tyle samo co policjantów, trzykrotnie więcej niż strażaków, czterokrotnie więcej niż księży katolickich. Gdyby przeliczyć ich na stan osobowy polskiego wojska – żołnierzy zawodowych plus Wojsk Obrony Terytorialnej – to utworzyliby połowę armii RP.

Dane z różnych źródeł wskazują, że głuchych Polaków jest od 100 do 200 tys., a niedosłyszących nawet 3 mln – i liczba ta systematycznie rośnie, o czym alarmują laryngolodzy. Z badań Fundacji Fonis z 2020 r. wynika, że ok. 15 proc. Polaków ma jakąś formę niedosłuchu. Słuch pogarsza się wraz z wiekiem, w wyniku chorób cywilizacyjnych, takich jak cukrzyca czy nadciśnienie, ale i z powodu życia w coraz większym hałasie.

Grupa osób głuchych i z niedosłuchem to zatem spora część polskiego społeczeństwa. – *Ale działania na rzecz ich bezpieczeństwa są pozorowane i odklejone od rzeczywistości* – mówi Romuald Grocki, pułkownik w stanie spoczynku, wykładowca i autor książki „Osoby niepełnosprawne w sytuacji zagrożenia".

Bez szans na ucieczkę

Pozostawieni sami sobie zostali głusi mieszkańcy Lubelszczyzny w nocy z 29 na 30 lipca, kiedy ok. godz. 3.50 w Lublinie oraz w kilku powiatach województwa lubelskiego zawyły syreny alarmowe. O ich uruchomieniu zdecydowało Rządowe Centrum Bezpieczeństwa (RCB) po tym, jak na teren Lubelszczyzny wleciała rosyjska rakieta Ch-101. Alarmowano tylko dźwiękowo, RCB nie rozesłało esemesowego alertu do mieszkańców. Głusi nie mieliby żadnych szans na ukrycie się, ucieczkę.

Gdy tydzień przed wpadnięciem rosyjskiej rakiety na teren wschodniej Polski

eprasa.pl a53f7da89d

w całym kraju odbywały się ćwiczenia systemu alarmowego z wykorzystaniem syren, Bartosz Marganiec, niesłyszący od urodzenia programista, był w domu, skąd pracuje. RCB rozesłało do wszystkich esemesowy alert z uprzedzeniem o ćwiczeniach i syrenach. – *Nawet po jego otrzymaniu nie byłem w stanie później się zorientować, czy test już trwa, czy może jeszcze go nie było. Nie wiem, czy w trakcie prawdziwego alarmu również będzie on przesłany* – mówi. Jak pokazało życie kilka dni później, jego brak pewności był w pełni uzasadniony.

Marganiec działa na rzecz praw Głuchych, był członkiem Polskiej Rady Języka Migowego przy Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Brał udział w pracach Komisji ds. Głuchych przy Rzeczniku Praw Obywatelskich, organizował konferencje, festiwale i akcje antydyskryminacyjne. Zależy mu na tym, żeby Głusi byli aktywną społecznością, z którą rządzący będą się liczyć. Zapis dużą literą – Głusi – stosują sami niesłyszący, jako oznaczenie społeczności, która ma swoją kulturę. Nie są niemi, ich naturalnym językiem jest polski język migowy (PJM), uznany w Polsce ustawą z 2011 r. Tym bardziej że nie wszyscy Głusi potrafią czytać w języku polskim, zwłaszcza długie i skomplikowane teksty urzędowe – język polski jest dla nich językiem obcym, z inną gramatyką niż migowy.

Zgodnie z ustawą Głusi mają prawo komunikować się w PJM, załatwiając swoje sprawy w urzędach, szpitalach czy innych instytucjach. Obowiązkiem tych instytucji jest zapewnienie im tłumacza, ale Głusi muszą uprzedzić urząd minimum trzy dni wcześniej o swojej wizycie – a co w sytuacjach pilnych? Ratyfikowana przez Polskę w 2012 r. Konwencja ONZ o prawach osób z niepełnosprawnościami nakłada na RP m.in. obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa w sytuacjach zagrożenia i dostępu do informacji. Jak się z tego obowiązku wywiązuje, pokazuje przykład rządowego „Poradnika bezpieczeństwa", którego wersję cyfrową opublikowano w sierpniu ub.r., a papierowe egzemplarze rozesłano wszystkim Polakom w grudniu. Aktywiści i stowarzyszenia działające na rzecz Głuchych musieli się upominać i apelować do instytucji rządowych o tłumaczenie poradnika na polski język migowy. Czekali na nie pół roku.

Oficjalna premiera tłumaczenia poradnika na PJM odbyła się podczas posiedzenia Parlamentarnego Zespołu ds. Osób Głuchych i z Niedosłuchem (wśród jego członków są tylko posłowie z KO i jedna posłanka z Polski 2050). Obecni na posiedzeniu reprezentanci Polskiego Związku Głuchych i innych stowarzyszeń otrzymali w tłumaczeniu na język migowy m.in. taki kuriozalny przekaz: „Zapamiętaj! W Polsce mamy obecnie tylko dwa rodzaje sygnałów alarmowych: ogłoszenie alarmu – ciągły, modulowany dźwięk syreny przez 3 minuty, odwołanie alarmu – ciągły, jednostajny dźwięk syreny przez 3 minuty. Jeśli usłyszysz sygnał alarmowy, włącz radio lub telewizor i stosuj się do komunikatów".

Bartosz Marganiec: – *Problem w tym, że to jest standardowy poradnik po prostu przetłumaczony na PJM. A przecież pewne rzeczy dostępne osobom słyszącym nie są dostępne dla nas. Porada o włączeniu telewizora jest w porządku, ale czy komunikaty będą nadawane z napisami i tłumaczone na polski język migowy?* A jeżeli będą napisy, to czy w uproszczonym języku i odpowiednio dużej czcionce, aby można je bez trudu przeczytać? A jeśli będzie tłumaczenie na PJM, to czy postać tłumacza będzie wystarczająco duża, a nie – jak dziś to się często zdarza – ukryta w rogu miniaturka? I czy tłumaczone będą wszystkie oficjalne komunikaty?

Zagubieni w pandemii

Te obawy nie są na wyrost. Dopiero od 2024 r. przepisy nakładają na stacje telewizyjne obowiązek nadawania części materiałów z audiodeskrypcją, napisami lub tłumaczeniem na PJM. Szkopuł w tym, że są tu rozróżnione progi dostępności w zależności od rodzaju programu. Próg dla programów informacyjnych to 25 proc., czyli tylko co czwarty program z informacjami jest tłumaczony na PJM lub ma napisy na dolnej belce.

Głusi do dziś pamiętają, jak państwo polskie potraktowało ich bezpieczeństwo w czasie pandemii Covid-19. Nie wiedzieli, co się dzieje i jak się zachować. Jedynym kontaktem z przychodniami, szpitalami i urzędami był kontakt telefoniczny, a obowiązek noszenia maseczek odciął możliwość odczytywania mowy z ust tym, którzy sobie z tym radzą. – W *sytuacjach kryzysowych państwo powinno od samego początku zapewnić Głuchym taki sam dostęp do ważnych informacji jak osobom słyszącym* – mówi Sandra Tofil, niesłysząca lektorka PJM, edukatorka i aktorka.

Dr Monika Szczygielska z Instytutu Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego przeanalizowała dostępność konferencji prasowych polskiego rządu w czasie pierwszych 20 miesięcy pandemii, od marca 2020 r. do jesieni 2021 r. – od odnotowania w Polsce pierwszych zachorowań do czwartej fali pandemii. Kancelaria Premiera nie zapewniała odbiorcom napisów na żywo (dodawano je, i to nie do wszystkich nagrań, kilka dni po konferencjach, a w pandemii informacje przecież szybko się dezaktualizowały), na język migowy były tłumaczone wybrane konferencje (żadna z terenowych konferencji prasowych premiera czy ministra zdrowia), a tłumacz na ekranie przeważnie był bardzo mały i nigdy nie osiągał rekomendowanego rozmiaru jednej ósmej ekranu.

Dopiero rok po wybuchu pandemii, po protestach środowisk Głuchych i interwencji rzecznika praw obywatelskich, wprowadzono przepis do ustawy o radiofonii i telewizji o tym, że informacje o charakterze nadzwyczajnym powinny być rozpowszechniane wraz z napisami, tłumaczeniem na PJM lub audiodeskrypcją. Z takimi trudnościami z dostępem do informacji w pandemii nie borykali się Głusi we Francji czy w Wielkiej Brytanii. Rozwiązania brytyjskiego BBC – jak pisze Monika Szczygielska – są wzorcowe: 100 proc. programów z napisami, 5 proc. z tłumaczeniem na brytyjski język migowy (następnego dnia wszystkie programy przetłumaczone na język migowy trafiają na ogólnodostępne VOD), a tłumacz umieszczony jest w prawym rogu ekranu i zajmuje niemniej niż jedną szóstą ekranu.

Wadliwa aplikacja

Kiedy głusi Polacy upominają się o działania na rzecz ich bezpieczeństwa w sytuacjach kryzysowych, dyżurnym alibi instytucji państwowych jest dostępna od 2020 r. aplikacja mobilna Alarm112 dedykowana osobom głuchym i niedosłyszącym. Uruchomiło ją Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji po dwuletniej fazie testów. W teorii umożliwia ona Głuchym wezwanie pomocy poprzez wybranie piktogramu dla danej kategorii groźnych zdarzeń, zostaje on przekazany do policji, straży pożarnej lub pogotowia ratunkowego. W praktyce – jak pisze ▶

eprasa.pl a53f7da89d

▶ Radosław Głuchowski na łamach czasopisma „Integracja" – aplikacja „jest, a jakby jej nie było". Opisuje przypadek głuchej Anny, która trzykrotnie próbowała skorzystać z Alarmu112 i zawsze pojawiały się jakieś trudności. Najbardziej stresująca była dla niej sytuacja, gdy musiała ratować życie swojej córki. Przytacza jej relację: „Po naciśnięciu przycisku w aplikacji 112 otrzymuję SMS od operatora. Brak zrozumienia, że jestem Głucha. Pytanie: »Czy możemy rozmawiać?« było dla mnie niezrozumiałe. Czy operator miał na myśli rozmowę głosową? Wideorozmowę? Nic nie było jasne. Zamiast zapytać: »Czy możemy pisać?«, używa się języka słyszących. Używa niezrozumiałych słów (»inna platforma«, »proszę o chwilę«, »zaraz potwierdzę«". Zabrakło prostych, konkretnych komunikatów, a takie są niezbędne w sytuacji stresowej, zwłaszcza dla osób niesłyszących.

Wciąż pokutuje mylne przekonanie, że każdy Głuchy potrafi precyzyjnie czytać z ruchu warg lub sprawnie komunikować się pisemnie. W warunkach ewakuacji prowadzi to do skrajnych nieporozumień.

Rzecznik Praw Obywatelskich wielokrotnie apelował do MSWiA w sprawie niewystarczającej dostępności aplikacji112. Interweniowało również Stowarzyszenie Polski Instytut Praw Głuchych (SPIPG), wysyłając pismo do MSWiA w grudniu 2024 r. – *Wykazaliśmy, że dotychczasowa architektura aplikacji, oparta na piktogramach i wiadomościach esemes, jest dysfunkcyjna, gdyż komunikacja tekstowa ignoruje bariery językowe osób, dla których język polski jest językiem obcym. Sformułowaliśmy kategoryczny wniosek o wdrożenie funkcjonalności całodobowego połączenia wideo z tłumaczem PJM we wszystkich 16 województwach oraz umożliwienie zgłaszającemu zasygnalizowania, że nie jest w stanie odebrać tradycyjnego połączenia zwrotnego* – informują Stanisław Porowski, prezes zarządu SPIPG, i Mariusz Nowak, sekretarz zarządu SPIPG. Jaka była reakcja ministerstwa? – *Uniki i brak precyzji.*

Temat wadliwego działania aplikacji wrócił w maju br. na posiedzeniu Parlamentarnego Zespołu ds. Osób Głuchych i z Niedosłuchem. Uczestniczący w nim reprezentanci środowisk Głuchych od przedstawicieli RCB i Państwowej Straży Pożarnej otrzymali zapewnienia: „Pracujemy nad tym, ale to nie jest takie proste". Głusi dziwią się, że takich trudności nie ma w innych krajach. We Francji od 15 lat działa numer 114 w formie aplikacji i strony internetowej, umożliwiając osobom głuchym i niedosłyszącym kontakt za pomocą esemesa, aplikacji lub wideo z tłumaczem LSF (francuski język migowy). Niemieccy Głusi mają do dyspozycji podobnie działającą aplikację nora – Notruf-App, która dodatkowo udostępnia komunikaty w wielu językach oraz w języku uproszczonym. Wielka Brytania oferuje niesłyszącym system emergencySMS (zgłoszenia przez SMS) oraz Relay UK, który tłumaczy komunikację między osobą niesłyszącą a operatorem głosowym.

Nadzieja w sąsiadach

Bartosz Marganiec apeluje w swoich pismach do instytucji rządowych o opracowanie strategii komunikacji kryzysowej, procedur alarmowych i ewakuacyjnych dla Głuchych. – *Uważam, że to ważne, by w roli ekspertów angażować osoby, które same są głuche* – zaznacza. „Poziom wiedzy funkcjonariuszy policji, Państwowej Straży Pożarnej oraz ratowników medycznych na temat specyfiki kulturowo-językowej Głuchych jest rażąco niski. Wśród personelu medycznego wciąż pokutuje mylne i szkodliwe przekonanie, że każdy Głuchy potrafi precyzyjnie czytać z ruchu warg lub sprawnie komunikować się pisemnie. W warunkach ewakuacji prowadzi to do skrajnych nieporozumień" – piszą w swojej analizie przedstawiciele SPIPG.

Pod tymi spostrzeżeniami podpisuje się Romuald Grocki. Jego książka „Osoby niepełnosprawne w sytuacji zagrożenia", która ukazała się po raz pierwszy 11 lat temu, to praktyczne kompendium z konkretnymi rozwiązaniami do wdrożenia. – *Odkąd napisałem tę książkę, nic się nie zmieniło na lepsze. Cały czas jest stagnacja. Co z tego, że są ustawy, rozporządzenia, podpisana konwencja ONZ, jeśli państwo nie egzekwuje tych zapisów i nie ma żadnych sankcji za nieprzestrzeganie prawa* – zauważa Grocki. Krytykuje brak konkretnych, zrozumiałych i praktycznych wytycznych dotyczących procedur, które powinny być tworzone z myślą o potrzebach osób z niepełnosprawnością. – *Robiłem kiedyś taki eksperyment ze studentami: przydzieliłem trzem osobom rolę Głuchych, a całej reszcie opowiedziałem, w jaki sposób trzeba je powiadomić o ewakuacji. Gdy doszło do symulacji ewakuacji, to w budynku zostały tylko te trzy osoby odgrywające rolę Głuchych, bo nikt ich nie powiadomił. Dlaczego? Bo nikogo imiennie nie wskazałem do tego zadania.*

Inny eksperyment, który Grocki przeprowadził ze swoimi studentami, dotyczył dostępności sygnalizacji alarmowej innej niż dźwiękowa. Poprosił 80 studentów, żeby się przeszli po miejscowościach, dzielnicach, w których mieszkają, i sprawdzili tam liczbę i lokalizację sygnalizatorów wizualnych. – *Nie znaleźli ani jednego. Jest aplikacja 112, ale czy naprawdę jest dostępna dla osób starszych, niedosłyszących? A co, jeśli nie będzie internetu?* A Głuchym radzi: – *Umiesz liczyć, licz na siebie i na swoje więzi, relacje z ludźmi z sąsiedztwa, bo wtedy jest nadzieja, że jak ktoś cię zna, wie, że pod tym numerem mieszkania w bloku mieszka rodzina Głuchych, to powiadomi o tym służby ratownicze albo wyważy drzwi.*

Głusi i ich bliscy zdają sobie sprawę, że bardziej mogą liczyć na drugiego człowieka niż na system. A potrzebują konkretnego wsparcia w codziennych potrzebach. Mają temu służyć otwarte pod koniec czerwca we wszystkich miastach wojewódzkich Regionalne Centra Komunikacji dla Osób z Niepełnosprawnościami (RCK; czynne od poniedziałku do piątku od godz. 8.00 do 16.00) – oferują bezpłatną pomoc tłumacza i wsparcie w kontaktach z administracją publiczną i innymi instytucjami, dodatkowo online jest dostępny przez całą dobę tłumacz PJM. Ten pilotażowy projekt, dofinansowany przez Unię Europejską, ma działać do końca 2027 r. Co będzie potem? Można powiedzieć, że tradycyjnie, żadnej odpowiedzi nie słychać.

MAGDA BRZEZIŃSKA

eprasa.pl a53f7da89d



Udręki rekinów

Śmierć rekinów w aquaparku w Redzie może pomóc wszystkim dzikim zwierzętom trzymanym w niewoli dla uciechy gawiedzi. Jest szansa, że miasta wreszcie nie będą wydawać zezwoleń na takie obiekty – tak jak już nie chcą gościć u siebie cyrków ze zwierzętami.

AGNIESZKA SOWA

Pod koniec lipca w aquaparku w Redzie doszło do wycieku podchlorynu sodu. Oburzenie wypadkiem (bo najprawdopodobniej był to ludzki błąd lub awaria urządzeń, sprawę bada policja) było spotęgowane niecodzienną strategią komunikacyjną obraną przez aquapark. Po ewakuacji 400 osób obiekt przez jeden dzień był zamknięty: sprawdzano wszystkie instalacje. Kiedy aquapark otworzył podwoje, zjeżdżający przeszklonym tunelem, który prowadził przez środek akwarium z rekinami, zorientowali się, że rafa koralowa jest pusta. Nie ma rekinów ani innych mniejszych ryb. Zaczęli dopytywać na profilu pływalni i wtedy aquapark w swoich mediach społecznościowych poinformował: „Nasze rekiny są na wakacjach".

Gdy już podano informację o tym, że żaden z 12 rekinów nie przeżył, oburzenie było powszechne. Władze miasta wydały oświadczenie, w którym podkreśliły, że aquapark nie jest spółką miejską, tylko prywatnym biznesem. A prezydent Redy Mateusz Richert poinformował, że w związku z incydentem miasto zawiesza współpracę z obiektem „jako partnerem miejskich przedsięwzięć" do czasu uzyskania rzetelnej informacji od zarządu spółki o tym, co się właściwie wydarzyło w aquaparku 26 lipca.

Po tym oświadczeniu na profilu Aquapark Reda na Facebooku opublikowano grafikę przedstawiającą rekina w garniturze i okularach, nawiązującą w oczywisty sposób do prezydenta. Jakby ktoś jeszcze miał wątpliwości, rozwiewał je podpis: spółka przyznała prezydentowi honorowy tytuł „Samorządowego Rekina Intelektu". Post szybko zniknął, podobnie jak wcześniejsza grafika wygenerowana przez AI o „rekinach na wakacjach". Ale była to jedna z tych akcji, których nie da się odzobaczyć.

Prezydent Richert nie kryje niesmaku. A chemii między miastem i spółką na pewno nie poprawia fakt, że aquapark nie płaci podatków w należnej wysokości. – *Właśnie zapadł korzystny dla miasta wyrok NSA* – mówi prezydent. – *Jeszcze w sierpniu mamy spotkanie z radnymi w tej sprawie, zastanowimy się też, czy miasto powinno się zgadzać na atrakcję polegającą na trzymaniu rekinów w miejscu rozrywki, bo to jednak budzi sporo kontrowersji*. Wygląda na to, że decyzja o ponownym zasiedleniu basenu rekinami już zapadła. ▶

© JAN RUSEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl a53f7da89d

▶ – *Oczywiście czekamy na ostateczne wyjaśnienie, co się właściwie stało* – mówi pełnomocnik zarządu aquaparku Łukasz Tamkun. – *Jeżeli to była przypadkowa awaria, połączona z przypadkowym błędem człowieka i jeszcze z bardzo specyficznymi warunkami, a ocena jest taka, że to nie ma prawa się powtórzyć, to wtedy podejmiemy decyzję, żeby ponownie zbiornik zasiedlić. Jednak nie drogą kupna, tylko znalezienia nowego domu osobnikom, którym możemy poprawić los.*

Poprawianie losu rekinów poprzez wsadzanie ich do aquaparków to szatański pomysł.

Akwarium handlowe

Rekiny z Redy nie były pierwszymi żarłaczami czarnopłetwymi w Polsce, trzymanymi poza ogrodami zoologicznymi. W 2007 r. w Arkadach Wrocławskich, galerii handlowej firmowanej przez bankiera Leszka Czarneckiego, w samym środku obiektu wybudowano pionowe akwarium oceaniczne z rafą koralową i rekinem żarłaczem czarnopłetwym.

Trzymanie tak dużych drapieżników w zbiornikach o niewielkiej pojemności (w Redzie to 330 m sześc. wody na 12 rekinów) budzi wiele kontrowersji. Tym bardziej że akurat ten konkretny gatunek należy do pelagicznych, czyli stale pływających w otwartym oceanie. W naturze żarłacz czarnopłetwy pokonuje bardzo duże odległości. W niewoli działa to na jego niekorzyść. Rekin ciągle pływa, więc widzowie mają atrakcję. Mało kto zadaje sobie pewnie pytanie jakim kosztem. Pomysł z umieszczeniem rekinów w centrum handlowym jest już całkiem haniebny, bo te zwierzęta są bardzo wrażliwe na hałas i drgania. Trudno ocenić, jaki stres musi w nich wywoływać taka sytuacja.

Nie ma zbyt wielu badań oceniających poziom stresu u rekinów w akwariach. A te, które są, najczęściej prowadzą naukowcy pracujący z rekinami w niewoli, zatrudnieni w oceanariach.

– *Są zwierzęta, które nie powinny być trzymane w niewoli* – mówi emerytowany profesor SGGW dr hab. Tadeusz Kaleta, który był zawsze wielkim orędownikiem ogrodów zoologicznych ze względu na ich edukacyjną funkcję. Jest zresztą członkiem rady naukowej warszawskiego zoo. – *Nie wiem, czy rekiny pelagiczne są takim gatunkiem, nie znam prac naukowych dotyczących tych ryb, zajmowałem się ssakami drapieżnymi. Wiem na pewno, że nie powinno tam być waleni, delfinów ani orek. Ale biorąc pod uwagę ogromne potrzeby lokomotoryczne tych wielkich drapieżnych ryb, byłbym ostrożny. W warszawskim zoo były kiedyś dwa żarłacze czarnopłetwe i prezentowały objawy stereotypii.*

W mniej naukowym języku oznacza to, że wykonywały powtarzalne czynności i ruchy, które nie miały żadnego sensu. Dopiero później okazało się, że żarłacze były ciągle podtruwane przez miedź, która uwalniała się z filtrów zastosowanych przez producenta do czyszczenia wody. W zoo nie mieli świadomości, że ryby są podtruwane.

– *Kiedy w akwarium pojawił się kolejny rekin – tym razem tawrosz – to swoich otępiałych kolegów potraktował jako śniadanie* – mówi Andrzej Kruszewicz, dyrektor warszawskiego zoo. Sam tawrosz również nie zagrzał za długo miejsca w stolicy. – *W 2016 r. zdecydowaliśmy się wydać go na Węgry. Oni nie tylko mieli dla niego samicę, ale również 10-krotnie większe akwarium. Z naszego po prostu wyrósł i dalsze trzymanie go w takich warunkach uznaliśmy za niehumanitarne* – dodaje dyr. Kruszewicz.

Czy oceaniczne akwarium to dobre miejsce dla tak dużego i ruchliwego drapieżnika, jak rekin czarnopłetwy dorastający do ponad 2 m długości? Przy zachowaniu pewnych warunków da się to zrobić. I nie chodzi tu tylko o ilość wody, chociaż w łódzkim oceanarium jest prawie 3 tys. m sześc. Ważny jest też kształt basenu – musi być taki, by rekiny mogły swobodnie pływać. Kształt tuby, taki jak ten w galerii handlowej we wrocławskich Arkadach, jest nieodpowiedni.

Rekin z galerii handlowej we Wrocławiu przeżył tam 12 lat, a potem pojechał do londyńskiego zoo. Te z Redy przeżyły 10, co z dumą podkreślił nowy dyrektor aquaparku Andrzej Jaworski, były poseł PiS i były prezes Stoczni Gdańskiej, trzykrotny kandydat PiS na prezydenta Gdańska. Fakt, rekiny na wolności żyją krócej, głównie z powodu działalności największego drapieżnika, jakim jest człowiek. Każdego roku ginie do 70 mln rekinów poławianych nielegalnie po to tylko, aby odciąć im płetwy i wyrzucić okaleczone zwierzę z powrotem do wody. Równie dużo ginie jako przyłów (przypadkowe połowy) wielkich statków rybackich. Długość życia w niewoli nie jest wyznacznikiem dobrostanu. Rozmnażanie już tak.

– *W dobrych warunkach gatunek ten rozmnaża się również w niewoli* – tłumaczy dr Kruszewicz. Rekiny z Redy nie doczekały się potomstwa.

Oceanarium cierpienia

Pełnomocnik zarządu aquaparku Łukasz Tamkun stoi na stanowisku, że ich zbiornik, podobnie jak wszystkie inne w ogrodach zoologicznych zajmujących się zwierzętami lądowymi i morskimi, odgrywa bardzo ważną rolę edukacyjną. Podkreśla, że był prezesem Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska, więc wie, o czym mówi.

– *Rekiny w parku rozrywki? To eksploatacja zwierząt i lepiej by było, żeby sobie szczęśliwie żyły w oceanie* – mówi jeden z wieloletnich dyrektorów ogrodów zoologicznych w Polsce, od kilku lat już poza branżą. Pod nazwiskiem wypowiadać się nie chce, bo rekiny przyciągają zwiedzających, a oni powiększają budżety instytucji.

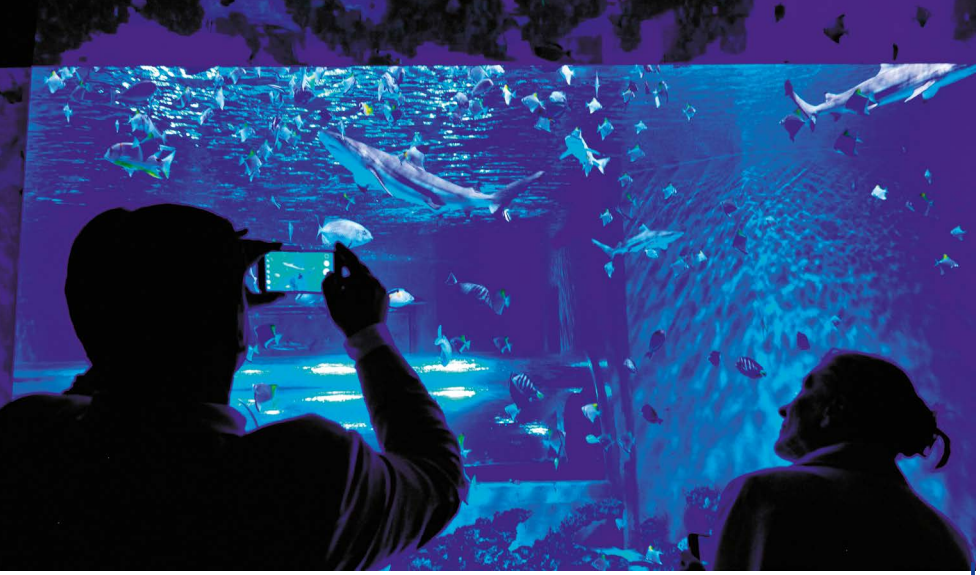
– *Jeżeli używamy zwierząt jako elementu dekoracji albo zwiększenia atrakcyjności innych rozrywek rekreacyjnych, to nie ma mowy o edukacji ekologicznej* – mówi Jakub Banasiak, koordynator akcji „Nie! Dla delfinarium" z ramienia fundacji Viva! – *Natomiast zawsze wiąże się to ze zwiększonym ryzykiem, bo mieszamy dwie funkcje: rekreacyjną, klasycznego aquaparku, z funkcją oceanarium. Poziom trudności w zarządzaniu takim obiektem dramatycznie rośnie.*

Rekiny w Polsce są także w miejscach przeznaczonych dla zwierząt morskich – w oceanariach. Największe z nich to wrocławskie afrykarium i łódzkie orientarium.

– *W odróżnieniu od ogrodów zoologicznych, których istotnym celem jest jednak popularyzacja i edukacja w zakresie biologii i ekologii, oceanaria od samego początku swego istnienia nastawione były głównie na zysk osiągany z pokazów treningu delfinów i orek* – mówi prof. Kaleta.

Trzymanie dzikich zwierząt w niewoli w ogrodach zoologicznych czy zwierząt morskich w oceanariach uzasadnia się też (poza funkcją edukacyjną tych przybytków) ochroną gatunków zagrożonych wyginięciem. Wiele takich obiektów powstaje za olbrzymie pieniądze, także z funduszy Unii Europejskiej. Funkcje edukacyjne spełniają, ale ochronnych już nie. Rekin czarnopłetwy jest co prawda gatunkiem zagrożonym. Ale nawet jeśli rozmnożyłby się w niewoli (a do tej pory nie udało

eprasa.pl a53f7da89d



Trzymanie rekinów w małych zbiornikach w aquaparkach budzi wiele kontrowersji. Na swoje nieszczęście przyciągają zwiedzających.

się to nawet we Wrocławiu, gdzie te ryby są już od 12 lat), to i tak nie będzie reintrodukowany do środowiska. Trudno więc mówić o ochronie gatunkowej.

Oceanaria i ogrody zoologiczne pełne są gatunków niezagrożonych wyginięciem. – *Nie ma żadnego merytorycznego uzasadnienia, żeby je trzymać w niewoli* – mówi Jakub Banasiak. – *A nawet gdyby były zagrożone, to o ochronie gatunkowej można mówić tylko wtedy, gdy są w programach rozmnożenia i reintrodukcji. Jeżeli nie, to jest to wyłącznie komercja. Jeśli rozmnażamy zwierzęta zagrożone wyginięciem tylko po to, by do końca życia przebywały w niewoli, w warunkach, które ewidentnie naruszają ich dobrostan i nie pozwalają funkcjonować zgodnie z całym wachlarzem przypisanych temu gatunkowi zachowań i potrzeb biologiczno-społecznych, jest to nieetyczne. Nie służy zwierzętom, tylko ambicjom i ego ludzi odpowiadających za takie projekty. I zarabianiu pieniędzy, jeśli są to obiekty komercyjne. A funkcję edukacyjną o wiele lepiej realizują doskonałe i ogólnie dostępne przyrodnicze filmy dokumentalne, zwłaszcza te łączone z symulacjami komputerowymi.*

W Polsce jednym z nielicznych wyjątków jest helskie fokarium Stacji Morskiej im. prof. Krzysztofa Skóry, które wszystkie wyleczone lub urodzone tam foki wypuszcza na wolność. Na stałe są tylko dwa samce i kilka starszych zwierząt, które ze względu na stan zdrowia nie poradziłyby sobie na wolności. To między innymi dzięki działalności helskiego fokarium populacja foki szarej jest już odbudowana. Foki pozostające pod jego opieką nie są uczone żadnych sztuczek. Mają jedynie trening medyczny, konieczny, by można było je leczyć i rehabilitować.

Tymczasem wiele oceanariów, także tych powstających za pieniądze z Unii, w ramach wzmacniania bioróżnorodności środowiska jest nastawionych wyłącznie na zarabianie pieniędzy. – *Funkcja edukacyjna czy badawcza, jaką sobie przypisuje np. Loro Park na Teneryfie, jest listkiem figowym, mającym uzasadnić istnienie takich miejsc* – mówi Jakub Banasiak.

Miejsc, które służą interesom lobby turystycznego i zaspokajają ambicje lokalnych władz zarządzających tymi obiektami. Między ogrodami zoologicznymi jest bardzo duża rywalizacja, również w Polsce, i każdy dyrektor ma ambicję być lepszy od kolegów i koleżanek z branży. Prześcigają się w kosztownych, idących w setki milionów, inwestycjach. Koszt łódzkiego orientarium, zbudowanego pięć lat temu, to ponad 260 mln zł. A dla gawiedzi to jest gratka.

Złamane delfiny

Jeszcze większą gratką są delfinaria. Próby budowy pierwszego w Polsce delfinarium w Mszczonowie w 2015 r. wywołały sprzeciw organizacji ekologicznych i społeczeństwa i zostały skutecznie zablokowane. Jednak na wakacjach w ciepłych krajach Polacy odwiedzają delfinaria i fokaria. Dlatego kampania „Nie! Dla delfinariów" jest adresowana do biur podróży. Organizatorzy – Viva! i Fundacja Kapitana Paula Watsona – chcą skłonić polskich touroperatorów do rezygnacji ze sprzedaży wycieczek do takich parków rozrywki. Szacują, że rocznie delfinaria w Turcji, Egipcie, Hiszpanii i na Wyspach Kanaryjskich, w Bułgarii, we Włoszech i na Malcie odwiedza między 400 tys. a 480 tys. polskich turystów. Szacunki nie obejmują wizyt Polaków w delfinariach w Meksyku, na Kubie, Dominikanie, w USA oraz w innych krajach arabskich poza Egiptem. Na świecie działa ponad 350 delfinariów w ok. 60 krajach, w których przetrzymuje się ponad 3 tys. delfinów.

Ci, którzy je odwiedzają, patrząc na „uśmiechnięte" delfiny, najpewniej nie zdają sobie sprawy, że są świadkami okrutnego znęcania się nad nimi. – *Zanim trafią do delfinariów, są wstępnie przygotowywane w zagrodach morskich w Japonii. Ja to nazywam łamaniem fizycznym i psychicznym* – mówi Jakub Banasiak. – *Wstępna tresura, jedzenie rozmrożonych ryb z ręki tresera, protokół medyczny, żeby można było podawać leki i przygotowanie do transportu na cały świat.*

Nie robi się tego delikatnie. Często używaną metodą perswazji jest głodzenie. Ale okrucieństwo zaczyna się już wcześniej. W zatoce Taiji na wyspie Honsiu w Japonii, gdzie co roku 1 września zaczyna się sezon połowu delfinów. Kilkanaście małych stateczków rybackich wypływa każdego ranka i zagania do płytkiej zatoki stada migrujących delfinów. Sieciami odgradzają je od otwartego morza i wyławiają młode osobniki do delfinariów. Resztę zabijają. I tak przez pół roku, do marca. Ten makabryczny proceder stał się głośny dzięki nagrodzonemu w 2009 r. dokumentowi „The Cove" („Zatoka delfinów").

Odłowione młode osobniki trafiają do zagród morskich, a po kilku miesiącach są sprzedawane za ok. 150 tys. dol. Natomiast wartość delfina wytresowanego, gotowego do występów dla publiczności – wykwalifikowanego niewolniczego pracownika – to ok. 400 tys. dol. Gotowa do występów orka kosztuje od miliona do nawet 2 mln dol. Zarobki z wodnych parków rozrywki są tak gigantyczne, że handel kwitnie. I będzie kwitł, dopóki będzie na to zgoda władz, a ludzie będą chcieli to oglądać. Dwa ogrody zoologiczne, gdzie można oglądać rekiny – wrocławski i łódzki – odmówiły komentarza.

AGNIESZKA SOWA
WSPÓŁPRACA KATARZYNA KACZOROWSKA

© KOSYCARZ FOTO PRESS/KFP

eprasa.pl a53f7da89d

Gorący czas

O tym, jak polska energetyka radzi sobie z upałami, i o wyzwaniach transformacji energetycznej mówi Grzegorz Kinelski, prezes Enei.



Widok na elektrownię Kozienice nad Wisłą

ADAM GRZESZAK: **– Rozmawiamy w jednym z najgorętszych dni tego lata. Pojawiła się obawa, że nasz system energetyczny dłużej nie wytrzyma tego skwaru. Minister energii uspokaja, żeby się nie denerwować, bo system działa stabilnie. Ale chyba mamy problem. Powinniśmy się martwić, że światło nagle zgaśnie?**

GRZEGORZ KINELSKI: – System wytrzyma. Nie grozi nam blackout, choć sytuacja rzeczywiście jest trudna.

Lato zaskoczyło energetyków?

Już od kilku lat mamy gorące lata, ale w tym roku mieliśmy okresy wyjątkowych upałów już w czerwcu i lipcu, więc w rzekach wody ubyło, co ogranicza dziś możliwość chłodzenia bloków w elektrowniach konwencjonalnych korzystających z systemu otwartego zasilanego z rzek. Ten problem dotknął wiele krajów Europy. Elektrownie jądrowe na Węgrzech i w Rumunii ze względu na niski stan wody w Dunaju musiały znacznie ograniczyć produkcję. Także niektóre elektrownie jądrowe we Francji musiały wyłączyć reaktory, gdy pojawiły się kłopoty z chłodzeniem. Nawet hydroelektrownie w Norwegii mają kłopoty z wodą.

Europa wysycha. W Polsce, która ma wyjątkowo skromne zasoby wody, widać, jak ubywa jej w Wiśle. A przecież ta rzeka musi chłodzić instalacje w kilku elektrowniach leżących wzdłuż jej biegu. W tym są dwie wielkie elektrownie należące do Enei – Kozienice i Połaniec. Jak sobie z tym radzicie?

W Kozienicach i Połańcu musieliśmy wyłączyć kilka bloków, ale dajemy radę, bo kiedy operator systemu ogłosił przywołanie z rynku mocy, wywiązaliśmy się z obowiązku (rynek mocy polega na tym, że wytwórcy energii utrzymują nieustającą gotowość wybranych bloków, by w krytycznym momencie, na wezwanie operatora, dostarczać energię, za co są specjalnie wynagradzani – przyp. red.).

Największy i najnowocześniejszy blok w elektrowni Kozienice, o mocy ponad 1000 MW, szczęśliwie nie korzysta

© ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI/REPORTER, MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

eprasa.pl a53f7da89d





Grzegorz Kinelski, menedżer z ponad 30-letnim doświadczeniem w sektorze energetycznym. Ekspert w dziedzinie energetyki, ekonomii oraz zarządzania przedsiębiorstwem. Inżynier elektryk, doktor nauk ekonomicznych specjalizujący się w obszarze handlu energią i gazem. Nauczyciel akademicki, adiunkt w Katedrze Zarządzania na Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. Pracował na kluczowych stanowiskach menedżerskich, m.in. w Vattenfall, Tauron, PKP Energetyka, Grupa Veolia. Od marca 2024 r. prezes Enei SA.

z wody w Wiśle. Jest chłodzony w układzie zamkniętym z chłodnią kominową. Chyba jemu upał niestraszny?

Niestraszny, ale ten blok musiał być odstawiony ze względu na planowy remont. Lato dla energetyków jest zawsze okresem przygotowań do nadchodzącego sezonu jesienno-zimowego.

Szczęście, że są jeszcze źródła odnawialne. Elektrownie wiatrowe i fotowoltaiczne chłodzenia nie potrzebują.

Szybko przybywa źródeł odnawialnych, ale mamy w Polsce wciąż za mało magazynów energii. Instalacje OZE dostarczają najwięcej energii w okresach, gdy zapotrzebowanie jest mniejsze. Potrzebujemy więc dostosowania popytu do rytmu generacji, a także większych możliwości magazynowania nadwyżek energii. Sterowanie popytem już się dzieje, coraz więcej naszych odbiorców przemysłowych korzysta z taryfy dynamicznej, bo w okresach, gdy wytwarzane jest najwięcej energii, jest ona bardzo tania albo wręcz ma ceny ujemne. Drugim sposobem na racjonalne wykorzystanie energii odnawialnej są magazyny energii. Dzięki nim część wyprodukowanej energii można przechować i wykorzystać w okresie wieczornego szczytu zapotrzebowania, czyli między godziną 17 a 21, kiedy produkcja z OZE maleje, a zapotrzebowanie na energię rośnie.

Jeśli magazyny są takim świetnym rozwiązaniem, to dlaczego powstają tak powoli?

Jest sporo planowanych dużych inwestycji. Inwestorzy nadal jednak czekają, licząc, że szybki rozwój technologii umożliwi budowę większych, tańszych i bardziej wydajnych magazynów. Barierą są nie tylko nakłady inwestycyjne, ale także dostępność baterii w dużej skali oraz kwestie regulacyjne. Energetyka od lat mierzy się z sytuacją, w której procedury administracyjne i formalne trwają znacznie dłużej niż sama realizacja inwestycji.

Na ile nasza energetyka jest przygotowana na zmiany zachodzące w klimacie? Na coraz bardziej upalne lata, na susze, burze i wichury? Czy nie powinniśmy przyspieszyć transformacji energetycznej, skoro elektrownie węglowe nie gwarantują nam bezpieczeństwa?

Transformacja energetyczna postępuje, ale wiara, że wszystkie nasze problemy zdołamy rozwiązać za pomocą farm wiatrowych i paneli fotowoltaicznych na razie jest iluzją. Jeszcze przez pewien czas będziemy potrzebowali energii z węgla dla stabilizacji systemu. Musimy mieć alternatywę na sezon jesienno-zimowy, kiedy słońca jest niewiele, a wiatr słabo wieje. Unia Europejska zakłada, że tym zabezpieczeniem dla instalacji OZE będzie energia z gazu. Także Enea buduje bloki gazowe, jednak przejście z węgla na gaz musi potrwać. W Elektrowni Kozienice powstają obecnie już dwa nowoczesne bloki gazowo-parowe o łącznej mocy 1336 MW.

Tylko co z gazem, który nie jest tani i trzeba go importować? A konflikt w cieśninie Ormuz winduje ceny.

W perspektywie kilkunastu lat nie dostrzegamy tu szczególnych zagrożeń. Trwa rozbudowa infrastruktury do importu gazu, a ten, mimo wojny w Zatoce Perskiej, jest dostępny i nie podrożał na tyle, by jego wykorzystanie straciło sens. Enea zagwarantowała sobie dostęp do mocy regazyfikacyjnych w projekcie FSRU 2 w Zatoce Gdańskiej (pływający terminal gazowy – przyp. red.), co zwiększa elastyczność w pozyskiwaniu gazu i wzmacnia bezpieczeństwo dostaw.

Dziś energetycy narzekają, że węgiel jest wciąż potrzebny, choć utrzymywanie elektrowni węglowych staje się nieopłacalne. Dlaczego?

Z dwóch powodów: kosztów zakupu praw do emisji CO_2, które są bardzo niestabilne, oraz ceny węgla. Aby zapewnić opłacalność utrzymywania w systemie jednostek, które są potrzebne dla bezpieczeństwa dostaw energii, funkcjonuje rynek mocy. To mechanizm, w którym elektrownie otrzymują wynagrodzenie nie tylko za wyprodukowaną energię, ale także za gotowość do pracy. Wymagało to zgody Komisji Europejskiej, która udzieliła ▶

eprasa.pl a53f7da89d

▶ derogacji od obowiązujących przepisów. Te dopuszczają pomoc publiczną, ale tylko wówczas, gdy emisja nie przekracza 550 g CO_2 na kilowatogodzinę (kWh), a temu limitowi węgiel nie jest w stanie sprostać. Stąd derogacja dla dużej części bloków węglowych, która jednak wygaśnie w 2028 r. Tylko kilka najnowocześniejszych bloków będzie korzystać z rynku mocy dłużej, utrzymując opłacalność produkcji. W przypadku Enei blok 1075 MW w Kozienicach uzyskał tzw. kontrakt mocowy do 2035 r.

A co ze starymi blokami 500 i 200 MW? Czeka je zamknięcie?

W przypadku wybranych bloków chcemy częściowo zastąpić węgiel biomasą. Takie rozwiązanie pozwoli ograniczyć ich emisyjność i spełnić limit 550 g CO_2/kWh. W Połańcu mamy jeden blok spalający wyłącznie biomasę. To głównie biomasa drzewna – pellet, odpady z tartaków, gałęzie, zrębki. Dzięki wykorzystaniu paliwa odnawialnego możemy osiągnąć emisję niższą od wymaganego limitu.

Kilka lat temu głośna była dyskusja, co zrobić z elektrowniami węglowymi, które stają się ciężarem dla grup energetycznych. Poprzedni rząd miał nawet pomysł stworzenia państwowej instytucji – Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego, która przejęłaby wszystkie elektrownie węglowe i eksploatowała tak długo, jak byłoby to konieczne. Pomysł zarzucono, ale problem, co zrobić z wysłużonymi węglówkami, pozostał.

Tak, wciąż wymaga rozwiązania. Moim zdaniem powinien zostać stworzony system pozwalający spółkom energetycznym po 2028 r. przez kolejnych kilka lat utrzymać przy życiu w rezerwie przynajmniej część bloków 200 i 500 MW. Takie jednostki mogłyby pracować przez określoną liczbę godzin w roku, a przez pozostały czas pozostawać odpowiednio utrzymywane i gotowe do uruchomienia w sytuacjach zwiększonego zapotrzebowania. To byłoby takie energetyczne SAFE, chroniące nasze bezpieczeństwo. Nie da się z dnia na dzień zrezygnować z węgla w energetyce, zwłaszcza w obecnej sytuacji geopolitycznej. Te jednostki w trudnych momentach, takich jak choćby obecny, mogłyby pełnić ważną funkcję rezerwową i wspierać bezpieczeństwo dostaw energii.

Państwo na razie uwolniło koncerny energetyczne od balastu, jakim były dla nich kopalnie węgla kamiennego. Grupa Enea pozostała jedyną, która w swej strukturze ma spółkę wydobywczą – Lubelski Węgiel Bogdanka. Nielepiej się jej pozbyć? Psuje wam tylko wizerunek.

To świetna spółka, najnowocześniejsza w Polsce i efektywna ekonomicznie. Leży w pobliżu Kozienic oraz Połańca i zaopatruje w węgiel nasze elektrownie. To dla nas idealny układ. Nie planujemy go zmieniać.

Wydobywacie własny węgiel kamienny, który spalacie zmieszany z drewnem, w swoich elektrowniach węglowych, wykorzystując wodę z Wisły do chłodzenia bloków. To nie jest wizerunek nowoczesnej firmy energetycznej przyjaznej środowisku. Nic dziwnego, że organizacje ekologiczne was nie lubią, a ostatnio nawet Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska zgłosiła swoje zastrzeżenia.

Energetyka konwencjonalna jest dziś nadal potrzebna dla bezpieczeństwa dostaw energii, ale korzystamy z niej tylko w takim zakresie, w jakim wymaga tego stabilność systemu. Jednocześnie konsekwentnie inwestujemy w zmianę naszego miksu wytwórczego: rozwijamy odnawialne źródła energii, magazyny energii i źródła niskoemisyjne. Do 2035 r. chcemy ograniczyć emisyjność produkcji energii elektrycznej o 64 proc. względem 2024 r.

Mamy już lądowe farmy wiatrowe, instalacje fotowoltaiczne, małe i średnie elektrownie wodne oraz zielony blok biomasowy w Połańcu. Warto też doprecyzować, że w naszych instalacjach nie wykorzystujemy pełnowartościowego drewna. Korzystamy z biomasy, takiej jak pellet, odpady i zrębki, czyli surowców, które nie konkurują z drewnem wykorzystywanym w innych gałęziach gospodarki.

Jeśli chodzi o Wisłę, traktujemy ten temat bardzo poważnie. Elektrownia Kozienice działa na podstawie pozwolenia wodnoprawnego, ale nasze podejście nie ogranicza się wyłącznie do spełniania wymogów formalnych. Od lat prowadzimy monitoring środowiskowy i współpracujemy z naukowcami. Wieloletnie badania prowadzone w rejonie Elektrowni Kozienice pokazują, że stan ekosystemu Wisły zależy od wielu czynników, w tym suszy, zmian klimatu, regulacji rzeki, dostępności siedlisk oraz gatunków inwazyjnych, a nie wyłącznie od pracy elektrowni.

Zleciliśmy także badania Instytutowi Rybactwa Śródlądowego. Ich wyniki wskazują, że ocena wpływu infrastruktury energetycznej na ichtiofaunę wymaga spojrzenia na cały ekosystem, a nie na pojedynczy wskaźnik. Dlatego nie uciekamy od tego tematu, tylko opieramy się na danych, monitoringu i współpracy z ekspertami. Szacunek dla środowiska oznacza dla nas właśnie takie podejście: rzetelną analizę, ograniczanie oddziaływania tam, gdzie jest to możliwe, i równoczesne zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego.

Bankowcy nie przepadają za firmami, których działalność powiązana jest w takiej skali z węglem. Enea ma wielki program inwestycyjny, do realizacji którego musi zdobyć pieniądze. Chcą wam pożyczać?

Nie mamy problemu z pozyskiwaniem finansowania dla dobrze przygotowanych projektów. Polskie banki finansują nasze projekty w sektorze wytwarzania, dystrybucji, cyfryzacji. Tylko w tym roku na inwestycje wydamy 9 mld zł, zaś do 2035 r. – 108 mld zł. Większym problemem staje się pozyskanie wykonawców. Wyspecjalizowanych firm na rynku nie ma tak wiele, za to projektów do realizacji przybywa. A nam zależy na jak największym udziale firm krajowych.

Wszyscy dziś dużo mówią o energii atomowej, która ma być cudownym panaceum na nasze problemy. A pan na razie o niej nie wspomniał. Nie planujecie przynajmniej małych reaktorów modularnych SMR?

Analizujemy taką możliwość, ale w naszej strategii jej nie uwzględniliśmy. Zbyt mało wiadomo jeszcze o tej technologii, nie ma doświadczeń z komercyjnym funkcjonowaniem reaktorów SMR.

Energetycy mnożą transformacyjne plany. Ale wielkie inwestycje to też wielkie koszty. A już dziś energia w Polsce do najtańszych nie należy. Skąd brać na to pieniądze?

Dotychczas jednym z głównych źródeł finansowania byli klienci, ponoszący opłaty mocowe i sieciowe. Ale pamiętajmy też o systemie ETS. Wpływy z opłat za emisję CO_2 były dotychczas wydatkowane przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska na różne cele związane z ochroną środowiska. Może pora, by te środki wykorzystać na transformację energetyki. Wiem, że to trudne wyzwanie, ale przypadło ono naszemu pokoleniu i musimy mu sprostać. Sam jestem w tym zaprawiony. Pracuję w energetyce już od 36 lat i mam wrażenie, że transformacja jest tu stanem permanentnym.

ROZMAWIAŁ ADAM GRZESZAK

eprasa.pl a53f7da89d

Kruczki i sztuczki

Łatwiej o rekompensatę za opóźnienie, dobre wiadomości dla podróżujących z dziećmi, ale wciąż tylko jeden niewielki bagaż podręczny w cenie biletu. Unijna reforma lotniczych przepisów to krok w stronę pasażerów. Jednak niewiele im pomoże w przypadku takich kataklizmów jak najnowszy wybuch Etny.

CEZARY KOWANDA

Pomysłowość linii lotniczych we wprowadzaniu nowych opłat nie zna granic. Do wielu zdążyliśmy się przyzwyczaić, a nawet niechętnie je zaakceptować, jednak czasem to przewoźnicy muszą ustąpić.

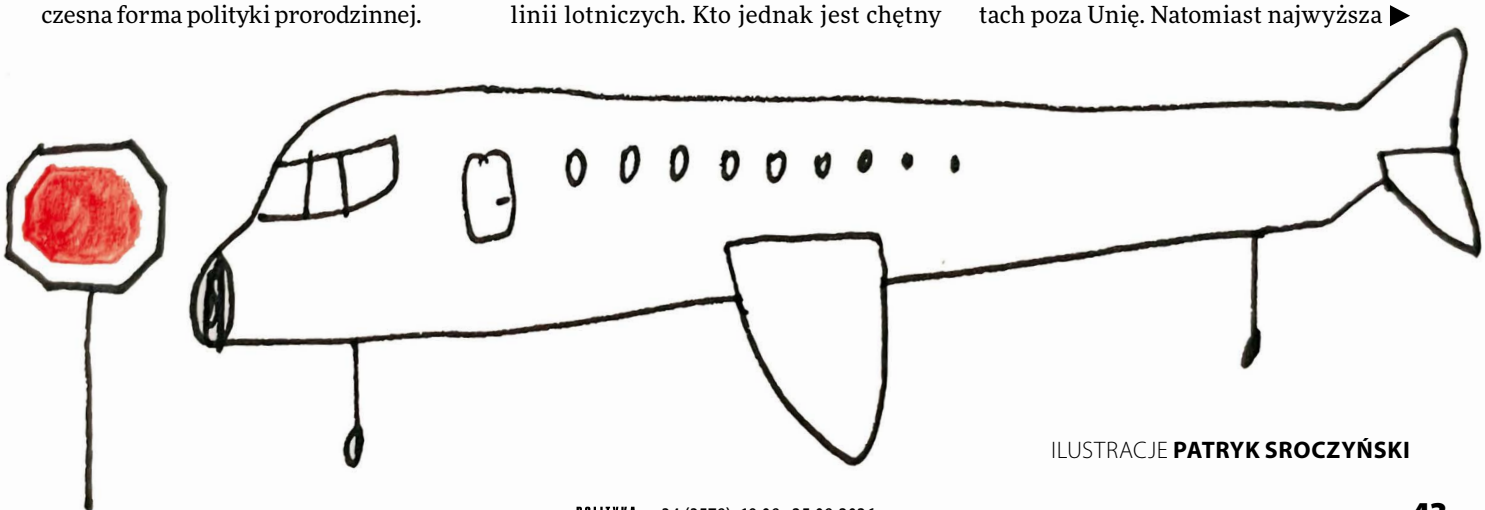
Ryanair, z którego usług korzysta już ponad 200 mln pasażerów rocznie, tak jak inne linie niskokosztowe (potocznie, choć nie zawsze poprawnie, zwane tanimi), stawia podróżnych lecących z bliskimi przed wyborem: dopłata za wybranie konkretnych miejsc w samolocie albo ich losowy przydział. W praktyce to inna nazwa rozsadzenia grupy. Kto nie chce zapłacić więcej, ten nie będzie siedział obok rodziny czy znajomych. Jednak irlandzki przewoźnik nie mógł, zgodnie z europejskimi przepisami, rozdzielać dzieci do lat 12 od ich opiekunów. Wpadł zatem na inny pomysł. Dziecku można było wybrać konkretne miejsce bez dodatkowego kosztu, ale już towarzyszący mu dorosły musiał dopłacić za sąsiedni fotel. W ten sposób doszło do kuriozalnej sytuacji. Dwie osoby dorosłe lecące razem mogły za bilety zapłacić mniej (akceptując rozsadzenie) niż jeden dorosły z dzieckiem. Taka nowoczesna forma polityki prorodzinnej.

W ostatnich latach tylko na rejsach z i do Włoch Ryanair nie mógł stosować swojej sztuczki, bo tamtejszy Urząd Lotnictwa Cywilnego mu tego zakazał. Niedawno postępowanie w tej sprawie wszczęli również Brytyjczycy. Ryanair najwyraźniej stwierdził, że zysk z tego procederu nie jest wart kontrowersji. Zatem wspaniałomyślnie oznajmił kilka tygodni temu dobrą wiadomość dla rodzin: nie trzeba już dopłacać za miejsce. Oczywiście z istotnym zastrzeżeniem. Jeśli z dzieckiem leci na przykład dwójka dorosłych, tylko jedno z nich usiądzie obok niego. Druga osoba, jeśli nie dopłaci, zostanie wysłana za karę w inne miejsce samolotu. Wolta Ryanaira to uprzedzenie faktów – w połowie przyszłego roku wchodzi w życie reforma praw pasażera w całej Unii Europejskiej. Wówczas dopłacanie za nierozsadzanie dzieci do lat 14 i ich opiekunów zostanie oficjalnie zakazane.

Tuż przed wakacjami Parlament Europejski, Komisja Europejska i unijne rządy porozumiały się w sprawie tej reformy, chociaż negocjacje były bardzo długie, a ich efekty to kompromis, który nie zadowoli do końca ani pasażerów, ani linii lotniczych. Kto jednak jest chętny do krytykowania Brukseli, ten powinien wziąć głęboki oddech. O takich prawach pasażera, jakie mają obywatele Unii, mieszkańcy reszty świata mogą tylko pomarzyć. Scenariusz ostatnich negocjacji był łatwy do przewidzenia. Przewoźnicy starali się wylobbować korzystne dla siebie zmiany, a na ich postulaty otwarte były, niestety, rządy wielu krajów, w tym Polski. Po drugiej stronie barykady znaleźli się europosłowie. Oni, starając się przypodobać podróżnym, czyli wyborcom, walczyli w ich interesie. Za to Komisja mediowała, próbując wypracować porozumienie.

Jeden z głównych punktów sporu dotyczył odszkodowań za opóźnienie lotów (chodzi o moment przylotu do miejsca docelowego). Dziś te przepisy są uważane za korzystne dla pasażerów, a linie robiły, co mogły, by płacić mniej.

W przypadku opóźnienia powyżej trzech godzin pasażerom przysługuje odszkodowanie wynoszące od 250 do nawet 600 euro. Najniższa stawka dotyczy lotów długości do 1,5 tys. km. 400 euro należy się w przypadku połączeń powyżej 1,5 tys. km wewnątrz UE i między 1,5 tys. a 3,5 tys. km na lotach poza Unię. Natomiast najwyższa ▶



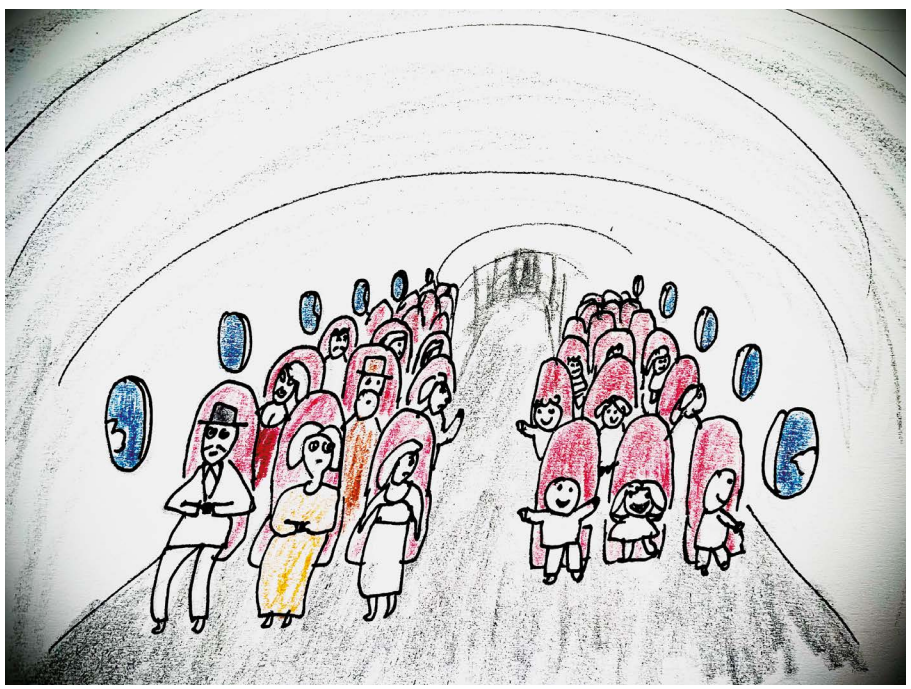
ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

eprasa.pl a53f7da89d

▶ rekompensata, sięgająca 600 euro, dotyczy najdłuższych lotów (powyżej 3,5 tys. km). Co ważne, stawka odszkodowania nie zależy od tego, ile pasażer zapłacił za bilet. W przypadku tańszych biletów rekompensata bywa zatem wyższa od kosztów podróży.

Kompromis polega na tym, że stawki i zasady odszkodowań od przyszłego roku się nie zmienią – mimo ostrego lobbingu przewoźników, którzy starali się wydłużyć dopuszczalny czas opóźnienia do przynajmniej czterech godzin. Linie wciąż będą mogły się powoływać na tzw. siłę wyższą, czyli okoliczności, na które nie miały wpływu. Jeśli opóźnienie czy odwołanie lotu jest spowodowane złymi warunkami atmosferycznymi, strajkami kontrolerów ruchu lotniczego czy, jak ostatnio na Sycylii, zamknięciem lotniska w Katanii (to piąty największy port we Włoszech) z powodu erupcji Etny, wtedy rekompensata nie przysługuje. Pozostaje tylko możliwość bezpłatnej zmiany lotu na inny, w miarę wolnych miejsc. Linia musi zapewnić dodatkowe noclegi, posiłki i transport do nowego miejsca odlotu albo pokryć koszty poniesione przez pasażerów. W praktyce dominuje ten drugi scenariusz, bo większość przewoźników oczekuje, że to sami podróżni znajdą sobie w ich systemach rezerwacyjnych alternatywne loty z Włoch do domu, dostaną się na inne lotniska, odległe nierzadko setki kilometrów od Katanii, a potem najwyżej prześlą rachunki.

Teraz liniom łatwo zrzucać winę na Etnę, ale ona jednak nie zawsze wybucha. Unia chce zatem, żeby lista okoliczności zwalniających przewoźników z wypłaty odszkodowań została ściśle określona. Nie będzie wśród nich przykładowo awarii samolotu. – *Linie dzisiaj robią, co mogą, żeby odszkodowań nie płacić. Powołują się chętnie na siłę wyższą, opóźniają odpowiedzi na wnioski pasażerów, sztucznie zaniżają czas opóźnienia, stosując swoje własne przeliczniki. Tymczasem wielu podróżnych jest w ogóle nieświadomych swoich praw albo szybko się zniechęca, bo uzyskanie pieniędzy bywa rzeczywiście drogą przez mękę* – tłumaczy Mariusz Piotrowski z portalu Fly4free.pl.



Wiosną tego roku Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów ukarał polskie linie czarterowe Enter Air i kazał im zapłacić pasażerom łącznie ponad 8 mln zł. Jeden z zarzutów dotyczył praktyki przewoźnika, który w przypadku odwołania lub opóźnienia lotów zawierał z konsumentami ugody. Czasem jeszcze na pokładzie samolotu. Niestety, wykorzystując niewiedzę podróżnych, Enter Air oferował im niższe odszkodowania niż te gwarantowane przez unijne przepisy. UOKiK nakazał przewoźnikowi zwrócić poszkodowanym brakujące kwoty i dodatkowo dać im voucher na kwotę 50 zł do wykorzystania podczas kolejnego lotu.

Konfrontacyjna postawa linii doprowadziła do powstania w Europie zupełnie nowej branży: odszkodowawczej. To firmy zajmujące się pomocą pasażerom w walce o rekompensaty. Szukają klientów często już na lotniskach, rozdając ulotki podróżnym, którzy wysiedli z opóźnionych rejsów. Teoretycznie nie mogą prowadzić akwizycji w terminalu, ale w praktyce służby lotniskowe są bezradne. Takie firmy oczywiście nie działają charytatywnie. Biorą na siebie walkę z liniami, ale w przypadku sukcesu zabierają 25–30 proc. kwoty odszkodowania, a jeśli spór kończy się procesem sądowym – nawet 50 proc. Organizacje konsumenckie walczyły o to, żeby linie musiały po opóźnionym locie same przygotowywać stosowne formularze i oferować je pasażerom. Sukces unijnej reformy jest połowiczny. Przewoźnicy zostaną zobowiązani do wysyłania podróżnym w ciągu 96 godzin po opóźnionym z ich winy przylocie linku prowadzącego do wniosku o wypłatę rekompensaty. Jednak ten formularz każdy będzie już musiał wypełnić sam.

Także w temacie bagażu podręcznego nie doszło do żadnego przełomu. Od lat trwa spór między przewoźnikami i pasażerami o rozmiary tego, co można zabrać do samolotu bez dopłat. Linie niskokosztowe, a nawet niektóre tradycyjne, wprowadziły rozgraniczenie między małym i dużym bagażem podręcznym. Ten pierwszy to zazwyczaj mała torba lub plecak, ten drugi to tzw. kabinówka, czyli niewielka walizka. Tylko ten pierwszy można zabierać na pokład w najtańszych taryfach, jeśli podróżuje się liniami takimi jak Ryanair czy Wizz Air. Europosłowie walczyli, aby każdy mógł zabrać również kabinówkę, ale polegli. Wygrali przewoźnicy, bo skutecznie straszyli wzrostem cen. Linie tłumaczą bowiem, że gdyby straciły ważne źródło przychodów, jakim jest sprzedaż dużego bagażu podręcznego, zrekompensują sobie niższe przychody, każąc wszystkim pasażerom płacić więcej. Także tym, którzy są dziś w stanie spakować się w plecak. Jednak w przyszłym roku i tak czekają nas zmiany.

Unii udało się wreszcie określić minimalne rozmiary bezpłatnego bagażu podręcznego. Niestety, nikogo one nie zadowolą, bo chodzi o torbę czy plecak

eprasa.pl a53f7da89d

o wymiarach 40, 30 i 15 cm. Tymczasem już teraz Ryanair, Wizz Air czy easyJet oferują nieco więcej, a zatem pasażerowie na tej części reformy zupełnie nie skorzystają. Najbardziej kontrowersyjna jest inna regulacja. Oto linie lotnicze od następnego lata mają mieć obowiązek podawania w wynikach wyszukiwania ceny lotu z uwzględnieniem zarówno małego, jak i dużego bagażu podręcznego. Dopiero w kolejnym kroku pasażer będzie mógł zrezygnować z kabinówki i wówczas uzyska dostęp do tańszej taryfy.

Trudno powiedzieć, jak w praktyce linie wprowadzą ten przepis. Dla tych reklamujących się jako najtańsze to spory problem, bo bywa, że bilet z dużym bagażem podręcznym jest dwukrotnie droższy od tego z samym plecaczkiem. – *Taka zmiana pomoże nam porównywać ceny, zwłaszcza osobom rzadziej latającym, które nie znają tych wszystkich sztuczek stosowanych przez część przewoźników. Może się okazać, że podróż linią tradycyjną, która od początku w cenie uwzględnia duży i mały bagaż podręczny, wcale nie jest znacząco droższa niż linią niskokosztową* – przekonuje Monika Kosińska-Pyter, prezeska Federacji Konsumentów. Niestety, unijne rozporządzenie nie pomoże w innym problemie związanym z bagażami.

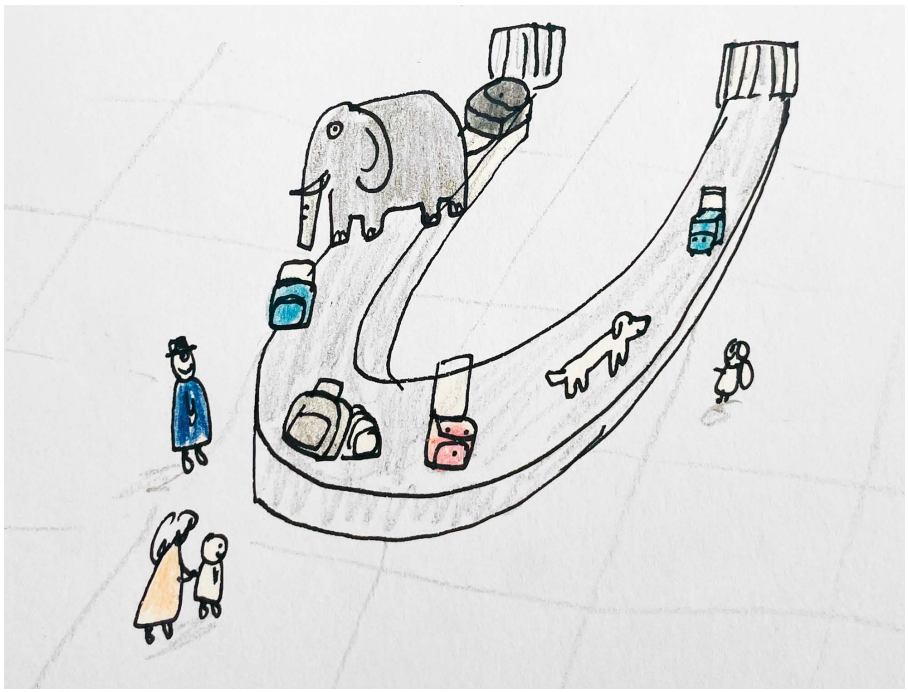
Dzisiaj przy bramkach tuż przed wejściem do samolotu dochodzi często do konfliktów między pasażerami a obsługą. Niektórzy muszą wkładać plecaki czy walizki do tzw. sizerów, by udowodnić, że nie są większe niż wymogi narzucone przez linię. – *Kary za nawet niewielkie przekroczenie dopuszczalnych limitów, np. z powodu wystających kółek czy rączek, są bardzo wysokie. Sięgają ok. 300 zł. Do tego dochodzi czasem arbitralność ze strony obsługi i pośpiech, który dodatkowo działa na niekorzyść pasażerów. Stają oni przed wyborem: albo szybko zapłacą, albo nigdzie nie polecą. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów wszczął nawet postępowanie w tej sprawie. Szkoda, że w unijnych przepisach nie ma żadnych regulacji, dzięki którym ewentualne dopłaty za niewielkie przekroczenie limitów byłyby ustalane na rozsądnym poziomie* – mówi Mariusz Piotrowski, redaktor Fly4free.pl.

Szukających tańszych przelotów na pewno ucieszy, że linie nie będą już mogły anulować biletu pasażera, który nie skorzysta z pierwszego odcinka lotu. Nierzadko dłuższe połączenie z przesiadką jest tańsze niż krótsze, bezpośrednie. Np. lot z Rygi przez Warszawę do Nowego Jorku może być korzystniejszy cenowo od tego tylko z Warszawy do Nowego Jorku. Teraz linie grożą, że kto nie wykorzysta pierwszego odcinka, ten nie może skorzystać z drugiego. Wkrótce taka kara nie będzie już dozwolona.

Odetchnąć z ulgą mają też ci, którzy nie chcą być zmuszani do używania elektronicznych kart pokładowych. To kolejny cios dla Ryanaira, który od listopada ub.r. nie akceptuje już wydrukowanych przez pasażerów kart pokładowych i zmusza wszystkich do używania swojej aplikacji.

Mimo zmiany unijnych przepisów przewoźnicy z pewnością zrobią wszystko, aby chronić swe interesy. Zwłaszcza że z powodu wojny z Iranem i dużo droższego paliwa lotniczego muszą zwracać większą uwagę na stan swoich finansów. A nawet na krótkim locie europejskim konieczność wypłaty wszystkim pasażerom odszkodowania za opóźnienie to koszt rzędu 50 tys. euro.

Jednak czasem opór zwyczajnie może się nie opłacić. Przekonał się o tym Ryanair, który nie chciał zapłacić pasażerce lotu opóźnionego o 13 godzin rekompensaty i zwrotu kosztów sądowych. Irlandzki przewoźnik miał oddać niemal 900 euro,



Wkrótce będzie musiał zmienić politykę mimo gromów ciskanych w kierunku Brukseli przez jego szefa Michaela O'Leary'ego.

Jednak unijne rozporządzenie i tak nie jest w stanie wszystkiego uregulować. To poszczególne urzędy w państwach członkowskich powinny reagować, gdy pojawiają się problemy. Tymczasem u nas trudno stwierdzić, kto tak naprawdę przejmuje się losem pasażerów. Mamy Urząd Lotnictwa Cywilnego, Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, a także Ministerstwo Infrastruktury odpowiedzialne za lotnictwo. Ale żadna z tych instytucji nie zainteresowała się obowiązkiem dopłacania przez rodzica za to, żeby mógł siedzieć z dzieckiem.

ale nie stosował się do wyroku, zatem austriacki komornik odwiedził w marcu jeden z jego samolotów przed porannym lotem z portu w Linzu. Obsługa nie miała przy sobie gotówki, by spłacić dług, więc funkcjonariusz nie zezwolił na start maszyny i przykleił nawet znaczek symbolizujący zajęcie komornicze. Dopiero gdy pieniądze dla klientki się znalazły, samolot został uwolniony i mógł odlecieć... z opóźnieniem. Na szczęście dla Ryanaira było ono mniejsze niż trzy godziny. W przeciwnym razie walka z jedną klientką mogłaby giganta sporo kosztować. Gdyby więcej pasażerów było tak zdeterminowanych w dochodzeniu swoich praw, linie z pewnością rzadziej by je łamały.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl a53f7da89d



Czy Donald Trump powróciłby do Białego Domu, gdyby nie Elon Musk? Ten ostatni publicznie przekonuje, że nie. I chyba ma rację.

© BRANDON BELL/GETTY IMAGES, CHESNOT/GETTY IMAGES, DAVID PAUL MORRIS/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, ROGER ASKEW/SHUTTERSTOCK/REX FEATURES/EAST NEWS, CRAIG T FRUCHTMAN/WIREIMAGE/GETTY IMAGES, ANDREAS PEIN/LAIF/FORUM

Rozmowa z dziennikarzem Evanem Osnosem o tym, czego chcą najbogatsi Amerykanie. I dlaczego muszą w tym celu kupić amerykańską politykę – tak jak kupili już Donalda Trumpa.

Elita elit

MATEUSZ MAZZINI: **– Co to dziś znaczy być ultrabogatym w Ameryce?**

EVAN OSNOS: – Wcześniej tradycyjnym wyznacznikiem była przynależność do jednego procenta najbogatszych. Dzisiaj jeden procent w praktyce oznacza „zaledwie" 11 mln dol. Z punktu widzenia tych naprawdę najbogatszych to raptem przeciętna klasa średnia. Dla mnie ultrabogaci to grupa 400–500 najzamożniejszych Amerykanów. Jeden procent to już nie jest spójna grupa. Trudno porównywać status i sprawczość kogoś, kto ma aktywa warte nawet 2 mld dol., z kimś pokroju bilionera Elona Muska czy Jeffa Bezosa. Tacy ludzie zasługują na miano hipermiliarderów. To wokół nich skupiać powinna się nasza debata, bo przez ostatnie 20 lat ich znaczenie tylko rosło, również w wymiarze politycznym.

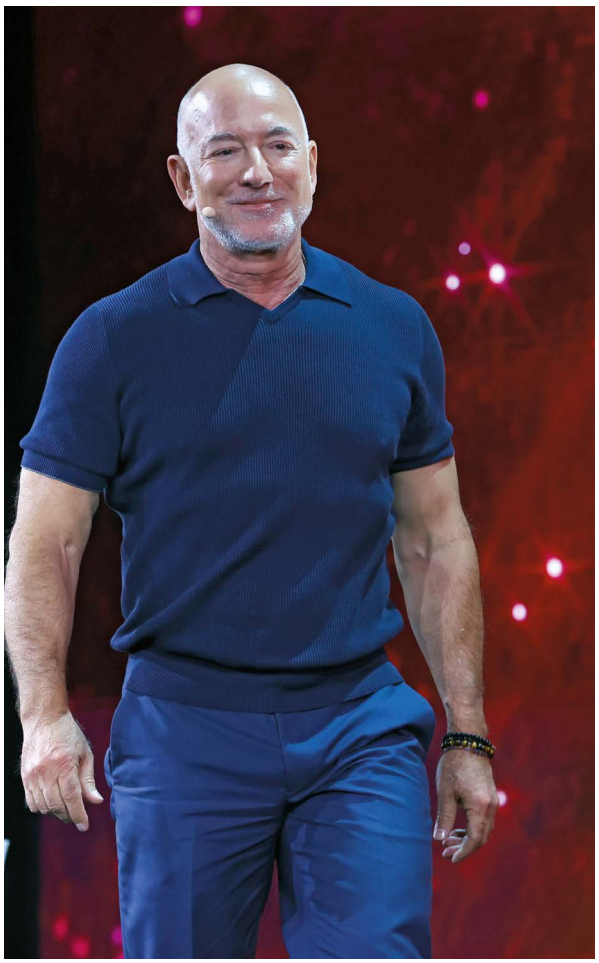
Jaka była w tym rola Donalda Trumpa?

Ogromna. Jego pierwszy budżet z 2017 r. wprowadził tak wielkie ulgi podatkowe dla najbogatszych, że ich majątki wystrzeliły w górę. To zaczęło się szybko przekładać na politykę. Ci ludzie uznali, że im więcej pieniędzy przekażą Trumpowi, tym korzystniejszą dla nich politykę będzie prowadzić. W dodatku od czasu słynnej sprawy Citizens United z 2010 r. (w odpowiedzi na skargę tej konserwatywnej organizacji przeciwko Federalnej Komisji Wyborczej Sąd Najwyższy uznał, że korporacje i związki zawodowe mają prawo do finansowania kampanii politycznych – przyp. red.) prywatne pieniądze w amerykańskiej polityce mogą funkcjonować właściwie bez ograniczeń. Te dwa zjawiska zupełnie zdeformowały nasz system ekonomiczno-polityczny.

I ten jacht z tytułu pańskiej książki „Bogaci, bogatsi, najbogatsi. O życiu tych, którzy mają wszystko (i jachty)" już nie wystarczy, żeby czuć się bogatym?

Ameryka weszła w epokę, w której najwyższym dobrem luksusowym jest nie tyle majątek, ile dostęp, głównie do polityków. Możesz mieć największy jacht na świecie, ale bez dostępu do władzy politycznej będziesz odczuwać ogromną frustrację. Dlatego

eprasa.pl a53f7da89d









Być hipermiliarderem jak Jeff Bezos to dla niektórych wciąż za mało. Mark Zuckerberg (z prawej u góry) **chciałby przejść do historii ludzkości.** Poniżej: **Peter Thiel i Mark Andreessen** (na fot. **z żoną, filantropką Laurą Arrillagą-Andreessen) marzą o nieograniczonej władzy.**

ci ludzie nigdy nie przestaną inwestować w politykę. Najlepszym przykładem jest Musk, który publicznie przekonuje, że gdyby nie on, Trump nie wróciłby do Białego Domu. I chyba ma rację. Zrozumieli, że mogą zarabiać olbrzymie pieniądze w biznesie, ale dopiero dzięki politykom są w stanie przekroczyć wszelkie ograniczenia.

Kto jest dziś elitą w USA? Pisze pan, że dla prawicy są nią liberalni dziennikarze i wykładowcy z Ligi Bluszczowej, czyli z najsłynniejszych uniwersytetów w USA. Dla lewicy – bogacze z Wall Street.

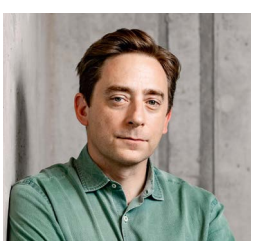
To esencja problemu, o którym rozmawiamy. Miliarder z Doliny Krzemowej odczuwa frustrację, bo ma wrażenie, że liberalne elity patrzą na niego z góry. Ale biedujący przedstawiciel liberalnych elit z Nowego Jorku też jest sfrustrowany, bo ledwo starcza mu na życie. Wystarczy spojrzeć na dane. Dzisiejsi Amerykanie kupują swoją pierwszą nieruchomość, mając na karku średnio dziesięć lat więcej niż ich rodzice. Połowa dorosłych obywateli USA nie byłaby w stanie ponieść nieprzewidzianego wydatku tysiąca dolarów. Ci ludzie czują się coraz bardziej wykluczeni. W rezultacie dystans między bogatymi a resztą społeczeństwa cały czas się powiększa, a słowo „elita" staje się narzędziem podnoszenia emocji.

Dam przykład politycznego influencera Tuckera Carlsona. Jego ojciec był dyplomatą i dziennikarzem, Carlson dorastał w środowisku o wysokim kapitale społecznym, kulturowym i finansowym. Był więc otoczony wszystkim atrybutami, ale też ambicjami liberalnej elity, tak krytykowanej przez prawicę. Tyle tylko, że – jak sam często mówi – w swoim życiu zaliczał porażkę za porażką, nie spełniał oczekiwań, przez co przynależność do elity stała się źródłem frustracji. W rezultacie wypisał się z tego kręgu, stał się jego głośnym krytykiem. Koniec końców został bohaterem elit – tylko innych, skrajnie prawicowych.

Stąd wniosek, że w Ameryce wszyscy nienawidzą elit – bez względu na to, jak je definiują.

Takie ujęcie sprawy dotyka sedna amerykańskiej tożsamości narodowej. W końcu jesteśmy społeczeństwem założonym właśnie przez elity, czyli białych mężczyzn posiadających ziemię...

...którzy zbuntowali się przeciwko brytyjskim elitom...



Evan Osnos – amerykański dziennikarz i eseista, od 2008 r. publicysta tygodnika „The New Yorker". Zajmuje się m.in. elitami w USA i najbogatszymi ludźmi świata. W Polsce ukazała się jego najnowsza książka „Bogaci, bogatsi, najbogatsi. O życiu tych, którzy mają wszystko (i jachty)".

eprasa.pl a53f7da89d

▶ ...i postawili na swoim. Amerykańska państwowość zrodziła się na odrzuceniu europejskich elit. A jeśli tak postawimy sprawę, to wracamy do podstawowej tezy Vilfreda Pareto o wiecznej cyrkulacji elit. USA to cmentarzysko elit europejskich, ale w stworzonym tu systemie zawsze pojawia się nowe pokolenie, które zastępuje stare na szczytach władzy.

Jak w tym świetle wytłumaczyć wysokie poparcie dla Trumpa wśród gorzej sytuowanych? Daje ulgi najbogatszym, sam jest bogaty, jednak wciąż uchodzi za trybuna ludowego.

Trump jest piekielnie skutecznym politykiem, bo nauczył się używać słowa „elity" w różnych kontekstach wobec różnych grup wyborczych. Jeśli jedzie na wiec w zubożałym postindustrialnym miasteczku na Środkowym Zachodzie, zapowiada, że zerwie kurtynę i ujawni wszystkie spiski czy tajemnice „elit". I jest w tym wiarygodny, bo sam jest wytworem elit, które chce zdemaskować. To oszustwo, ale bez znaczenia na dłuższą metę. Trump zapowiada działania przeciw elitom, a potem im pomaga. Wyborcy



Tucker Carlson, dziecko liberalnej elity, lepiej sobie radzi jako jej krytyk

to widzą, bo materialnie żyje się im dużo gorzej, ale nigdy się nie przyznają do błędu. Wiemy to z psychologii społecznej – ludziom trudno pogodzić się z faktem, że dali się oszukać, więc normalizują to w swojej głowie.

Jeśli natomiast Trump mówi do publiczności lepiej wykształconej i bogatszej, zmienia definicję elit. I stara się trafić do tych, którzy nie mają jasno sprecyzowanych poglądów albo są rozczarowani demokratyczno-republikańskim duopolem w USA. Najciekawsze jest jednak to, jak udało mu się dotrzeć do wspomnianego jednego procenta – często ludzi o konserwatywnych, propaństwowych poglądach. I jak udało mu się ich zradykalizować.

Jak?

Poprzez strach. Przekonuje ich, że amerykańskie marzenie jest zagrożone. Ci tzw. zwykli bogacze jeszcze przed Trumpem zaczynali bać się lewicy, postępowych ruchów ekonomicznych, perspektywy podniesienia podatków. A on wykorzystał pokłady już istniejącego strachu, zanim lęki bogaczy przebiły się na pierwsze strony gazet.

Kim są nowi amerykańscy oligarchowie, którzy za nim stoją?

W książce piszę m.in. o Marku Zuckerbergu, założycielu Facebooka. Często się mówi, że jest wielkim oportunistą, którego obchodzi tylko wycena akcji jego spółek. Z moich obserwacji wyłania się obraz kogoś, kto ma obsesję na punkcie wygrywania. Jego bliski współpracownik powiedział mi, że Zuckerberg od nastoletności był owładnięty pragnieniem odegrania ważnej roli w historii ludzkości. Uchodzi jednak za postać pozbawioną ideologii i fałszywą – w końcu jeszcze niedawno establishment Demokratów miał nadzieję, że Zuckerberg stanie się nową wersją Billa Gatesa czy Warrena Buffetta i będzie wspierać liberałów. Dziś wiemy, że to iluzja.

Ale Zuckerberg to wyjątek.

Tak, zupełnie inny typ oligarchy reprezentuje Mark Andreessen, najbardziej wpływowy inwestor w Dolinie Krzemowej. On i Peter Thiel są wolnorynkowymi fundamentalistami, których radykalizm wychodzi poza sferę ekonomiczną. Andreessen krytykuje jakiekolwiek ograniczenia dla podmiotów prywatnych. Jemu chodzi nie tylko o biznes, ale też o wolność słowa. Dlatego uważa elity kulturowe za zagrożenie, bo wspierają dobrze działające państwo, a państwo to dla niego ograniczenia. Nie jest przypadkiem stwierdzenie Thiela, że wolność i demokracja nie są już ze sobą kompatybilne. Razem z Andreessenem są więc przykładami ludzi, którzy po osiągnięciu niesamowitego bogactwa materialnego zaczynają fantazjować o nieograniczonej władzy politycznej.

Chyba zupełnie inaczej rozumieją politykę.

To prawda. Andreessen jest przekonany, że współtworzy mityczny projekt zmiany cywilizacyjnej, którego skala i znaczenie daleko wykraczają poza zwykły cykl polityki demokratycznej. Podobnie Musk, który w ostatniej kampanii pokazał, że przejęcie kontroli nad rządem daje właściwie nieograniczoną sprawczość. Wiadomo, ostatecznie zderzył się ze ścianą, opinia publiczna przestała go tolerować. Zanim jednak to się stało, dostał gabinet w Białym Domu i własny departament federalny (Departament ds. Efektywności Rządu – przyp. red.). Innym oligarchom dał przykład, że jeśli włoży się wystarczająco dużo pieniędzy, można wszystko.

Jaki jest ich cel?

Całkowita suwerenność jednostki. Thiel mówi przecież o wyjściu poza społeczeństwa i narody. Ambicje tych ludzi są już tak wygórowane, że polityczną rzeczywistość traktują jako bzdurę, którą należy ignorować w imię wyższego celu. Zwłaszcza w dobie sztucznej inteligencji. Ale nawet ona nie jest najważniejsza – przecież Musk chce z ludzi zrobić gatunek międzyplanetarny.

I jaka jest na to reakcja?

Nawet „zwykli" bogacze już twierdzą, że ultrabogaci mają zbyt wielki wpływ na amerykańską politykę. W Nowym Jorku, finansowej stolicy USA, burmistrzem został przecież socjalista Zohran Mamdani, zwolennik wysokich podatków dla zamożnych. Nierówności materialne w naszym społeczeństwie rosną w zastraszającym tempie, nigdy nie były wyższe. Ale ultrabogaci też zdają sobie sprawę, że nastroje społeczne zwracają się przeciw nim. Trump nie będzie rządzić wiecznie, a Partia Demokratyczna coraz bardziej skręca w lewo.

Co to oznacza?

To jest zapowiedź wielkiego konfliktu klasowego. Dziś jeszcze socjaliści są nie do przyjęcia dla wielu demokratycznych wyborców. W wyborach prezydenckich w 2028 r. Partię Demokratyczną będzie jeszcze reprezentować ktoś z klasycznej centrolewicy. Niewykluczone jednak, że ten skręt w lewo gwałtownie przyspieszy.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

© JOE RAEDLE/GETTY IMAGES

eprasa.pl a53f7da89d

Złota piłka

Zakulisowa próba sprzedaży praw do imprez FIFA może wywołać przewrót na szczycie światowego futbolu.

MARCIN PIĄTEK



Gianni Infantino, szef FIFA. Straci wreszcie stołek?

© CARL RECINE/GETTY IMAGES

Takiego pomundialowego epilogu mało kto się spodziewał. Wydawało się, że największym zmartwieniem działaczy FIFA, z prezydentem Giannim Infantino na czele, będzie kwestia kary dla kilku argentyńskich piłkarzy, którzy sfrustrowani dość wstydliwą porażką w finale – zero celnych strzałów – rzucili się z pięściami na świętujących mistrzów z Hiszpanii. Tymczasem za sprawą dziennikarzy londyńskiego „Timesa" gruchnęła sensacja, która może stać się początkiem przewrotu na szczytach futbolowej władzy i kosztować stanowisko samego Infantino. Jeszcze do niedawna żyjącego w błogim przekonaniu, że jego rządy będą trwały do końca świata i jeden dzień dłużej.

„Times" bowiem ujawnił, że mundial jest na sprzedaż. A konkretnie związane z nim prawa marketingowe, dystrybucja biletów, sprzedaż licencji, jak również transmisji telewizyjnych mistrzowskich turniejów, począwszy już od kolejnego, w 2030 r. A nawet od 2029 r., bo na ten rok zaplanowano znajdujący się również w aktywach FIFA finałowy turniej klubowych mistrzostw świata. Infantino oraz jego doradcy wywodzący się z sektora bankowego wpadli na pomysł powołania do życia osobnego podmiotu (FIFA Forward Enterprise; FFE) odpowiedzialnego za zarządzanie komercyjną stroną turniejów. Wprawdzie futbolowa centrala nadal miała zachować nad tą spółką kontrolę, ale jednocześnie zaprosiłaby do współpracy kapitał zewnętrzny, proponując mu nieco ponad 20 proc. udziałów o wartości 4,2 mld dol.

Deal z Trumpem

Jeśli Infantino i innym architektom tego projektu wydawało się, że wzmianka o zachowaniu przez FIFA kontroli operacyjnej nad FFE załatwi rozejście się całej sprawy po kościach, grubo się przeliczyli. Już sam fakt utrzymywania całej operacji w tajemnicy – nawet przed większością 36-osobowej rady FIFA, organu wykonawczego federacji – był dla środowiska futbolowego wystarczająco oburzający. Zwłaszcza w zestawieniu z obietnicami Infantino, wybranego na prezydenta FIFA w 2016 r., że pod jego kierownictwem będzie ona wzorem transparentności.

Zapewnienia Infantino, że to tylko luźna propozycja do dyskusji, zostały odebrane jako próba uspokojenia sytuacji. Równie desperacka, co obłudna, gdyż jednocześnie okazało się, że zachętą do zaakceptowania planu ma być dla krajowych federacji piłkarskich jednorazowy przelew w wysokości 20 mln dol., jeśli tylko klepną projekt do połowy ▶

eprasa.pl a53f7da89d

▶ września. Jak również podniesienie dla nich w nadchodzącej perspektywie budżetowej FIFA na lata 2027–30 dotacji od centrali z planowanych 8 do 20 mln dol. 40 mln dol. to mniej więcej połowa rocznego budżetu Polskiego Związku Piłki Nożnej, a dla federacji z krajów futbolowego i ekonomicznego trzeciego świata – stanowiących w FIFA większość – to majątek. Rodzący wobec centrali, jak i samego dobrego wujka Gianniego poczucie wdzięczności i idącej za nią lojalności.

W projekcie nie było mowy o tym, że udział zewnętrznego kapitału w FFE nie może zwiększyć się ponad ustalone 20 proc., co automatycznie zapalało lampkę ostrzegawczą. Udziały w FFE miał wykupić fundusz inwestycyjny Thrive Eternal, którego właścicielem jest Joshua Kushner. Zbieżność nazwisk z zięciem prezydenta Donalda Trumpa i jednym z jego najważniejszych doradców biznesowych oraz negocjatorów licznych międzynarodowych kryzysów, Jaredem, jest nieprzypadkowa. Panowie J.K. są braćmi, co zrodziło podejrzenia, że Infantino zawarł z Trumpem jakiś zakulisowy deal.

Czym innym są bowiem akty umizgów i serwilizmu w wykonaniu Infantino wobec prezydenta Stanów Zjednoczonych – ufundowanie dla Trumpa koszmarnej estetycznie i w gruncie rzeczy kabaretowej Nagrody Pokoju; przejście do porządku dziennego nad niewpuszczeniem na mundial sędziego z Somalii, podejrzewanego przez amerykańskie służby migracyjne o bliżej niesprecyzowaną współpracę z organizacją terrorystyczną; bezprecedensowe zawieszenie kary za czerwoną kartkę dla amerykańskiego napastnika Folarina Baloguna, co umożliwiało mu dalszą grę w fazie pucharowej turnieju – a czym innym uchylenie po znajomości drzwi do lukratywnego mundialowego biznesu.

Więcej i częściej

Prywatny fundusz może mieć chwilowo mniejszościowe udziały, ale istotą jego działania jest maksymalizacja zysków. Próbkę tego, czym to się kończy dla kibiców, dostaliśmy już podczas ostatniego turnieju – od horrendalnie drogich biletów, których ceny dynamizuje stosowny algorytm zależny od popytu na wydarzenie, aż po tzw. przerwy na nawadnianie przecinające połowy meczów na pół i wciśnięte po to, by w tym czasie antenowym sprzedawać dodatkowe reklamy. Mundial wciąż jest kurą znoszącą dla FIFA złote jajka i nie trzeba być geniuszem inwestycji, by dojść do wniosku, że aby tych jaj było więcej, trzeba rozbudować fermę.

Jeszcze nie przetrawiono skutków rozdętego do 48 uczestników turnieju w Ameryce Północnej, a już mówi się o tym, że w kolejnym wezmą udział 64 zespoły. Proporcje zmieniają się na niekorzyść Europy. Choć to reprezentacje ze Starego Kontynentu nadal stanowią główną siłę światowego futbolu (na ostatnim turnieju w gronie ośmiu ćwierćfinalistów było sześć reprezentacji europejskich), na poszerzeniu grona uczestników bardziej korzystają inne kontynenty. Bo tam są widzowie, czyli odbiorcy reklam, jak również potencjalni konsumenci wszystkich okołopiłkarskich gadżetów i produktów. Na początku tysiąclecia z wpływów za prawa telewizyjne do mundiali, jakie inkasowała FIFA, połowa pochodziła od europejskich stacji. Teraz ich udział zmniejszył się do 30 proc.

Pierwsza instynktowna myśl funduszu dopuszczonego do komercjalizowania imprez FIFA musi być następująca: zwiększyć nie tylko grono uczestników i odbiorców, lecz również częstotliwość, czyli organizować mundial nie co cztery, ale co dwa lata. Zwłaszcza że największy zastrzyk przychodów FIFA inkasuje właśnie w roku mundialowym. Z 13 mld dol. wpływów szacowanych na lata 2023–26 aż 9 mld prognoza przewiduje na ten właśnie rok. W porównaniu z poprzednim cyklem rozliczeniowym (2019–22) przychody FIFA wzrosły aż o 70 proc.

Wielkie litery i wielka kasa

Gianni Infantino, 56-letni prezydent FIFA, patenty na przejęcie władzy w światowym futbolu i jej utrzymanie doszlifował, pełniąc przez lata stanowisko sekretarza generalnego. Był prawą ręką Seppa Blattera, który odchodził ze stanowiska w atmosferze ciężkich podejrzeń korupcyjnych. Został z nich w zeszłym roku oczyszczony, co nie zmienia faktu, że to podczas jego rządów Rosja i Katar zapewniły sobie prawo organizacji mundiali dzięki łapówkom. Już po zwycięskiej dla Infantino kampanii wyborczej wyszło na jaw, że wydał on na nią kilkaset tysięcy dolarów więcej, niż deklarował (zresztą 500 tys. dol. otrzymał od UEFA), a gdy postępowanie w tej sprawie wszczęła komisja etyki FIFA, Infantino doprowadził do usunięcia jej szefa, Cornela Borbely'ego.

Prezydentura Infantino upływa jak do tej pory pod znakiem sprawdzonej metody dziel i rządź. A dzielić ma co, bo odkąd w 2016 r. został wybrany na szefa światowego futbolu, przychody FIFA sukcesywnie rosną. To skutek otwarcia mundiali na nowe, dotąd peryferyjne, ale niezwykle lukratywne kierunki (Katar organizował turniej w 2022 r., Arabia Saudyjska będzie gospodarzem w 2034 r.; w ślad za tym idą sponsorskie umowy z tamtejszymi firmami), powiększenia grona uczestników, jak również ściślejszej współpracy z funduszami inwestycyjnymi. FIFA operuje w czteroletnich perspektywach budżetowych, a większość z niemal 6 mld dol. rezerw ma rozlokowane w obligacjach i na kontach funduszy. Tylko w latach 2023–25 zarobiła na odsetkach 380 mln dol.

Ubiegając się o prezydenturę, Infantino zjednał sobie poparcie, powtarzając, że FIFA jest organizacją non profit, a w związku z tym jej przychody nie należą do niej, ale powinny zasilać konto wszystkich członków, obecnie w liczbie 211. I trzeba przyznać, że obietnicy dotrzymuje. W czasach rządów Blattera w czteroletnim cyklu budżetowym każda z federacji otrzymywała w ramach różnych programów pomocowych i rozwojowych mniej więcej 3 mln dol. Za Infantino kwoty przekazywane federacjom rosły stopniowo, aż do 6 mln dol. Poza tym uruchamiane są kolejne programy, niedawno powołano Fundusz Rozwoju Piłki Nożnej (działacze FIFA uwielbiają wielkie litery), który zasilono kwotą 660 mln dol., aby realizować wizję FIFA „wsparcia piłki nożnej w jej wszystkich formach i na wszystkich poziomach" (działacze uwielbiają też wielkie idee).

Za sam udział w mundialu FIFA wypłaca każdej z federacji 10 mln dol. Mistrzostwo Hiszpanii zostało wycenione na 51 mln, srebrna Argentyna otrzymała 34 mln, a brązowa Anglia 30. Ale te kwoty i tak bledną w porównaniu z premiami wypłaconymi podczas ubiegłorocznych klubowych mistrzostw świata. Do niedawna była to impreza kadłubowa, z udziałem kilku zespołów, organizowana rokrocznie w grudniu, bez prestiżu, obchodząca kibiców tyle, co zeszłoroczny śnieg, przez samych uczestników traktowana jak zło konieczne i okraszona dość skromnymi premiami.

eprasa.pl a53f7da89d



Madonna z Ronaldo i Ronaldinho na płycie boiska podczas „przerwy na nawodnienie". Amerykanie zrobili wszystko, żeby mundial zamienić w jarmark. A FIFA się na to zgodziła.

Ale to już historia. Ubiegłoroczna edycja, rozgrywana na amerykańskich boiskach jako przetarcie przed mundialem, trwała miesiąc i wzięły w niej udział 32 zespoły. Klubowe mistrzostwa świata rozrosły się do formatu charakterystycznego dla samego mundialu i na ich wzór będą teraz odbywać się co cztery lata. A nagrody były kosmiczne. Chelsea Londyn, ubiegłoroczny zwycięzca, wzbogaciła się o prawie 130 mln dol. Na samo startowe dzielone między wszystkich uczestników (kluby wynegocjowały sobie stawki za udział proporcjonalne do swojej marki i pozycji w futbolu) przeznaczono 525 mln dol. Utworzono nawet fundusz solidarnościowy, zasilony kwotą 250 mln dol., do podziału między kluby na całym świecie, ale szczegółowych kryteriów redystrybucji nie podano.

Cel tej zmiany był oczywisty: obłaskawić najlepsze kluby na świecie, spuszczając na nie deszcz dolarów nawet bardziej obfity niż ten w najbardziej prestiżowych rozgrywkach klubowych, czyli Lidze Mistrzów, i w ten sposób zdusić głosy, że FIFA pompuje organizowane przez siebie imprezy, nie bacząc na obciążenie piłkarzy. Idea, by zorganizować turniej klubowy raz (na cztery lata) a dobrze i nadać mu wielki rozmach, spotkała się z aprobatą, a zespoły potraktowały go poważnie, delegując na imprezę bardzo mocne składy. I w tym starciu Europa była górą (trzy drużyny w półfinałach).

Szemrane układy

Księgowi w klubach i federacjach piłkarskich byli więc z prezydenta Infantino bardzo zadowoleni. Do tego stopnia, że przyszłoroczne wybory władz FIFA, zaplanowane na marzec podczas kongresu w Rabacie, wydawały się formalnością. Infantino otrzymał czołobitne listy poparcia w kwestii prolongaty swojej prezydentury podpisane przez przedstawicieli 200 z 211 zrzeszonych federacji. Nawet Europa była w tej kwestii niemal jednogłośna. Od podpisania deklaracji wyłamały się tylko Niemcy, Norwegia, Dania, Szwecja i Rumunia.

Porządna robota dziennikarzy „Timesa" wywróciła ten porządek z dnia na dzień. Przedstawiciele federacji europejskiej, UEFA, w pierwszym odruchu zagrozili wycofaniem 55 reprezentacji Starego Kontynentu z jakichkolwiek rozgrywek i turniejów rozgrywanych pod szyldem FIFA, w razie gdyby projekt dopuszczenia do komercyjnej kooperacji funduszu Kushnera (a właściwie jakakolwiek próba sprzedaży części aktywów FIFA) była kontynuowana. Obecnie rozważana jest kwestia, czy deklarację poparcia dla Infantino wycofać jednym wspólnym ogłoszeniem, czy też raczej, w celu spotęgowania rezonansu, krajowe federacje mają to robić pojedynczo.

Wspólne oświadczenie UEFA nie pozostawia wątpliwości, że miarka się przebrała. Jest w nim mowa o potępieniu „szemranych układów za kulisami", które podejmowane są przez „bezimiennych osobników pod pozorem wątpliwych korzyści dla samej gry" oraz jednoznaczna zapowiedź pociągnięcia do osobistej odpowiedzialności macherów całego dealu. I choć macher numer jeden, czyli Gianni Infantino, zdążył już ogłosić, że koncepcja utworzenia FFE i sprzedaży udziałów prywatnym inwestorom została pogrzebana, antyprezydenckich nastrojów to nie uspokoiło. Przedstawiciele prominentnych europejskich federacji jeden po drugim twierdzili, że Infantino utracił ich zaufanie, a teraz rozpoczynają działania, by niebawem stracił również mandat.

Czerwoną kartkę pokazała mu również federacja CONCACAF (Ameryki Północnej, Środkowej i Karaibów) mająca w FIFA 41 przedstawicieli. Do dymisji wzywają Infantino politycy (premierzy Kanady Mark Carney oraz Wielkiej Brytanii Andy Burnham), odcinają się od niego bliscy współpracownicy, w tym odpowiedzialny w FIFA za programy rozwojowe trener Arsene Wenger.

Można odnieść wrażenie, że najbardziej krytyków Infantino rozsierdziła próba zalegalizowanej korupcji, jak można nazwać obietnicę 40 mln dol. dla każdej z federacji FIFA pod warunkiem szybkiego wsparcia projektu. Wreszcie z wewnątrz „wielkiej futbolowej rodziny" padają pytania, na które do tej pory porywali się tylko niezależni obserwatorzy: czy Infantino działa w interesie całego futbolu, czy jednak przede wszystkim w swoim (jego ubiegłoroczne zarobki wyniosły 6 mln dol., przez dekadę zainkasował już łącznie 30 mln)? Po co właściwie FIFA trzyma rezerwy w wysokości niemal 6 mld dol.? Czy fortuna przeznaczana rokrocznie na programy rozwojowe w poszczególnych federacjach jest na pewno wydawana zgodnie z ich szczytnym przeznaczeniem?

Zjednoczyć się w krytyce Infantino jest z pewnością dużo łatwiej, niż uzgodnić wspólnego kandydata, który może stawić mu czoło. Ale jest jeszcze sporo czasu. Termin zgłaszania chętnych do szefowania FIFA mija 18 listopada.

MARCIN PIĄTEK

© MAJA HITIJ-FIFA/GETTY IMAGES

eprasa.pl a53f7da89d



Jason Arday z honorowym doktoratem St. Mary's University (Katedra Westminsterska, 2024 r.)

Najmłodszy czarnoskóry profesor Cambridge Jason Arday złożył dymisję, oskarżony o plagiatowanie prac naukowych i koloryzowanie własnej biografii. Była gwiazda mediów spadła w sam środek wojny kulturowej.

Trzy złowrogie litery

JĘDRZEJ WINIECKI

Profesurę w Cambridge Jason Arday otrzymał przed czterdziestką. Co jest dość niezwykłe, bo borykał się głównie z trudnościami. Do 11. roku życia nie wypowiedział słowa, przemówił dopiero kilka dni przed 12. urodzinami. Gdy miał trzy lata, zdiagnozowano u niego autyzm i opóźnienie rozwojowe. Lekarze podejrzewali, że z trudem osiągnie samodzielność. Do 18. roku życia nie umiał czytać i pisać. Wychował się na osiedlu domów komunalnych w południowym Londynie w rodzinie imigrantów z Ghany. Poszedł na studia, gdzie nadal miał kłopoty z czytaniem. Gdy był na studiach podyplomowych, zorientował się, że jego trzyletnia córka składa litery sprawniej niż on.

Kreacja

Kilka tygodni przed obroną doktoratu wykryto u niego guz uciskający przysadkę mózgową. Po błyskawicznie przeprowadzonej operacji przeszedł niewielki udar, przez co stracił dostęp do pamięci krótkotrwałej, m.in. nie mógł sobie przypomnieć treści dysertacji. Musiał się jej nauczyć od nowa. Obrona się powiodła, tak jak rekonwalescencja. Wyjść z tych opresji pomogły mu dyscyplina i żelazna kondycja. Grał półprofesjonalnie w drużynie futbolu amerykańskiego i w snookera. Przebiegł 30 maratonów w 35 dni, z czego kilkanaście wbrew zaleceniom lekarskim i z pękniętą kością strzałkową. Do kontuzji doszło, gdy na trasie dostał ataku padaczki. Innym razem przebiegł z Edynburga do Londynu (ok. 700 km) w sześć dni, co oznaczało, że codziennie kończył ultramaraton.

Biegał, by zbierać pieniądze dla potrzebujących dzieci, w sumie uskładało się 5,5 mln funtów (27 mln zł). Działalnością charytatywną zainteresował się po najważniejszych czterech godzinach w swoim życiu. Jako nastolatek w okresie bożonarodzeniowym odwiedził z matką ośrodek dla osób w kryzysie bezdomności. Spotkał tam profesora, który stracił żonę i dzieci w wypadku samochodowym. Wówczas zrozumiał, że chce się poświęcić dla innych. Większość zarobionych pieniędzy rozdał, budował studnie w Afryce i Ameryce Południowej. Od najmłodszych lat chciał zostać wykładowcą w Oxbridge, jak łącznie nazywa się dwa najbardziej prestiżowe uniwersytety Wielkiej Brytanii. Takie postanowienie wypisał na ścianie swojego pokoju.

Jego sukcesy jako socjologa edukacji, wziętego autora poczytnych książek, inspirującego mówcy, uroczego gościa telewizyjnych wywiadów i bywalca internetowych podkastów bodły zawistników i pewnie dlatego wielokrotnie padał ofiarą dyskryminacji i wręcz fizycznej napaści. W gabinecie na uczelni prześladował go zamaskowany intruz uzbrojony w nóż. Groził, że skrzywdzi Ardaya, jeśli ten nie porzuci akademii. Pod jego drzwiami porzucono odciętą głowę świni. Któregoś razu został pobity przez czterech mężczyzn na przystanku autobusowym, to te obrażenia doprowadziły do rozwoju epilepsji. Choć napastników aresztowano, Arday im przebaczył i nie życzył sobie, żeby ich oskarżać. Po latach dwóch z nich pojawiło się na jego zajęciach, co więcej, „okazali się błyskotliwymi i pilnymi studentami". Jeden z nich poprosił wykładowcę, by został ojcem chrzestnym jego dziecka, na co Arday z ochotą przystał.

W lutym 2023 r. Cambridge przyjmowało w swych murach wybitnego

© ST MARY'S UNIVERSITY/STOP KLATKA

eprasa.pl a53f7da89d

badacza zajmującego się rasą i nierównościami w edukacji. Jego doświadczenia potraktowano jak przypowieści, które uwidaczniały bariery, z jakimi przyszło się mierzyć niedostatecznie reprezentowanym grupom w szkolnictwie wyższym, w tym na czołowych uniwersytetach. Z naciskiem na osoby ze społeczności w niekorzystnym położeniu społeczno-ekonomicznym, czarnoskórych, mniejszości etniczne, a także neuroróżnorodnych.

Weryfikacja

Równolegle zaczęto zgłaszać pierwsze wątpliwości. Dwóch profesorów dostarczyło przykłady zapożyczeń bez przypisów, co w świecie akademickim jest najpoważniejszą z przewin. Skontaktowali się z autorem, promotorem doktoratu, przełożoną na wydziale edukacji i wydawcami czasopism, które opublikowały teksty. Sprawę wyciszono, w tle pojawiły się zarzuty o rasizm. Nie ukazał się także rezultat śledztwa, które prowadził dziennikarz magazynu „Times Higher Education". Jack Grove zebrał wiele nowych przykładów, ale redaktorzy nie dali zielonego światła, obawiali się kosztownego i długiego procesu, którym postraszyli prawnicy wykładowcy. Z Grove'em skontaktowała się za to policja, która ostrzegła, by już nie nękał bohatera swoich dociekań.

W te wakacje metodę Ardaya nagłośnił Nathan Cofnas, filozof doktoryzujący się w Gandawie. Sam ma porachunki z Cambridge, skąd wyrzucono go za publicznie wygłoszoną uwagę, że w prawdziwej merytokracji czarnoskórzy „zniknęliby z niemal wszystkich prestiżowych stanowisk poza sportem i rozrywką". Cofnas określa się mianem „realisty rasowego", a poszedł tropem sygnału, który przesłał mu anonimowy informator. Wziął też na warsztat doktorat Ardaya, wykrył splagiatowane fragmenty i poruszył lawinę.

Brytyjska akademia na atak osoby z takimi przekonaniami na wykładowcę o nieposzlakowanej opinii zareagowała listem z wyrazami solidarności. Podpisały się setki naukowców protestujących przeciw kampanii oszczerstw zainicjowanej z najniższych pobudek. Tyle że Cofnas zainteresował się także prywatnym życiem Ardaya. Ten wątek podchwycili dziennikarze.

„Do dziś nie wiem, jak to zrobiłem" – tak mówił o swoim bieganiu. Coś w tym jest, bo wysiłek towarzyszący pokonanym przez niego kilometrom wykracza ponad możliwości zdecydowanej większości profesjonalnych biegaczy długodystansowych. Nie zlokalizowano klubu, w którym grywał w futbol. Nie odnaleziono śladów charytatywnych milionów dla hospicjów. Organizacja, która miała go delegować do kopania studni, nie wysyła wolontariuszy za granicę. Znaleźli się za to koledzy ze szkoły, którzy zapamiętali go jako gadatliwego śmieszka. Policja nie odnalazła ani zgłoszenia o świńskim łbie, ani śladu ustaleń – mówił o tym swego czasu „Guardianowi" – konkretnego sklepu, skąd pochodziło zwierzę. Sprzedawca nie przypominał sobie, żeby we wskazanym terminie ktokolwiek kupił u niego przedmiotową świnię.

Promotor z Liverpoolu przyznał, że przez trzy lata pracy nad doktoratem widział się osobiście z Ardayem tylko raz. Gdy dziś słucha się jego licznych wywiadów i prezentacji, słychać w nich przede wszystkim wątki autobiograficzne. Uzupełnione przemyśleniami, którym bliżej jednak do złotych myśli domorosłych filozofów niż przenikliwych obserwacji uznanego profesora takiej uczelni. Tylko jak to możliwe, że tak wiele rozgarniętych przecież osób dało się wciągnąć w coś, co już na pierwszy rzut oka – zwłaszcza za sprawą gęstości i skali nagromadzonych nieprawdopodobieństw – powinno obudzić przynajmniej pewne wątpliwości?

Recepcja

Nawet gorący zwolennicy wartości reprezentowanych przez Ardaya przyznają, że i on, i Cambridge nie sprostali standardom akademickim. Arday twierdzi, że jego rezygnacja nie oznacza przyznania się do jakiejkolwiek winy. Zwraca uwagę, że są tacy, którzy pamiętają, że miał trudności w nauce. Czuje się ofiarą nagonki. Nie wycofał się także wydawca jego wspomnień. Książka „Great and Unfortunate Things" (ang. Wielkie i niefortunne rzeczy) ukazała się na początku sierpnia w Stanach Zjednoczonych, na Wyspach Brytyjskich ma premierę pod koniec miesiąca. Nie wszystkie rewelacje o swoim życiu w nich zawarł, ale sporo powtórzył. Jest tam i takie zdanie: „A co, jeśli moja historia okaże się przestrogą, jak historia Ikara o lataniu zbyt blisko słońca?".

Niewątpliwie dostarczył amunicji wszystkim, którzy starają się wykoleić progresywne zmiany społeczne. Czarnoskóry profesor mitoman doskonale wpisuje się w narracje pomstujące na polityki mające zapewnić te same zasady dla wszystkich i równy dostęp do zatrudnienia, rozwoju i awansu. A więc bez faworyzowania osób z elity czy dyskryminacji przedstawicieli mniejszości, bez oglądania się na kolor skóry, płeć, sprawność fizyczną czy klasę społeczną. Skrótowo to DEI, akronim utworzony od słów „różnorodność", „sprawiedliwe traktowanie" i „inkluzywność".

To trzy złowrogie litery dla bardzo szerokiego gremium. Nie lubią ich tradycyjni konserwatyści, którzy wolą obraz starej Brytanii. Nie podobają się liberałom, którzy chcieliby czystej merytokracji i ostrej rywalizacji. Dla prawicowych populistów DEI symbolizują siły żerujące na zdrowej tkance społecznej, które przejmują kluczowe instytucje, w tym służbę cywilną czy wyższe uczelnie. Przykładem Arday, z którego zrobiono maskotkę DEI i ulubieńca progresywnego salonu. Dlaczego był skuteczny? Na tym poziomie nie działają już filtry weryfikacji, skoro jesteś w środku, to znaczy, że powinieneś tu być. A historia? Była miło spójna, dobrze się jej słuchało.

Tyle że jedne zmyślenia stają się podstawą do kolejnych. DEI nie wpłynęły na nadreprezentację czarnoskórych w brytyjskiej akademii. Nadal stanowią raptem 1 proc. wykładowców i studentów. Podobnie jest z kierownictwami dużych firm i głównymi rolami w mediach. Coś drgnęło w urzędach, ale i tu przetrwał szklany sufit dla przedstawicieli mniejszości etnicznych i od pewnego poziomu trzeba być białym, żeby zrobić karierę.

Prawdziwa jest za to inna obserwacja. Przynajmniej kilkanaście procent studentów w Lidze Bluszczowej (ośmiu uniwersytetach uchodzących za czołowe w USA) i nawet co czwarty w Oxbridge mają rodzinne tradycje studiowania w tych uczelniach. Ich kariery holuje i wyniesiony z domu kapitał społeczny, i system nastawiony na budowę sieci absolwentów oraz tych, którzy kosztem wysokiego wpisowego chcieliby się do tego kręgu wkupić. Arday trafił do Cambridge, by przełamać te zależności i „tworzyć środowisko akademickie, w którym każdy poczuje, że ma swoje miejsce". Nie do końca się udało. ■

eprasa.pl a53f7da89d



Frontowiec

Dowodzenie armią ukraińską przejął generał od spraw beznadziejnych. Bo Mychajło Drapaty najlepiej odnajduje się tam, gdzie sytuacja wymyka się spod kontroli.

LEON PIŃCZAK

Jego awans jest rezultatem wojenek na szczytach władzy. W lipcu stanowisko ministra obrony stracił 35-letni Mychajło Fedorow. Prezydent Wołodymyr Zełenski zdymisjonował go akurat w momencie, gdy Ukraina pierwszy raz od końca 2022 r. odzyskała inicjatywę operacyjną. Minister Fedorow domagał się jednak modernizujących zmian w sposobie prowadzenia wojny. Uważał, że nie da się postsowieckiej armii rosyjskiej pokonać armią ukraińską, też postsowiecką, tyle że mniejszą. Postulował, by stawiać na drony i technologię. Chciał roszad w Sztabie Generalnym, włącznie z odejściem jego szefa, 61-letniego gen. Ołeksandra Syrskiego. Zasłużonego i przekonanego, że drony i technologia to i owszem, ale jako uzupełnienie tradycyjnego systemu, z artylerią, ciężkim sprzętem, dużymi jednostkami, ostrą hierarchią i ściśle scentralizowanym kierowaniem. Ale to na niego postawił prezydent.

Co wcale nie zakończyło sporu, bo odchodzący Fedorow odwinął się i zorganizował konferencję prasową, wyjątkowo szczerą. Wymieniał powody, które jego zdaniem uniemożliwiają Ukrainie wygranie wojny – w tym: chroniczny brak odpowiedzialności za błędne decyzje, awanse oparte na lojalności i tłumiącego inicjatywę Syrskiego. Wytypował też młodszego o prawie pokolenie, 43-letniego Mychajła Drapatego na kogoś, kto mógłby Syrskiego udanie zastąpić. Przy okazji ujawnił, że Sztab Generalny zdążył już udzielić Drapatemu trzech nagan za „nonkonformizm". I z góry przeprosił za będącą w drodze „prawdopodobnie czwartą", którą młody generał pewnie dostanie po tej konferencji.

Ułożyło się inaczej. Drapaty szybko zyskał dużą popularność. Na transparenty wciągnęli go uczestnicy ulicznych protestów, którym nie spodobało się wyrzucenie ministra i kierunek okołowojskowych zmian personalnych. Zełenski uległ ich presji i w ten oto sposób Surskiego zastąpił Drapaty.

Lekcje z kotła

„Towarzyszu majorze, tam są barykady. Co mam robić?" – pyta Dmytro, mechanik-kierowca bojowego wozu piechoty BMP-2K. „Gazu!" – odpowiada Mychajło Drapaty. Tak przynajmniej sam później to relacjonował. Była wiosna 2014 r., trwała pierwsza faza agresji Rosji na Ukrainę. Agresji hybrydowej, co oznacza, że m.in. donbaski Mariupol od kilku miesięcy pogrążony był w chaosie. Wzniecili go uzbrojeni separatyści, koordynowani przez rosyjskie służby specjalne. Nad budynkami miejskiej administracji zatykali flagi samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej, na jezdniach i chodnikach wznosili barykady.

Przeciwko nim wysłano stacjonującą w podkijowskiej Białej Cerkwi 72. Samodzielną Brygadę Zmechanizowaną. Jej 2. batalion otrzymał rozkaz wkroczenia do miasta, wsparcia lokalnych oddziałów, odzyskania komendy milicji i odbicia zakładników. Operacją dowodził mjr Drapaty. Kolumnie czterech bojowych wozów piechoty drogę zagrodziła barykada. Zamiast zwolnić, pierwszy pojazd nabrał rozpędu i przeleciał przez ponadmetrową przeszkodę. Ktoś to nagrał i tak „latający BMP" stał się jedną z legend tamtego etapu konfliktu.

Po udanej operacji w Mariupolu 72. Brygada broniła 25-kilometrowego odcinka granicy w obwodzie ługańskim. Miała przeciąć szlaki wykorzystywane do zaopatrywania separatystów. Była ostrzeliwana z rosyjskiego terytorium, ale nie wolno jej było odpowiadać. Kijów nie chciał wtedy dawać Rosji, nieprzyznającej się do agresji

© GENYA SAVILOV/AFP/EAST NEWS, FACEBOOK (3)

eprasa.pl a53f7da89d

i walczącej rękami „zielonych ludzików", argumentu do bezpośredniej interwencji. Brygadzie pozostało maskowanie stanowisk i nieustanny manewr.

Część jej jednostek wpadła w okrążenie w tzw. kotle izwaryńskim. Trafiły pod silny ostrzał rosyjskiej artylerii i moździerzy. Kończyła się amunicja, odsiecz nie nadchodziła. Dowództwo nad wyrwaniem się z okrążenia przejął Drapaty. Po trzech dniach marszu i po pokonaniu blisko 60 km wyprowadził około tysiąca żołnierzy, stracił dwóch. Z kotła izwaryńskiego miał wynieść lekcję, że dowódca musi ufać swoim żołnierzom tak samo, jak oni muszą ufać jemu. Miała to być też szkoła myślenia o państwie.

Drapaty urodził się w Kamieńcu Podolskim, na zachodniej, zupełnie innej Ukrainie. Jak przyznawał, zetknięcie z realiami wschodniego regionu było dla niego szokiem kulturowym. W mieszkańcach Donbasu zobaczył społeczność podatną na wpływy rosyjskie i obciążoną sowieckim dziedzictwem. Wtedy też miał dojść do wniosku, że Ukrainę prędzej czy później czeka duża wojna o obronę tożsamości i niepodległości.





Legendarny „latający BMP", czyli bojowy wóz piechoty przeskakujący przez barykadę



Najcenniejszy zasób

Pozostał na froncie. Dowodził 58. Samodzielną Brygadą Piechoty Zmotoryzowanej, skończył studia operacyjno-strategiczne i trafił do kierownictwa Dowództwa Sił Połączonych w Donbasie. Z biegiem lat wypracował własną filozofię dowodzenia. Regularnie rozmawiał z żołnierzami, skracał dystans z podwładnymi. Uznawał, że w państwie o ograniczonym potencjale mobilizacyjnym rolą dowódców jest przede wszystkim ochrona życia żołnierzy, nawet kosztem utraty części terenu.

Pełnowymiarowa inwazja, która ruszyła w lutym 2022 r., zastała Drapatego – już generała brygady – na stanowisku zastępcy dowódcy Sił Połączonych. Odpowiadał za obronę Krzywego Rogu, gdy Rosjanie po przełamaniu ukraińskiej obrony na południu próbowali nacierać w głąb kraju. Po zatrzymaniu rosyjskiego natarcia, jesienią 2022 r., współkierował operacją wyzwolenia prawobrzeżnej części Ukrainy, zakończoną odzyskaniem Chersonia.

Później rzucano go na różne odcinki frontu – m.in. w maju 2024 r. zatrzymał rosyjską ofensywę na północy obwodu charkowskiego, po czym przejął dowództwo Wojsk Lądowych. Podwładni opisują go jako dowódcę, który obsesyjnie ogranicza straty i nie rusza do walki bez realnych szans powodzenia. Latem 2025 r. złożył dymisję, biorąc odpowiedzialność za śmierć 12 żołnierzy podczas rosyjskiego uderzenia rakietowego na poligon w obwodzie sumskim. „Nie zmieniłem stosunku do człowieka w mundurze". Ale dwa dni później Wołodymyr Zełenski powierzył mu dowództwo Sił Połączonych – czyli komórki zajmującej się koordynacją i prowadzeniem dużych operacji na froncie.

Drapaty nie stronił od krytycznych uwag o sposobie funkcjonowania najwyższego dowództwa. Sztab Generalny odpowiedział serią kontroli i ośmioma inspekcjami przeprowadzonymi ledwie w pół roku. Gdy w styczniu 2026 r. ministrem obrony został Mychajło Fedorow, Drapaty stał się jednym z najważniejszych mundurowych wspierających jego reformy. To automatycznie oznaczało otwarty konflikt z Syrskim. Niedługo później z rządu wyleciał Fedorow, ze sztabu Syrski i po 12 latach wojny z Rosją na czele ukraińskiej armii stanął oficer, który z racji późnego urodzenia nie zdążył przewinąć się przez sowieckie akademie.

Czas zimowej próby

Drapaty to generał ukształtowany przez front. Symbolizuje zmianę pokoleniową i odejście od dotychczasowego modelu dowodzenia, choć w armii oczekiwania są jednak bardziej pragmatyczne. Tym bardziej że nowy głównodowodzący nie odwróci sytuacji wyłącznie zmianą stylu wojowania, skoro możliwości mobilizacyjne są takie, jakie są, a Syrski zostawił armię z głębokimi niedoborami kadrowymi i z brygadami przeciążonymi zbyt długą walką.

Priorytetem będzie odbudowa rezerw operacyjnych, reforma systemu uzupełnień, rozwój wojsk bezzałogowych i inżynieryjnych oraz zwiększenie samodzielności dowództw korpusów, czyli większych zgrupowań, w skład których wchodzi kilka brygad. Drapaty będzie prawdopodobnie dążył do przeniesienia części decyzji na niższy szczebel dowodzenia, co ma lepiej wykorzystać przewagę Ukrainy w nowej technologii wojowania. Objął armię w momencie, gdy wojna coraz wyraźniej wykracza poza tradycyjne linie frontu. Rosja nasila ataki balistyczne, wykorzystując deficyty ukraińskiej obrony przeciwrakietowej. Ukraina odpowiada za to coraz głębszymi uderzeniami na rosyjskie zaplecze logistyczne i gospodarcze, czego dobitnym przykładem są płonące syberyjskie rafinerie i zniszczenie kilkunastu magazynów firmy Wildberries. Obie strony próbują w ten sposób zwiększyć koszty konfliktu i ograniczyć zdolności przeciwnika do prowadzenia wojny. Bez gwarancji, że któraś ze stron osiągnie rychło punkt wyczerpania.

Drapaty przejmuje więc nie tylko odpowiedzialność za utrzymanie strategicznej obrony, lecz także za armię, która musi przystosować się do wojny prowadzonej jednocześnie i na froncie, i przeciwko zapleczu przeciwnika. Czasu oczywiście nie ma, a na przejęcie wszystkich kompetencji, dokonanie zmian personalnych i wdrożenie własnego podejścia potrzebuje co najmniej trzech miesięcy. Oznacza to, że kampanię jesienno-zimową armia rozpocznie w znacznej mierze w ramach odziedziczonych po poprzednim kierownictwie.

Ukrainę czeka prawdopodobnie najtrudniejszy okres od początku wojny – z nasilającymi się rosyjskimi uderzeniami rakietowo-dronowymi i utrzymującymi się próbami przełamania frontu. 12 lat po kotle izwaryńskim Ukraina ponownie pokłada nadzieję w tym samym dowódcy, choć tym razem stawką nie jest batalion, ale cała armia i cały kraj.

Autor jest analitykiem ds. bezpieczeństwa i spraw wschodnich w Polityce Insight.

eprasa.pl a53f7da89d



Obyś robota uczył

Dlaczego AI potrafi napisać poemat, ale gorzej sobie radzi ze złożeniem koszulki? Odpowiada dr Kamil Dreczkowski, robotyk.

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Mózgi zwierząt zaskakują badaczy tym, że niezwykle szybko opanowują nowe umiejętności.**

KAMIL DRECZKOWSKI: – Tak. Naczelne, do których się zaliczamy, potrafią nauczyć się manipulować obiektami po obejrzeniu tylko kilku demonstracji. A gryzoniom wystarczy mniej niż dziesięć pokazów, aby w pełni przyswoić sobie nowe zachowania czy np. zdolności nawigacyjne w terenie.

Roboty są gorsze?

Wymagają setek demonstracji, by poprawnie wykonać tylko jedno zadanie. A może nim być coś tak prostego jak podniesienie kubka za rączkę i postawienie go na talerzu, wrzucenie monety do skarbonki czy otwarcie drzwi piekarnika. Gdy zaś pojawiają się zadania wymagające koordynacji dwóch ramion i pracy z przedmiotami miękkimi, np. tkaniną, robi się naprawdę bardzo trudno. Do złożenia koszulki potrzeba ok. 8 tys. pokazów. Zbieranie danych to tygodnie pracy zespołów inżynierów, a nierzadko też ludzi zatrudnionych po to, by demonstrowali robotom czynności.



Dr **Kamil Dreczkowski** urodził się w Polsce, ale od ósmego roku życia mieszka w Anglii. Licencjat uzyskał z fizyki, magisterium z uczenia maszynowego, a doktorat z robotyki w Robot Learning Lab w Imperial College London. Pracował również przy projekcie finansowanym przez amerykańską agencję wojskową DARPA – roboty uczyły się rozpoznawać, kiedy sytuacja wymyka się spod kontroli, i komunikować to operatorowi. Obecnie współtworzy start-up związany z robotyką.

Dlaczego maszynom idzie to tak opornie?

Problem nie polega na tym, że sterujące nimi algorytmy są „głupie". Z jednego przykładu robot ma wywnioskować, jaka jest geometria przedmiotu, gdzie on leży w przestrzeni względem jego ramienia i jakiego wymaga ruchu, a na dodatek musi powiązać wszystko z poleceniem językowym typu „podnieś kubek". To kilka poważnych kwestii naraz.

Do tego dochodzi zmienność. Kubek może stać np. w dowolnym miejscu dużego blatu i być obrócony. Jeden też drugiemu nierówny. Człowiek odnosi to wszystko do wiedzy, którą gromadzi od dziecka – sieć neuronowa nie ma nic. Więc kiedy przykładów jest mało, model AI nie wychwytuje żadnej ogólnej prawidłowości. Zamiast tego zapamiętuje ograniczoną liczbę pokazów, ucząc się ich na pamięć, i przestaje poprawnie działać, gdy sytuacja odbiegnie od zapamiętanej. Jak uczeń, który wykuł trzy zadania z podręcznika matematyki, ale nie zrozumiał metody – na sprawdzianie polegnie.

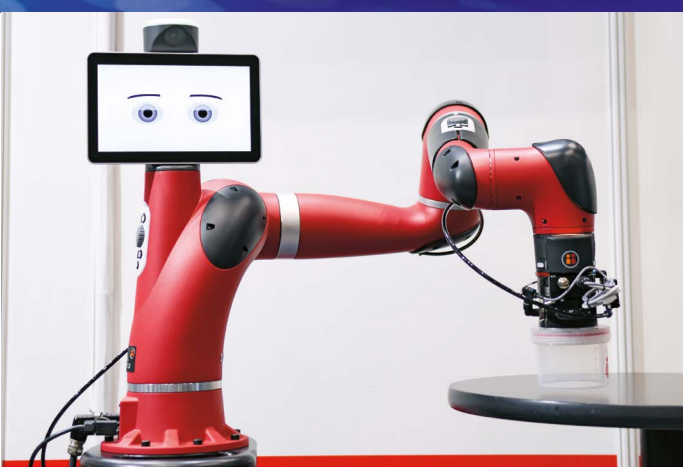
Pod koniec 2025 r. w „Science Robotics" ukazała się praca, której jest pan pierwszym autorem. Prezentuje nową metodę uczenia pozwalającą opanować maszynom tysiąc różnorodnych czynności w ciągu kilkunastu godzin.

© CHARLIE PEREZ/NURPHOTO/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, NORIKO HAYASHI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl a53f7da89d



Humanoid chińskiej firmy Honor. Za każdym tanecznym krokiem kryją się miesiące pracy i obliczeń. Poniżej: robot Sawyer, trenowany przez dr. Kamila Dreczkowskiego, w 17 godzin opanował około tysiąca czynności. Jego słabą stroną są... tkaniny.



Opiera się na dwóch pomysłach. Pierwszy to „dekompozycja czynności". Zamiast uczyć robota całej trajektorii ruchu jako jednej ciągłej sekwencji, dzielimy ją na dwie fazy: pozycjonowania, gdy maszyna ustawia się blisko obiektu docelowego, oraz interakcji, czyli samej manipulacji przedmiotem, np. otwarcia butelki czy wsypania czegoś do miski. Rządzą się one różnymi prawami.

Drugi pomysł to rezygnacja z klasycznego trenowania modelu na rzecz mechanizmu wyszukiwania. Zamiast zapamiętywać setki powtórzeń jednej czynności, robot ma w pamięci całą bibliotekę demonstracji. Kiedy np. dostaje polecenie „otwórz butelkę", to najpierw wybiera wszystkie pokazy pasujące do tej umiejętności. Później analizuje geometrię obiektu za pomocą kamery i szuka demonstracji, w której przedmiot jest najbardziej podobny pod względem kształtu i ustawienia. Wreszcie odtwarza trajektorię ruchu dopasowaną do bieżącej sytuacji.

Trochę to skomplikowane.

Najprościej można to ująć tak: robot powtarza ruch, który mu pokazaliśmy, ale dopasowuje go do miejsca, w którym rzeczywiście w danym momencie znajduje się przedmiot.

Co daje ta metoda?

W ciągu 17 godzin nauczyliśmy robota Sawyera wykonywania tysiąca różnych codziennych czynności, takich jak składanie ubrań, otwieranie drzwi czy wrzucanie monety do skarbonki. Wykorzystaliśmy do tego 402 rozmaite obiekty.

Czy to zapowiedź przełomu w robotyce?

Wolę być tu ostrożny. Głównym celem publikacji nie było stworzenie jakiegoś spektakularnie działającego systemu ani wprowadzenie rewolucyjnego rozwiązania. Chodziło o coś bardziej fundamentalnego – przetestowanie dwóch filozofii uczenia robotów. Stosując pierwszą, nazwijmy ją strukturalną, z góry podpowiadamy robotowi, jak ma myśleć o zadaniu. Uczymy go np.: „Każda czynność ma dwa etapy: najpierw zbliż się do przedmiotu, później nim manipuluj". Wbudowujemy pewne reguły, których robot się trzyma.

W drugiej – end-to-end, czyli „od początku do końca" – nie narzucamy żadnej struktury. Pokazujemy robotowi nawet dziesiątki tysięcy przykładów i pozwalamy sztucznej sieci neuronowej samodzielnie znaleźć w nich prawidłowości. Model uczy się wówczas wszystkiego naraz: jak rozpoznawać obiekty, jak planować ruch, jak reagować.

Nasze pytanie badawcze brzmiało: czy podejście z narzuconą strukturą, pozornie mniej elastyczne, może mimo wszystko dorównać temu drugiemu, a przy okazji uczyć się z ułamka danych? Okazało się, że tak.

I co z tego praktycznie wynika?

Po pierwsze, zmieniają się koszty uczenia robota. Dzisiejsze główne metody wymagają wielotygodniowej pracy zespołów zbierających dane, a same modele AI – będące „mózgiem" robota – trenuje się na serwerach, których wynajem, i to w najbardziej oszczędnym wariancie, kosztuje kilkadziesiąt tysięcy złotych tygodniowo. A rzadko wystarcza jeden i tylko siedem dni pracy. Dzięki naszej metodzie po jednej demonstracji robot wykonuje zadanie.

Po drugie, potencjalnie otwiera to drogę do budowy maszyn, które użytkownik sam może czegoś nauczyć. Proszę sobie wyobrazić, że kupuje pan robota domowego. Inżynier w fabryce nie przewidzi, jakie ma pan w domu przedmioty, a mogą być też nietypowe. Dlatego najlepsze rozwiązanie to takie, gdy robot potrafi szybko przyswoić nową czynność bez konieczności odsyłania go do producenta na kolejny cykl treningu.

To nie zastąpi jednak metod wykorzystujących pokaźne zbiory danych, tylko je uzupełni. Duże modele end-to-end dają bowiem szeroki repertuar zachowań. Nasza metoda pozwala rozszerzać je punktowo i szybko. Prawdziwy postęp w robotyce zobaczymy dopiero wtedy, kiedy nauczymy się łączyć obie te filozofie w jednym systemie.

Oglądając w internecie pokazy robotów, np. firmy Boston Dynamics czy chińskich odpowiedników, można odnieść wrażenie, że rewolucja już się dokonała.

Rzeczywiście, mamy do czynienia z ogromnym postępem. Jeszcze dekadę temu większość eksperymentów w robotyce odbywała się wirtualnie, co można porównać do gry komputerowej. Powód był praktyczny. Prawdziwe eksperymenty są kosztowne, powolne, a roboty podatne na awarie. W symulacji algorytm może próbować wykonać ten sam ruch tysiące razy w ciągu godziny, bez ryzyka, że coś się fizycznie zepsuje. Można też prowadzić eksperymenty równolegle na wielu komputerach. Dlatego przez lata symulacja była naturalnym środowiskiem w robotyce. A jeśli już konstruowano maszyny, to ich działania ograniczano ▶

eprasa.pl a53f7da89d

▶ do prostych zadań typu „weź i połóż". To, że dziś widzimy roboty tańczące, wykonujące salta, grające w piłkę nożną czy ping-ponga oraz ogólnie sprawnie poruszające się, jest wynikiem realnego postępu inżynieryjnego.

Nie są to wyselekcjonowane ujęcia, które robią wrażenie, bo nie widać tego, co się nie udało?

Oczywiście warto zachować odpowiednią perspektywę. Inżynierowie z Boston Dynamics przez lata tworzyli dokładne modele matematyczne mechaniki robotów: korpusu, kończyn, wagi, momentów bezwładności. I kiedy maszyna ma wykonać np. salto, komputer w czasie rzeczywistym rozwiązuje równania: gdzie musi być kolano, jaką siłę wygenerować, jak przenieść ciężar. To bardziej przypomina precyzyjny rachunek inżyniera lotniczego niż uczenie się dziecka. Zaletą jest stabilność – system zachowuje się przewidywalnie, bo nie zgaduje, tylko liczy. Wadą jest to, że każda nowa czynność wymaga zaprogramowania od nowa. Trudno tą drogą dojść do robota, który sam poradziłby sobie z np. przestawieniem nietypowego, ręcznie wykonanego wazonu w czyimś salonie. Dlatego branża przesuwa się w stronę uczenia maszynowego, czyli algorytmów AI, dzięki którym komputery same uczą się z danych, zamiast wykonywać tylko sztywne reguły. Płacimy jednak za tę elastyczność utratą części wspomnianej pewności.

W jakim zatem stopniu te internetowe filmiki są prawdziwe?

One nie są fałszywe, bo robot naprawdę wykonywał salta czy świetnie tańczył. Tylko nie wiadomo, ile prób poprzedziło jedno udane ujęcie, ilu inżynierów za tym stało, ile miesięcy pracy w to włożono. Kiedy zabrałem Sawyera do domu, żeby nagrać kilka klipów, stałem przy nim trzy, cztery godziny, żeby wyszedł jeden przyzwoity. Wyobraźmy sobie robota, który jedną prostą czynność wykonuje poprawnie w 90 proc. przypadków. Problem pojawia się wtedy, gdy chcemy, by wykonał kilka takich czynności jedna po drugiej, jak w prawdziwym zadaniu domowym: otwórz szafkę, wyjmij kubek, postaw na blacie, nalej wody. Prawdopodobieństwa się tu mnożą, bo przy dwóch czynnościach z rzędu mamy już tylko 81 proc. skuteczności. Przy siedmiu – poniżej połowy. Robot, który wygląda na niemal niezawodnego, w praktyce częściej zawiedzie, niż wykona całe złożone zadanie do końca.

Ile w takim razie jest szumu, a ile prawdy wokół rozwoju inteligentnych robotów? Wiosną Melania Trump pojawiła się w Białym Domu w towarzystwie robota Figure 3, który ma być wykorzystywany w edukacji.

Obejrzałem kilka krótkich fragmentów i zobaczyłem tylko tyle: robot wyszedł na scenę, pomachał, przywitał się bodaj w 14 językach i poszedł. Nie wiem nawet, czy został wyposażony w sztuczną inteligencję i czy działał autonomicznie. Na konferencjach naukowych roboty chodzące w ten sposób widuje się rutynowo. Nie chcę przy tym podważać roli AI w edukacji, bo już jest dość istotna. Tylko nie widzę powodu, dla którego miałaby mieć postać robota. Zwykła aplikacja prawdopodobnie wykona pracę lepiej i taniej. A co do szumu, to na pewno jest. Mamy dziś chyba ponad 200 start-upów w robotyce, które starają się o duże pieniądze, mają na karku inwestorów z oczekiwaniami i jeszcze walczą o dobre recenzje – dlatego potrzebują efektownego materiału wideo, ale też strony internetowej i np. bloga. Uwaga przesuwa się z badań na PR.

Żyjemy w epoce wielkich zmian wywołanych przez tzw. duże modele językowe (LLM). Czy wpłynęły również na robotykę?

Tak, i można to nazwać przełomem. Proszę sobie wyobrazić, że zatrudniamy pracownika, który o świecie nie wie nic – i uczymy go wszystkiego od podstaw. Albo kogoś oczytanego, znającego nazwy przedmiotów, rozumiejącego polecenia i wiedzącego, do czego służy np. młynek do kawy – takiej osobie wystarczy pokazać samą czynność. LLM to ten drugi przypadek. Potrafią m.in. powiązać piksele kubka na zdjęciu ze słowem „kubek". Dlatego w robotyce używamy ich jako tzw. modeli bazowych: to fundament wiedzy o świecie, na którym można dalej budować. Dokładamy do niego moduł odpowiadający za ruch i dotrenowujemy system na znacznie mniejszej porcji danych. Robot widzi pomieszczenie, rozumie polecenie i wykonuje ruch, bo interpretacji obrazu i języka nie musi się już uczyć od zera.

Jednak to, że model rozumie słowo „delikatnie" w sensie językowym, nie znaczy, że przełoży je na właściwą siłę uchwytu ramienia robota – tego w tekstach nie znajdzie. LLM były więc potężnym katalizatorem w robotyce, ale to dopiero punkt wyjścia. Potrzebujemy jeszcze danych opisujących manipulację przedmiotami oraz modeli zbudowanych od podstaw z myślą o działaniu w świecie fizycznym. A to niełatwe, czego przykładem może być ramię z dłonią, które układało kostkę Rubika – zaprezentowało je przed kilku laty OpenAI, twórca ChatGPT. Nauczenie tej czynności trwało ponad rok, a niedługo później firma zamknęła oddział robotyki.

Jaka jest więc szansa, że powstaną naprawdę autonomiczne roboty, np. pomagające ludziom w placówkach opieki?

Raczej nie za pięć ani nawet dziesięć lat. Czynności takie wiążą się z całym spektrum trudności. Przynieść coś to w gruncie rzeczy podnieść i położyć – bywa łatwe. Ale pomóc obolałej osobie wstać? Robot musi rozumieć, że kogoś coś boli, utrzymywać jego stabilność, reagować na bieżąco na każdy jego ruch. A od tego jesteśmy bardzo daleko. Z drugiej strony w branżę robotów inwestorzy wpompowali ostatnio ogromne pieniądze, więc być może jakimś start-upom uda się zrobić coś naprawdę przełomowego.

A co z bardziej specjalistycznymi zastosowaniami? Czy roboty będą w stanie np. wyręczać chirurgów?

W medycynie już dokonała się rewolucja, tyle że nie za sprawą maszyn autonomicznych. Mamy np. systemy, które podczas prześwietlenia obserwują oddech pacjenta i minimalnie korygują położenie aparatu, żeby zdjęcie wyszło ostrzejsze. Jest da Vinci – robot, którym chirurg steruje zdalnie, zyskując ogromną precyzję i eliminując drżenie ręki. Autonomia to jednak zupełnie inny poziom trudności. Wymaga niezawodnej precyzji, bezpieczeństwa oraz błyskawicznej adaptacji do nieprzewidywalnych sytuacji. Tu potrzeba ogromnej ilości danych, a tych jest w medycynie mało. Poza tym trzeba będzie zbudować zaufanie poparte tysiącami wykonanych zabiegów i rozstrzygnąć, kto odpowiada za potencjalny błąd maszyny: osoba nadzorująca, firma sprzedająca oprogramowanie czy inżynier? To już teren etyki i prawa.

Nie obawia się pan, że roboty znajdą zastosowania militarne?

Oczywiście, że się obawiam. Od dawna istnieją np. autonomiczne pociski rakietowe: wyznacza się im cel, a dalej działa system z wbudowaną kamerą, który sam koryguje swoją trajektorię. Czym to się różni od robota? Rozwój maszyn przeznaczonych dla wojska się nie zatrzyma. Zostaje nam to samo, co przy broni jądrowej: międzynarodowe regulacje i wiara w ludzką odpowiedzialność. Jak każda technologia, również robotyka przynosi rzeczy dobre i złe. Dlatego jako badacze musimy być transparentni. Potrzebujemy też międzynarodowego dialogu o granicach autonomii robotów, a także systemów regulacji tej branży. Innej drogi nie widzę.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

O wykorzystaniu AI w kinematografii s. 78.

eprasa.pl a53f7da89d



Wakacje na krecie

W jednym z odcinków serii autorzy dotarli do małego przydomowego ogródka w samym centrum Bristolu. Wystarczył za cały park narodowy...

O tych, co skaczą i fruwają tuż za naszymi oknami, opowiada Bill Markham, producent przyrodniczego hitu BBC „Sekretne życie ogrodu". A przy okazji zdradza, czego zazdrości Polakom.

JOLANTA IWAŃCZUK: **– Nie bał się pan, że kret w ogrodzie to za mało? Wielu widzów BBC wychowało się na filmach Davida Attenborough, czyli np. na lwach na sawannie.**

BILL MARKHAM: – Byłem onieśmielony, kiedy zaczynałem produkcję. Naszymi bohaterami miały być myszy, nornice i trzmiele, a jeśli będziemy mieli szczęście – kaczki i sowy. Ludzie dorastali w kulturze dramatycznych i spektakularnych programów przyrodniczych – kluczem okazały się bliskość opowiadanych historii i ich przystępność. Zwierzęta, które pokazaliśmy, są niby znajome, ale większość z nas nie wie o nich prawie nic. Jak radzą sobie, żyjąc obok nas? Jakie mają strategie przetrwania w środowisku stworzonym przez człowieka? To okazało się jednak fascynujące.

Pomysł na serię narodził się podczas pandemii. Co konkretnie w tamtym doświadczeniu sprawiło, że uznał pan, iż warto poświęcić temu przedsięwzięciu trzy lata?

Podczas lockdownu mnóstwo ludzi zwróciło baczniejszą uwagę ▶

© BBC

eprasa.pl a53f7da89d

▶ na swoje ogrody i zaczęło się interesować tym, co właściwie w nich rośnie i kto w nich żyje.

Tych lokatorów jest zaskakująco dużo.

Tak. W zupełnie zwyczajnym ogrodzie w Leicester przyrodniczka Jennifer Owen w ciągu 30 lat udokumentowała 2673 gatunki roślin, zwierząt i grzybów.

Kogo wy uchwyciliście?

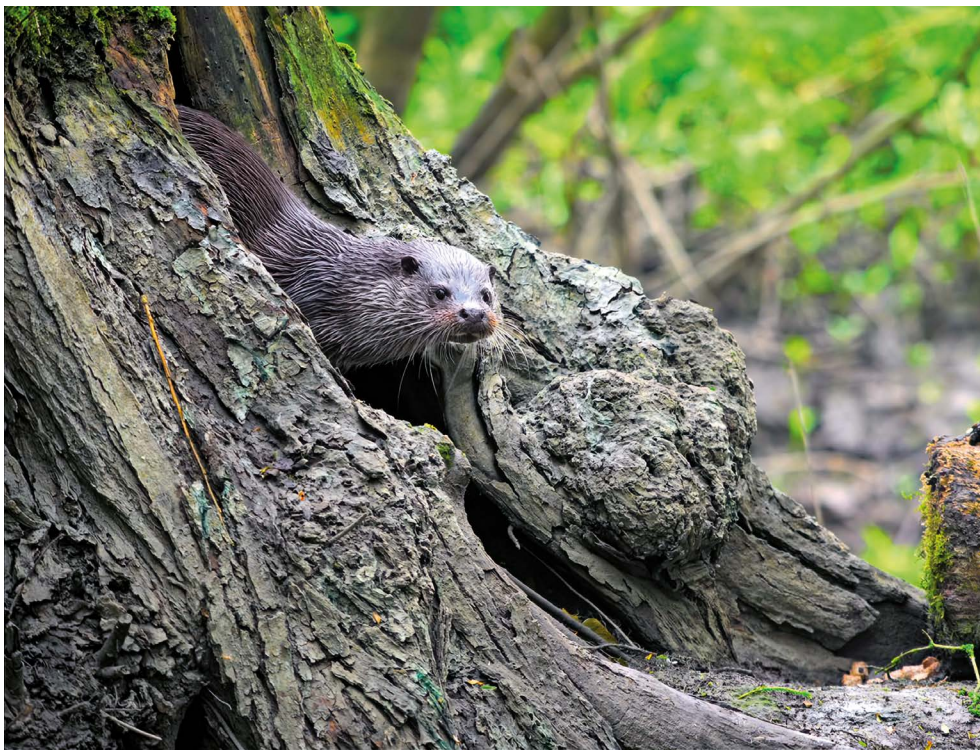
Każdy odcinek rozgrywa się w innym ogrodzie, w innej części Wielkiej Brytanii. Swoją drogą jest ich w kraju 26 mln. Każdy odcinek ma bohaterów A, którzy na ekranie pojawiają się wielokrotnie: lisy w Bristolu czy kuny leśne i płomykówki w Szkocji. Są też bohaterowie B, których widać raz lub dwa – mniejsze ptaki, gady czy płazy – oraz C, czyli np. pajęczaki i owady, które robią coś niezwykłego, jak pszczoła. Mieliśmy więc ogromny wybór historii do opowiedzenia.

Jedna ze scen – jętki i ważki w ogrodzie nad rzeką w Oxfordshire – była porównywana do słynnej sekwencji „iguana kontra wąż" z innej produkcji BBC – „Planeta Ziemia II". Jak budować fabułę wokół owada, który żyje zaledwie dobę?

Jętki spędzają dużą część życia ukryte na dnie rzek, gdzie żywią się glonami. Kiedy jednak pojawiają się odpowiednie warunki – właściwa temperatura wody i ilość światła – wszystkie otrzymują sygnał, by wydostać się na powierzchnię. Sam widok jętek latających w słońcu nad angielską wsią jest spektaklem. A tam, gdzie pojawia się taki nadmiar życia, natychmiast pojawiają się także drapieżniki. Każda jętka czekała na tę chwilę być może dwa lata i ma 24 godziny, żeby znaleźć partnera i się rozmnożyć. Są jednak ptaki, które muszą nakarmić pisklaki, i ważki, dla których może to być najważniejszy posiłek w życiu. Stawka jest bardzo wysoka, a cała scena jest piękna i ekscytująca.

W odcinku z Bristolu występuje czarny charakter – kot Mr. Fluffy, który poluje na młode sikorki modre. Koty w Wielkiej Brytanii zabijają ok. 55 mln, a w Polsce te żyjące przy gospodarstwach rolnych – ok. 140 mln ptaków rocznie. Chcieliście zwrócić szczególną uwagę na ten problem?

Na pewno nie chcieliśmy demonizować kotów. Wielu ludzi je kocha, są ważnymi towarzyszami człowieka. Kłopot w tym, że jest ich tak dużo. Przed lockdownem ich liczbę w Wielkiej Brytanii szacowano na 9,5 mln, a teraz jest ich prawdopodobnie



12 mln. A 55 mln ptaków to tylko część strat – giną też ssaki, gady, płazy i owady. W Australii w niektórych regionach wprowadzono surowe ograniczenia dotyczące wypuszczania kotów domowych, zdecydowano się nawet na odstrzał tych dzikich, bo zabijały rodzime zwierzęta w ogromnych ilościach – są drapieżnikami i tego się nie zmieni.

U nas nie ma podobnych regulacji, a Brytyjczycy zimą dokarmiają dzikie koty, więc ich liczebność nie podlega naturalnej regulacji. Utrzymujemy ich populację na sztucznie zawyżonym poziomie, podczas gdy dzikiej przyrody ubywa. W ogrodzie w Bristolu kamery zarejestrowały ok. 12 różnych kotów, mimo że właścicielka domu nie ma żadnego. Przedstawiliśmy fakty: koty mają wpływ na rodzimą przyrodę. Można jednak coś z tym zrobić, choćby zakładając kotu dzwonek albo trzymając go w domu w maju, gdy młode ptaki wychodzą z gniazd.

W finale nakręciliście kunę leśną polującą na brzegówki – po raz pierwszy w historii brytyjskiej telewizji. Jak to się udało?

Kuny leśne były dla nas bardzo ważnym gatunkiem. Dla wielu ludzi są ucieleśnieniem dzikości. Były niemal doszczętnie wytępione, są reintrodukowane. Ogród w Szkocji znajduje się w rejonie, gdzie jest ich dużo. Mężczyzna, który tam mieszka od 30 lat, wystawia im jedzenie co wieczór. „Podejrzewam, że kuny polują na brzegówki na końcu ogrodu, ale sam nigdy tego nie widziałem" – powiedział. Mogliśmy to sprawdzić jedynie za pomocą kamer działających zdalnie. Potrzebowaliśmy wielu nocy i wielu prób, ale w końcu się udało. Co ciekawe, kuna pojawiła się też w naszym walijskim ogrodzie, czego w ogóle się nie spodziewaliśmy.

W ciągu ostatnich 20 lat zniknęło z Wielkiej Brytanii 60 proc. owadów latających, a tendencje na świecie również są spadkowe. W odcinku z Lake District pokazaliście, jaki to ma wpływ na pisklęta jaskółek.

Kryzys owadów jest straszny, bo wiele zwierząt i roślin zależy od ich różnorodności i liczebności. Rok, w którym kręciliśmy zdjęcia w Lake District, był wyjątkowo mokry. Jaskółki, żeby wykarmić swoje młode, muszą złapać tysiące owadów, a przez deszcze te, które jeszcze zostały, po prostu się chowały, więc młode głodowały. Podobną historię zarejestrowaliśmy w Bristolu. Chodziło o sikorki modre, które potrzebują ogromnej liczby gąsienic. Problem polega na tym, że w ogrodach często sadzimy kwiaty, które są piękne i dobre dla zapylaczy, ale nie dla gąsienic. One potrzebują innej roślinności. Lubią np. dęby. Oczywiście tak wielkie drzewa nie nadają się do małych

© BBC (2), LINKEDIN

eprasa.pl a53f7da89d



Do ogrodów zakradają się drapieżniki. Może to być pająk albo wydra znad Tamizy (na stronie obok).

ogrodów. W naszych maleńkich oazach zieleni sprawdzą się jednak głogi i tarniny. Wielkie dęby mogą natomiast rosnąć w parkach.

Żeby zajrzeć do wnętrza gniazda trzmieli, zbudowaliście replikę z okienkiem do obserwacji. Przekroczyliście jednak granicę między obserwacją a ingerencją w naturę.

Niestety, niektórych rzeczy nie da się nakręcić bez zakłócania spokoju zwierząt. Pracowaliśmy z entomolożką, która przyniosła kolonię trzmieli ziemnych. Owszem, umieściliśmy ją w ogrodzie w „domku" ze szklaną ścianką, ale kamera znajdowała się po jednej jej stronie, a trzmiele po drugiej, żeby im nie przeszkadzać. Inaczej nie udałoby się zobaczyć zachowania tych owadów, można byłoby je co najwyżej rozdrażnić. Ludzie kochają trzmiele i chcą wiedzieć, co dzieje się pod ziemią – musieliśmy więc znaleźć sposób, żeby to pokazać, nie robiąc im krzywdy.

Populacja jeży w Wielkiej Brytanii spadła z ponad 50 mln do mniej niż miliona. W serialu pokazujecie „autostrady dla jeży" – przejścia między ogrodami. Czy to naprawdę może odwrócić niebezpieczną tendencję?

Jeże muszą przemierzyć ok. 1,5 km każdej nocy, żeby znaleźć wystarczającą ilość jedzenia, a jeszcze więcej, żeby znaleźć partnera. Większość ogrodów jest dużo mniejsza, więc jeśli na ich drodze stoi solidny płot, nie mogą się przemieszczać. Głodują więc i nie mogą się rozmnażać. Koncepcja „autostrad" polega na zrobieniu w ogrodzeniu na poziomie gruntu otworu o średnicy ok. 30 cm – dostatecznie dużego dla jeży, ale zbyt małego dla kotów. Jeśli cała społeczność zrobi takie przejścia, powstanie sieć, która połączy ogrody. W jednym z naszych przez 20 lat nie było żadnych jeży. W płotach kilkunastu domów zbudowano przejścia – i w ciągu roku pojawił się jeden, a teraz są dwa i jest nadzieja na młode. Ludzie piszą do nas: „Dzięki wam teraz budujemy autostradę dla jeży". To najlepsze, co się mogło wydarzyć.



Bill Markham pracuje w bristolskiej wytwórni Plimsoll Studios. Specjalizuje się w programach przyrodniczych. Jest producentem serialu „Sekretne życie ogrodu" emitowanego na antenie BBC Earth.

Co konkretnie może zrobić człowiek, żeby jego kawałek ziemi naprawdę ożył?

Po pierwsze – dodać wodę. Oczko wodne albo nawet mała miska natychmiast przyciągną ptaki, ssaki, płazy i owady. Taki zbiornik może się stać pięknym centralnym punktem ogrodu. Po drugie – nie używać pestycydów. Nie ma takiej potrzeby. Trzeba się pogodzić z tym, że część roślin zostanie zjedzona – jeśli stosuje się trucizny, zabija się nie tylko docelowy gatunek, lecz także jeże i inne owadożerne zwierzęta. Po trzecie – posadzić drzewo, najlepiej rodzime. I jeszcze pomyśleć o żywopłocie zamiast ogrodzenia, żeby zwierzęta mogły się przemieszczać, gniazdować i żerować. Zastanówmy się, czy naprawdę najpotrzebniejszy w ogrodzie jest wielki trawnik. Może warto postawić na łąkę?

Naprawdę nie trzeba robić wiele, a już na pewno nie trzeba robić wszystkiego samemu. Jeden sąsiad może mieć oczko wodne, inny łąkę, kolejny drzewo, a następny kompostownik. Tak stworzy się sieć, dzięki której przyroda zyska.

Pan ma ogród, a w nim…

Przyznaję się: mam trawnik, bo mój syn ma jedenaście lat, gra w piłkę i byłby wściekły, gdyby go nie było. Przeprowadzałem się podczas kręcenia serialu. Pierwsze, co zrobiłem, to oczko wodne. Posadziłem dąb – jest jeszcze mały, ale nawet jeśli za bardzo urośnie, mogę go za dziesięć lat przyciąć, a przez ten czas będą z niego korzystać zwierzęta. Mam traszki, żaby i gniazdujące sikorki modre.

Polscy widzowie oglądają serial w środku lata, gdy ich własne ogrody tętnią życiem. Chciałby pan im coś przekazać?

Tak: zazdroszczę wam. Wasz kraj jest znacznie bardziej bioróżnorodny niż Wielka Brytania. Sam dorastałem w Rumunii i mieliśmy w ogrodzie węże, żółwie i rzekotki – ich w Anglii po prostu nie ma. A gdybym miał do czegoś Polaków zachęcić, powiedziałbym: wychodźcie po zmroku. Ja biorę latarkę i robię obchód terenu. Widzę owady na liściach, zaglądam do oczka wodnego i dostrzegam traszki, których nie sposób zobaczyć w ciągu dnia. W każdym ogrodzie jest cały sekretny świat.

ROZMAWIAŁA JOLANTA IWAŃCZUK

eprasa.pl a53f7da89d

Kombinacja alpejska



Hannibal przekracza Alpy, obraz Bénédicta Massona z 1881 r.

Od ponad 2 tys. lat historycy próbują ustalić, którędy armia Hannibala przeszła przez Alpy. Do śledztwa dołączyli geolodzy, mikrobiolodzy, a w tym roku – specjaliści od bioenergetyki. Co dało to połączenie naukowych sił?

ANDRZEJ HOŁDYS

To był szalony pomysł. Poprowadzić kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonych ludzi, tysiące koni i mułów oraz 37 słoni bojowych ścieżkami wijącymi się między szczytami i przepaściami. Zadanie było tym bardziej karkołomne, że Hannibal i jego armia znajdowali się w drodze już od wielu miesięcy. Wiosną 218 r. p.n.e. wyruszyli z południowej Hiszpanii. Pokonali Pireneje, przekroczyli Rodan i wkroczyli do Galii. Przed nimi pozostawała ostatnia wielka przeszkoda – Alpy. Gdy po 15 dniach dramatycznej przeprawy zeszli do doliny Padu, Rzymianie zrozumieli, że wojna przybrała nieprzewidziany obrót. Kilka tygodni później Hannibal rozgromił ich nad Trebią. Później przyszły zwycięstwa nad Jeziorem Trazymeńskim i pod Kannami. Nigdy wcześniej republika nie znalazła się tak blisko katastrofy.

Hannibal fascynował największych wodzów Europy. Podziwiali go Pompejusz i Juliusz Cezar, którzy sami wielokrotnie prowadzili legiony przez Alpy. Jego wyczyn studiowali Konstantyn Wielki i Fryderyk Barbarossa. Nie krył zachwytu Napoleon Bonaparte. Kiedy w maju 1800 r. przeprawiał armię przez Wielką Przełęcz Świętego Bernarda, aby zaskoczyć Austriaków w północnych Włoszech, był przekonany, że powtarza jeden z najśmielszych manewrów militarnych starożytności, choć uważał, że Hannibal wybrał położoną bardziej na południe przełęcz Mont Cenis. Paradoks polega na tym, że choć marsz Hannibala należy do najlepiej znanych epizodów drugiej wojny punickiej, jego najważniejszy fragment pozostaje zagadką. Nie wiadomo bowiem, którą przełęczą Kartagińczycy przedostali się do Italii.

Najwięcej informacji zachowało się w dziele Polibiusza, cenionego za wyjątkową rzetelność greckiego historyka z II w. p.n.e. Twierdził on, że odtworzył przebieg wyprawy na podstawie relacji jej uczestnika. Rzymski historyk Tytus Liwiusz pisał o tych wydarzeniach półtora wieku później, ale jego tekst jest znacznie mniej precyzyjny. Nawet zestawione razem oba przekazy nie pozwalają jednak wskazać jednej przełęczy. Jak do tej pory nie pomogła też archeologia. Mimo wielu lat poszukiwań w Alpach nie odnaleziono żadnego artefaktu, który pozwoliłby zakończyć spór.

Przez długi czas tropili Hannibala głównie historycy, porównując zdanie po zdaniu relacje kronikarzy. Dwie dekady temu dołączyli do nich geolodzy i geomorfolodzy. W ostatnich latach pojawili się nawet mikrobiolodzy analizujący osady sprzed ponad 2 tys. lat, a teraz do tego niezwykłego grona dołączyli naukowcy, których mało kto spodziewałby się spotkać na tropie kartagińskiego wodza. Zajmują się tym, ile energii potrzebują ludzie, konie i słonie podczas marszu.

Według Polibiusza Hannibal porzucił najdogodniejszą drogę wzdłuż Morza Śródziemnego i po przeprawie przez Rodan pomaszerował w górę rzeki, docierając po czterech dniach w okolice dzisiejszej miejscowości Livron-sur-Drôme. Dopiero stamtąd skierował się ku Alpom. Była już połowa października. Dziewięć dni później dotarł do przełęczy, a po kolejnych sześciu dniach był już w dolinie

© OBRAZY SZTUKI PIĘKNEJ/OBRAZY DZIEDZICTWA/GETTY IMAGES

eprasa.pl a53f7da89d

Padu. Spieszył się. Chciał pokonać barierę górską, zanim Rzymianie zorientują się w jego zamiarach. Polibiusz pisze, że gdy Kartagińczycy dotarli na przełęcz, leżała tam gruba warstwa śniegu. Twierdzi też, że po drugiej stronie znajdowało się rozległe miejsce pozwalające rozbić obóz dla całej armii. I że właśnie tam Hannibal zgromadził wyczerpanych żołnierzy i – wskazując w dole równinę Padu – próbował ich przekonać, że największe trudności mają za sobą.

Te detale stały się dla współczesnych badaczy bezcennymi wskazówkami. Dwa szczegóły – rozległa równina poniżej głównej grani i wspaniały widok na dolinę Padu – wykluczyły wiele alpejskich przejść. Odpadały też wszystkie położone niżej, na wysokości mniejszej niż 2400–2500 m n.p.m., bo na nich w czasach Hannibala nie byłoby jeszcze śniegu pod koniec października. Badaczom pozostały dwie przełęcze: Col du Clapier (2491 m n.p.m.) i położona bardziej na południe Col de la Traversette (2947 m n.p.m.).

Niżej położona przełęcz Col du Clapier wydawała się rozsądniejszym wyborem dla dowódcy prowadzącego wielką armię. Innego zdania byli jednak dwie dekady temu geolog William Mahaney i geomorfolog Pierre Tricart. Opowiedzieli się za Traversette, wykazując, że o wiele lepiej pasuje do opisów Polibiusza. Relacjonował on bowiem m.in., że w drodze na przełęcz armia Hannibala wpadła w zasadzkę zastawioną przez górali w wielkim kanionie, a podczas drogi w dół żołnierze tonęli w świeżym śniegu, pod którym krył się lód, aż w końcu drogę zagrodziło im wielkie głazowisko. Dowódca nakazał wówczas zbudowanie ścieżki przez skały, po której mogłyby przejść także słonie. Mahaney i Tricart dowodzili, że jedynie droga na Traversette prowadzi przez głęboki kanion, a poniżej przełęczy zidentyfikowali głazowisko.

Zwolennicy Col du Clapier zwracają jednak uwagę, że prowadzi tam naturalny szlak biegnący doliną rzeki Isère. Za czasów Hannibala tereny te zamieszkiwało galijskie plemię Allobrogów, o którym wspomina Polibiusz. Zdaniem tych badaczy trudno znaleźć powód, dla którego wódz miałby wybrać trudniej dostępną i znacznie wyżej położoną Traversette. Mimo to Mahaney i Tricart upierają się przy swoim. Zaproszeni przez nich do współpracy mikrobiolodzy pobrali próbki osadów spod przełęczy. I odkryli w nich niezwykle wysokie stężenie bakterii charakterystycznych dla odchodów koni i mułów. Krytycy zwracali jednak uwagę, że podobne ślady mogły pozostawić późniejsze armie lub wielowiekowy wypas.

Najnowszy rozdział tej historii napisali badacze z University of Oxford i Friedrich-Schiller-Universität Jena w artykule opublikowanym w lipcu w „Proceedings of the National Academy of Sciences". Emilio Berti i Fritz Vollrath nie próbowali odczytywać na nowo kronik Polibiusza ani szukać kolejnych śladów w alpejskich dolinach. Założyli, że Hannibal był przede wszystkim doświadczonym dowódcą i musiał doskonale wiedzieć, ile wysiłku kosztuje ludzi i zwierzęta marsz w trudnym terenie. Od powodzenia tej kalkulacji zależało przecież nie tylko przekroczenie Alp, ale też cała kampania przeciwko Rzymowi. Jeśli więc miał do wyboru kilka przełęczy prowadzących do Italii, najrozsądniej było wybrać tę, której pokonanie pochłonie najmniej sił.

Do rozwiązania problemu badacze wykorzystali narzędzia, jakich starożytni kronikarze z pewnością nie znali. Najpierw odtworzyli cztery najbardziej prawdopodobne trasy przeprawy przez Alpy. Następnie, korzystając z cyfrowych modeli ukształtowania terenu, obliczyli długość podejść i zejść oraz nachylenie stoków. Kluczowe okazały się jednak dane biologiczne. Od wielu lat fizjolodzy badają bowiem, ile energii zużywają słonie afrykańskie podczas poruszania się po terenie o różnym stopniu nachylenia. Podobne modele istnieją dla ludzi i koni. Po połączeniu tych informacji można było oszacować, jaki koszt energetyczny poniosłaby cała armia Hannibala, wybierając każdą z rozważanych przełęczy.

Wynik zaskoczył autorów badań. Spośród czterech analizowanych tras najmniej energii wymagało przejście przez Col de la Traversette. Pokonanie tej przełęczy kosztowałoby całą armię ok. 5,4 teradżula energii. Trasa przez Montgenèvre okazała się o 11 proc. bardziej wymagająca, przez Col du Clapier – o 16 proc., a przez Mont Cenis – niemal o 20 proc. Na pierwszy rzut oka różnice nie wydają się wielkie. Dla dowódcy prowadzącego przez góry kilkadziesiąt tysięcy ludzi i tysiące zwierząt oznaczały jednak dziesiątki ton dodatkowej żywności i większe ryzyko, że armia dotrze do Italii zbyt wyczerpana, by stoczyć bitwę.

Najciekawsze wnioski dotyczą jednak słoni, które od dawna uchodziły za najsłabsze ogniwo całej wyprawy. Intuicja podpowiada, że to właśnie one powinny najbardziej cierpieć podczas marszu przez wysokie góry. Modele pokazują jednak coś innego. Owszem, dorosły słoń potrzebuje każdego dnia ogromnych ilości pożywienia – na wolności nawet ok. 200 kg roślin. W Alpach nie miał szans znaleźć go w wystarczającej ilości. Aby na bieżąco uzupełniać wydatek energetyczny, musiałby spędzać na żerowaniu dodatkowych pięć, sześć godzin dziennie, co podczas forsownego marszu było niewykonalne. Badacze przyjęli więc, że podobnie jak ludzie i konie zwierzęta wykorzystywały zgromadzone wcześniej zapasy tłuszczu.

I tu pojawia się największa niespodzianka. Z obliczeń wynika, że żołnierze mogli utracić podczas przeprawy 19 proc. rezerw energetycznych, konie – ok. 11 proc., a słonie – zaledwie ok. 4 proc. Paradoksalnie, mogły znieść alpejską wyprawę lepiej niż ludzie. Jeśli Hannibal zdążył poznać możliwości tych zwierząt podczas wielomiesięcznego marszu przez Hiszpanię i południową Galię, mógł dojść do wniosku, że jego słonie są znacznie twardsze, niż mogłoby się wydawać. I najprawdopodobniej miał rację. Kilka tygodni później ok. 30 słoni wzięło udział w zwycięskiej bitwie nad Trebią, wywołując popłoch wśród rzymskich legionistów. Większość padła dopiero podczas wyjątkowo surowej zimy, jaka nadeszła po zakończeniu kampanii.

Czy to oznacza, że poznaliśmy miejsce alpejskiej przeprawy Hannibala? Autorzy są ostrożni. Ich obliczenia nie dowodzą, że kartagiński wódz przeszedł przez Col de la Traversette. Pokazują jedynie, że spośród wszystkich analizowanych przełęczy właśnie ta wymagała najmniejszego wysiłku od ludzi i zwierząt. Gdyby więc Hannibal kierował się rachunkiem strat i zysków, wybór wydaje się logiczny. Logika to jednak jeszcze nie dowód. Tego niepodważalnego wciąż brakuje: punickiej monety, fragmentu uzbrojenia, kości żołnierza (albo słonia). Dopóki coś takiego się nie znajdzie, alpejska przeprawa Hannibala pozostanie jedną z największych nierozwiązanych zagadek historii wojskowości. ■

eprasa.pl a53f7da89d

HISTORIA

Świat poniżej morza

Rozmowa z Tomaszem Słomczyńskim, autorem książki „Delta. Przez Żuławy”, o bogatych chłopach, kłopotliwych nacjonalizmach i ryzykownych skutkach przeceniania pojęcia honoru.







Od lewej: **prace melioracyjne na Żuławach, 1960 r., charakterystyczny żuławski dom podcieniowy, żołnierze pogłębiają rowy melioracyjne, 1957 r.**

MARTYNA BUNDA: **– Jeżdżąc po Żuławach, mówił pan sobie: wszystko jest inaczej, niż myślałem?**

TOMASZ SŁOMCZYŃSKI: – Zabawne, że największym zaskoczeniem były same Żuławy jako temat książki. Bo przecież miałem pisać o Dolnej Wiśle. Ale gdy znalazłem się w Białej Górze, stanąłem na skarpie, która wyznacza południową granicę Żuław, spojrzałem w dół, to zaparło mi dech. Nie sądziłem, że granica regionu może być tak namacalna.

Ale nie było to największe zaskoczenie. Bardzo lubię, gdy podróże w dane miejsce, rozmowy z ludźmi, czytanie dokumentów, doprowadzają mnie do momentu, w którym staje się oczywiste, że jakaś powielana od zawsze opowieść wymaga przeformułowania. Czytelnik też odkrywa, że to, co do tej pory wiedział, to nie była opowieść prawdziwa. A z Żuławami tak właśnie jest. Począwszy od tej słynnej przyrody.

„Pola, łąki, wielkie stada gęsi, nieskażona natura”…

Tak po wierzchu. Ale żeby zrozumieć Żuławy, ich historię, w tym historię społeczną, trzeba odrzucić opowieść o harmonii, a przyjąć narrację o ciągłej konfrontacji. Ten położony poniżej poziomu morza teren został wydarty naturze przemocą, opresyjnie. Od czasów krzyżackich, a może i wcześniej, piędź ziemi za piędzią, hektar po hektarze. W naturze były bagniska,

eprasa.pl a53f7da89d

mokradła, które dopiero zostały zamienione w pola. Ta ziemia musi być utrzymywana w stanie, który służy człowiekowi, obstawiona infrastrukturą, wałami, kanałami melioracyjnymi, przepompowniami, które są być albo nie być regionu i o które trzeba było przez wieki nieustannie dbać, pilnować ich, bo inaczej weszłaby woda i wszystko zniszczyła.

Owszem, na wytyczone na osuszonym bagnie pola uprawne przylatują tysiące gęsi, które kojarzą się z naturą, spokojem, równowagą. Tego ciągłego poczucia zagrożenia nie widać. Ale ono jest. Zagrożenia wodą jest od zawsze. Ale na to przez wieki nakładały się dodatkowe niebezpieczeństwa. Na przykład w latach 30. straszono Iwanem ze Wschodu, utratą niemieckości, bo do Rzeszy daleko. Los tej ziemi nigdy nie do końca pewny, a tożsamość – zbudowana na narodowym micie.

Bo chłop żuławski to nie jest to ten chłop, którego mamy przed oczami – z biedą, niepiśmiennością, brakiem szans i perspektyw.

Chłop żuławski był zamożny. W XVII, XVIII czy na początku XX w. miał 100, 200, 300 ha, więc dochody takiego gospodarza są porównywalne z majątkiem ziemianina w Galicji czy w Kongresówce. Ta ziemia wydarta naturze dawała dobre plony, mniej więcej dwa razy większe niż na sąsiednich Kaszubach. Więc chłop żuławski mieszka w domu podcieniowym, który przypomina pałacyk, a w zasadzie jest pałacykiem. Chłop żuławski wysyłał dzieci na studia i miał o sobie wysokie mniemanie. Znał swoją wartość, swoje obowiązki i prawa, i te prawa egzekwował.

Z bogactwem na Żuławach wiążą się zresztą anegdotyczne wręcz dokumenty historyczne. Otóż ci zamożni Żuławianie z punktu widzenia mieszczan z Gdańska ciągle byli chłopami, ale żyjącymi ponad stan. Jeździli karocami i mogli się ubierać u najdroższych krawców w Gdańsku. Można było pomylić ich ze szlachtą. Żeby jakoś przywołać chłopów do porządku, żeby nie burzyć świętej struktury społecznej, Rada Miasta Gdańska zaczęła uchwalać tzw. przepisy antyzbytkowe, czyli akty prawa miejscowego, które miały przyhamować aspiracje chłopów żuławskich. A w nich na przykład zapisy, że „chłop musi nosić bieliznę płócienną, szytą z płótna nie droższego, niż..." – i podane kwoty. Swoją drogą ciekawe, jak to sprawdzano. Kobiety nie mogły nosić pewnych typów biżuterii, stroje mogły być takie, a nie inne. Część tych przepisów dotyczyła wesel. Jedna z uchwał mówiła, że na weselu chłopskim może się bawić nie więcej niż 12 gości i zapisano szczegółowe wytyczne, ile takie wesele może trwać i ile można zjeść.

Chłopi nie stosowali się do tego prawa?

Nie, jeśli tylko było ich stać na płacenie kar, a często było. Zachowały się na przykład relacje z wesela, które urządził niejaki Michał Bewerstein. Zapisy, ile wołów zarżnięto, ile krów, co podano. Przez siedem dni bawiło się tam około tysiąca osób, a koszt wesela był porównywalny z kosztem goszczenia na Żuławach jednego z polskich królów. Organizator zapłacił wymaganą prawem karę i być może wcale się tym nie przejął.

Za to z ogromną konsekwencją stosowali się do innych reguł.

Co charakterystyczne, nie mówili o sobie „chłopi", tylko „sąsiedzi", i już w samym tym sformułowaniu jest nawiązanie do wspólnoty, która miała tutaj ponadstandardowe znaczenie. Człowiek, który musi współpracować z innymi wobec zagrożenia, tworzy dość szczególne społeczności. Jeśli się żyje na terenie położonym poniżej poziomu morza, wdarcie się w to miejsce wody oznacza utratę wszystkiego, co człowiek posiada. Strumienie, rzeki, potoki nie znają granic podziałów administracyjnych czy geodezyjnych – one po prostu płyną, więc nie da się ich okiełznać w zakresie jednego gospodarstwa. A to z kolei wymaga stuprocentowego zaufania do siebie nawzajem i stuprocentowego podporządkowania się wspólnym interesom. O te interesy dbały związki wałowe, szczególnie silnie oddziałujące na życie społeczne na Żuławach. Dbały zresztą nie tylko o to, żeby nie było powodzi, ale i o to, żeby pola były odpowiednio nawadniane, żeby utrzymać efektywność gospodarstw. Ale jeżeli ktoś zostawał przez tę społeczność wykluczany, to była w pełnym tego słowa znaczeniu śmierć cywilna.

Więc na Żuławach niezwykle ważny był tzw. honor. W książce przywołuję badania Jaśminy Korczak-Siedleckiej, która przebadała akta sądowe w sprawach dotyczących chłopów. W większości wypadków starają się odzyskać dobre imię, bo poczuli się znieważeni. Z naszej perspektywy powody tych procesów będą się wydawać absurdalne – na przykład ktoś sądzi się z kimś, kto nazwał go szelmą. Jeżeli jakieś słowo padało publicznie, nawet przy piwie, w każdym innym zakątku obecnej Polski po prostu ktoś dostałby po gębie i byłoby po sprawie – ale nie na Żuławach. Można te akta uznać za zabawny zbiór absurdów, ale można też po prostu wyobrazić sobie tę układankę; ten społeczno-psychologiczny konstrukt, który ukształtował Żuławy, jakimi były do 1945 r.

W książce sporo piszę o XVII- czy XIX-wiecznym chłopie żuławskim także dlatego, że ten wątek – wyolbrzymionego pojęcia honoru, podporządkowania się wybranym regułom, życia w poczuciu zagrożenia, mówi coś uniwersalnego na przykład o współczesnych czasach wzrostu nacjonalizmu w Europie.

W przypadku mieszkańców Żuław takie skupienie na „swoich" staje się powodem, dla którego po 1939 r. ślepną na sytuację „innych".

To prawda, że obóz koncentracyjny Stuthoff, umieszczony na Żuławach, był niewidzialny dla mieszkańców. Tak to przynajmniej wygląda w wielu relacjach dawnych niemieckich mieszkańców. Na przykład w Sztutowie w bibliotece znalazłem w miarę współczesną monografię tej wsi. W środku – mnóstwo zdjęć różnych żołnierzy Wehrmachtu, dziewczyny, które odpoczywają na plaży, z najbardziej drastycznych wątków – chłopi zarzynający świnię w atmosferze wspólnej radości ze zbliżającej się uczty; sielskość, popołudnia przy piwie. Dosłownie jeden akapit dotyczy obozu zagłady – a w nim autor stwierdza, że „oni nie wiedzieli". Coś tam słyszeli, ale nie mieli rozeznania.

A przecież w tym czasie w ich gospodarstwach pojawiają się tysiące ludzi w pasiakach, którzy są więźniami obozu koncentracyjnego i zaczynają pracę u tychże honorowych, lojalnych wobec siebie gospodarzy. Pomijając pracujących przymusowo, pod koniec 1944 r. przez wieś Stutthof przejeżdżały wielotysięczne transporty Żydów. To byli ludzie ewakuowani z gett i z innych obozów i przechodzili przez wieś, przez sam jej środek.

A wracając do przymusowych robotników – nie jest tak, że jak ktoś się dostał do takiego bogatego chłopa, który codziennie jadł wieprzowinę albo wołowinę, miał znacząco lepiej niż w samym obozie. Mieszkał w oborze, w stodole, dostawał kilka kromek chleba i miskę jakiejś zupy. Ci, którzy od pokoleń tworzyli tę krainę mlekiem i miodem płynącą, wykluczyli obcych z gatunku ludzkiego. Nie dawali im jeść. Postępowali tak, uważając siebie samych za niemieckich patriotów, ufając nacjonalistycznym instytucjom i odczuwając podsycany przez propagandę lęk przed obcymi. Dzisiaj, kiedy mamy w Europie coraz więcej nacjonalizmów, ▶

© PAP/KFP/ZBIGNIEW KOSYCARZ (3)

eprasa.pl a53f7da89d

▶ historia Żuław może być dla nas lekcją – o tym, jak żyjący dostatnio, uważający samych siebie za „porządnych ludzi" mieszkańcy, wykluczają innych – więźniów obozu koncentracyjnego – ze swojej wspólnoty. Traktują ich jak zwierzęta gospodarskie. I nie mam na myśli esesmanów, tylko poczciwych, honorowych gospodarzy.

Wojna na Żuławach kończy się tym, czego ludzie przez kilka wieków się bali. Rosjanie wysadzają tamy, Żuławy zalewa woda. To bardzo obrazowe sceny pana książki. Podobnie jak kolejne – o pladze myszy.

W którejś z relacji trafiłem na opis świeżego, kładącego się zboża – gdy tylko udało się usunąć wodę, posiano pierwsze zboże, przeszły myszy i skosiły to jak kombajn. To jest czas straszny. Zatopienia, robactwo, brak prądu, gnijące resztki. I kolejna fala przemocy.

Na przykład historia babci Eriki.

No więc Erika w 1945 r. ma 17 lat, jest tutejszą Niemką. Kończy się wojna, na zalane tereny przybywają pierwsi osadnicy. Niemcy jeszcze są, bo to nie jest tak, że wysiedlono ich i do pustych domów trafiali osadnicy, przeciwnie, tu przez wiele miesięcy Polacy i Niemcy żyli razem, obok siebie. Możemy sobie wyobrazić, jak są traktowani Niemcy przez ludzi, którzy doświadczali przez pięć lat okupacji. Rodzina Eriki, czyli jej matka i siostra, w końcu uciekają. Ojca nie ma. Przed śmiercią zdążył jeszcze przysłać list, że jak będą nadchodzić Iwany, matka ma otruć siebie i córki. Tak się nie stało. W każdym razie Erika ma 17 lat i zakochuje się – w Polaku. Gdy matka i siostra wyjeżdżają, Erika jest w ciąży. I nie może przekroczyć granicy, Erika będzie rodzić polskie dziecko, więc ma obowiązek zostać.

To jest trochę hipoteza, ale pamięć w rodzinie jest taka, że dziadek, mąż Eriki, był zbyt rozrywkowy, i ciamajdowaty jednocześnie, i „nie potrafił jej obronić przed tym, co spotykało młodą, atrakcyjną Niemkę na ziemiach już teraz polskich", więc ostatecznie Erika zamieszkuje z formalnym mężem i drugim mężem, też Polakiem, w związku, który dziś nazwalibyśmy pewnie poliamorycznym. Po latach jej polski wnuk wspomina ją z ogromnym szacunkiem, wszyscy we wsi potwierdzają, że była członkinią społeczności, szczególnie szanowaną. Szacunek zyskała m.in. dlatego, że tylko ona wiedziała, jak używać maszyn, które pozostały „po Niemcach", i w jaki sposób uprawiać tę ziemię. Z czasem Erika staje się „nasza", „swoja". I dopiero na końcu jej wnuk dopowiada coś takiego, co mąci sielski obraz: „No, tylko te zęby". Które w wieku 17 lat zostały jej wybite.

Historia Żuławiaków jest trochę podobna do historii Kaszubów, o których pisał pan w pierwszej książce. Zaczyna się na wyludnionych ziemiach i od wielkiej emigracji w całej Europie. Podobne są wątki bogacenia się chłopów, na Kaszubach związane z zaborami i kasacją klasztorów, inwestowanie w edukację chłopskich dzieci. Podobne przejścia z Armią Czerwoną. A jednak Kaszubi przed drugą wojną światową mieli bardzo romantyczny stosunek do polskości. Żuławianie gloryfikowali niemieckość.

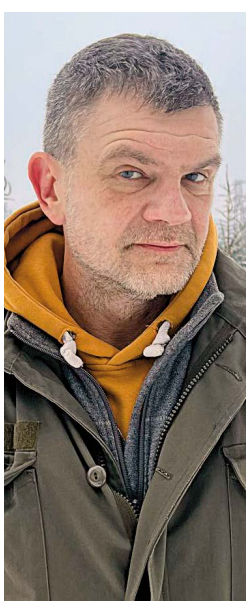
Ja widzę zasadniczą różnicę. Kaszubi mają swoją kulturę, którą zachowują – po cichutku, jak to Kaszubi, ale z uporem. Mają język, inny od niemieckiego i polskiego, ich tożsamość jest bardziej złożona. Żuławianie żyją w poczuciu zagrożenia i trzymają się tożsamości narodowej kraju, którego centrum jest geograficznie bardzo oddalone. Trzymają się tego, bo nic innego nie mają. Kaszubi żyją w środowisku, które jest mieszanką różnych nacji, głównie kaszubskiej, polskiej i niemieckiej. Mieszkańcy Żuław są niemieckim monolitem. Walczą o tę niemieckość, boją się o nią.

Przez całą wojnę wierzą w to, co robią. Opisuje pan mieszkanki żuławskich wsi chodzące do pracy w obozie koncentracyjnym. Albo ostatnią w historii osądzoną sekretarkę komendanta obozu, skazaną na karę więzienia w 2023 r.

Pochodzącą z Żuław. Przez całą wojnę skrupulatnie przepisywała rozkazy na maszynie. Nie uważała, że ta praca jest niewłaściwa. Jedna z moich bohaterek po kilku tygodniach w obozie, gdzie zgłasza się sama, podejmuje starania o przeniesienie. Inne dostosowują się. Znieczulają.

Pisze pan o ludziach, którzy przeprowadzili się tu w latach 2000. Kupili dawne poniemieckie gospodarstwa, odbudowują je. Na czym buduje się współczesna żuławska tożsamość?

Na trochę wybiórczym dobieraniu z historii poszczególnych elementów. Bogactwo, domy podcieniowe, stały się wręcz symbolem Żuław, choć nie tak wiele ich zostało. Podobnie – wiatraki, które są w zasadzie dwa. Mennonici – tak, są elementem współczesnej opowieści o Żuławach, ale niemieckość – już niekoniecznie. Rzekoma mennonickość Żuław to w dużej mierze bajka, taka sama jak sielskość tutejszej natury, poświęcam temu w książce cały rozdział. Z kolei fakt, że Niemcy byli świetnymi gospodarzami, zbudowali całą strukturę techniczną, jest atrakcyjnym składnikiem nowej świadomości. I to jest okej. Każda tożsamość potrzebuje swojego mitu założycielskiego. Ludzie, którzy tu żyją, chętnie mówią o sobie „ja, Żuławiak", ale jak ich zapytasz, co to znaczy być Żuławiakiem, to ci opowiedzą o klopsikach królewieckich i wieprzowinie w słoiku, daniach, które serwuje się tu może od stu lat. A trochę o tym, że dziadek z Kresów przyjechał i zaciągał. Natomiast jedna rzecz jest absolutnie uniwersalną składową: to ten moment w 1945 r., gdy wszystko było zalane i większość potencjalnych osadników uciekła w popłochu. Zostali nieliczni – najbardziej zdeterminowani, najodważniejsi.



Tomasz Słomczyński (ur. 1976 r.) – dziennikarz i autor książek, m.in. tryptyku regionalnego „Kaszëbë", „Sopoty" i „Delta. Przez Żuławy".

Więc przyjeżdżają z Galicji, z Kresów, z Podhala, z Kielecczyzny, z Warszawy po powstaniu warszawskim, z morza ruin. Przyjeżdżają i co widzą? Zalane pola. Wyspy odcięte od świata, gdzie można dostać się tylko łodziami. Dodajmy do tego jeszcze kompletną samowolę Sowietów, jak na wszystkich ziemiach odzyskanych. Zorganizowane bandy złodziei, bandyterkę. W tych trudnych warunkach zostają najtwardsi. To jest lubiany tutaj składnik mitu.

Ale jest też w tym coś zaskakującego. Zdarza się, że nie ma już pojmowanego po dawnemu przywiązania do ziemi. Odwiedzając ludzi, którzy się tu sprowadzili ostatnio, wyremontowali swoje domy, spodziewałem się usłyszeć coś w stylu „tak, znaleźliśmy swoje miejsce na ziemi", a słyszałem – „to nasz projekt na dziesięć lat". A potem zobaczymy. Poszukamy. Ruszymy gdzieś dalej. Może to będzie Polska, a może wcale nie.

ROZMAWIAŁA MARTYNA BUNDA

© ARCHIWUM DOMOWE

eprasa.pl a53f7da89d

Rewolucja od dołu

Powstanie niepodległej Ukrainy 35 lat temu Zbigniew Brzeziński zaliczył do trzech najważniejszych wydarzeń na geopolitycznej mapie Europy XX w.



Niepodległościowe graffiti z sierpnia 1991 r. na pomniku Lenina w Kijowie (zburzonym później w 2013 r.) .

© ALAIN NOGUES/SYGMA/GETTY IMAGES

EDWIN BENDYK

Rada Najwyższa Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej 24 sierpnia 1991 r. przyjęła Deklarację niepodległości. Potwierdziło ją powszechne referendum 1 grudnia. Ukraińska niepodległość nie była oczywista. Radziecką Ukrainę kierowaną od 1972 r. przez I sekretarza Komunistycznej Partii Ukrainy (KPU) Wołodymyra Szczerbyckiego nazywano „skansenem zastoju". Do 1985 r. gdy władzę objął Michaił Gorbaczow i rozpoczął rewolucję od góry pod nazwą pierestrojki i głasnosti, tkwił w nim cały Związek Radziecki. Nowinki z Moskwy polegające na demokratyzacji życia publicznego, ograniczaniu cenzury i poszerzaniu wolności słowa, zmniejszaniu partyjnej kontroli nad gospodarką ukraińscy komuniści przyjmowali z otwartym oporem. Kruszyła go nie tylko determinacja genseka Gorbaczowa, ale także rewolucja od dołu – przemiana świadomości ukraińskiego społeczeństwa.

Rosyjska kolonia

Ukraina funkcjonująca w formie socjalistycznej republiki radzieckiej była państwem kolonialnym, którego główne zasoby gospodarcze kontrolowała Moskwa, a w aparacie władzy związkowej od połowy lat 60. XX w. systematycznie zwiększał się udział Rosjan kosztem reprezentacji komunistów z partii republikańskich. Kolonialne relacje miały też konkretny wymiar kulturowy i ekonomiczny.

Ukraina w 1988 r. była w dużej mierze zrusyfikowana – spośród wydanych wtedy w Ukrainie książek tylko 18 proc. tytułów opublikowano po ukraińsku, co z kolei przekładało się tylko na 3 proc. łącznego nakładu. W uczelniach wyższych zaledwie 5 proc. wykładów wygłaszano po ukraińsku, a nauka szkolna po ukraińsku obejmowała mniej niż połowę uczniów. W Doniecku, Charkowie, Ługańsku, Mikołajowie, Odessie, Czernihowie nie było ani jednej szkoły z pełnym programem nauczania po ukraińsku.

Średnia pensja w Ukrainie w 1988 r. osiągała 200 rubli, w rosyjskiej federacji – 235 rubli miesięcznie. Redaktor naczelny „Radzieckiej Rosji" zarabiał 500 rubli, „Radzieckiej Ukrainy" – 350. Dostępność towarów konsumpcyjnych w Ukrainie była mniejsza niż w Rosji, podobnie wyglądała sytuacja z dostępnością mieszkań. Przy czym w połowie lat 70. przyspieszyła migracja ze wsi do miast, do których przeniosły się miliony osób.

Z jednej strony migranci wnosili do zrusyfikowanej kultury miejskiej elementy tradycyjnej kultury ukraińskiej mocniej zakorzenionej na wsi. Z drugiej presja ekonomiczna i trudności życia stały się jedną z przyczyn spadku dzietności, a socjologowie zaczęli mówić o kryzysie demograficznym. Dzietność w Ukrainie była ▶

eprasa.pl a53f7da89d

▶ najmniejsza ze wszystkich republik, a w niektórych obwodach liczba zgonów zaczęła przeważać nad liczbą urodzeń. Do tego na terenach, gdzie funkcjonował uciążliwy przemysł, dwie trzecie dzieci cierpiało na alergie, a do 30 proc. dzieci ogółem w wieku sześciu lat wykazywało stan zdrowia niekwalifikujący ich do rozpoczęcia nauki szkolnej.

Strukturalnie, choć gospodarka Ukrainy charakteryzowała się wysokim poziomem industrializacji, to jednak włączona była w radziecki system produkcji kontrolowany przez Moskwę. W efekcie w Ukrainie powstawało zaledwie 20 proc. produkcji o charakterze końcowym, a nie półproduktów. W Rosji – 65 proc. Większość z niej była podporządkowana potrzebom zbrojeniowym.

Najbardziej znamienną ilustracją upadku radzieckiej gospodarki stało się rolnictwo. W 1984 r. ZSRR musiał zaimportować 45,5 mln ton zbóż i produktów zbożowych. Mimo inwestycji w kolektywne rolnictwo produktywność nie wzrosła wiele i konieczność importu zbóż utrzymała się do końca funkcjonowania ZSRR. Zapóźnienie technologiczne mimo gigantycznego przemysłu zbrojeniowego było niemniejsze. Rewolucja komputerów osobistych ominęła ten kraj: pod koniec jego istnienia w USA było już 25 mln jednostek, w ZSRR zaledwie 200 tys.

Odzyskiwanie pamięci

Pierestrojka miała wyzwolić energię społeczno-gospodarczą w całym Związku Radzieckim. Michaił Gorbaczow nie przewidział jednak, że uruchomi także wzrost świadomości narodowej w republikach. Sam utożsamiał ZSRR z rosyjskim imperium i nawet podczas wizyt w Kijowie posługiwał się zamiennie pojęciami Rosja i Związek Radziecki. O Charkowie potrafił mówić, że jest miastem rosyjskim, a Ukraińców – podobnie jak Władimir Putin dziś – traktował jak część większego wspólnego narodu.

Tymczasem, dokumentuje literaturoznawczyni Wira Ahejewa, mimo rusyfikacji i wymazywania z oficjalnej pamięci takich fenomenów jak modernizm lat 20. XX stulecia, nazwany Rozstrzelanym odrodzeniem, w Ukrainie zachowała się ciągłość kulturowa. W 1991 r. udało się w Charkowie odnaleźć miejsce pochówku Mykoły Chwylowego, który popełnił samobójstwo w 1933 r. świadom narastających stalinowskich represji. To jemu przypisuje się frazę „Z dala od Moskwy!" określającą program kulturowej odrębności. Choć grób zniszczono, jego miejsce przetrwało w pamięci Charkowian.

Przełomem o znaczeniu społecznym stało się odkrywanie prawdy o Wielkim Głodzie, Hołodomorze, lat 1932–33. Pamięć o radzieckiej zbrodni, która pochłonęła miliony mieszkańców ukraińskiej wsi, była oficjalnie zakazana. Nie zniknęła jednak i 50. rocznica tragedii stała się okazją do inicjatywy upamiętnienia i udokumentowania zbrodni poprzez powołanie odpowiedniej komisji Kongresu Stanów Zjednoczonych na wzór Komisji ds. Holokaustu. Mimo braku politycznego entuzjazmu w budżecie na 1985 r. udało się wpisać pozycję z finansowaniem badań nad ukraińskim głodem lat 1932–33. Wysiłku podjął się historyk James Mace, profesor Harwardu.

Szum wokół Hołodomoru za granicą w radzieckiej Ukrainie wywołał oficjalną antykampanię propagandową – partia szykowała się do obchodów 70. rocznicy rewolucji i nie mogła sobie pozwolić na cień nad uroczystościami. Ale głasnost też zaczynała przynosić efekty. I to od samej góry hierarchii – Łeonid Krawczuk, członek Komitetu Centralnego KPU, przejrzał archiwa Instytutu Historii Partii przy KC KPU. To, co zobaczył, wywołało w nim wstrząs, który opisał później w jednym z wywiadów. Wyznawał, jak odkrył, że działalność partii oparta była na zbrodniczym kłamstwie. I że gdyby o tym wiedział w 1958 r., gdy wstępował do KPU, nigdy by tego nie uczynił. Zmienił się z komunistycznego ortodoksa w komunistę suwerenistę i odegrał niezwykle istotną rolę w ukraińskich staraniach o niepodległość.

Inne strumyki odzyskiwanej pamięci to proces rehabilitacji ofiar stalinizmu i ujawniania popełnionych wobec nich zbrodni. Katastrofa w elektrowni atomowej w Czarnobylu obnażyła z kolei nieefektywność zarządzania radziecką infrastrukturą. Ten kryzys uświadomił, jak niewiele znaczy ludzkie życie i bezpieczeństwo dla partyjnych biurokratów. W Ukrainie Czarnobyl stał się dodatkowo impulsem, który unaocznił kolonialny status kraju – większość energii elektrycznej produkowanej w republice trafiała poza jej granice. Do tego też pokazał, że ekologia nie ma żadnego znaczenia wobec planów rozwoju radzieckiej gospodarki, a zdrowotne i przyrodnicze konsekwencje zanieczyszczenia środowiska władzy nie interesowały.

Michaił Gorbaczow koncentrował się na naprawianiu gospodarki i eksperymentował z rozszczelnianiem gorsetu systemu nakazowo-rozdzielczego. Wstępem stała się w listopadzie 1986 r. ustawa o indywidualnej aktywności zawodowej. Umożliwiła ona tworzenie spółdzielni i otworzyła drogę do prywatnej przedsiębiorczości. Pod koniec lat 80. w Ukrainie w spółdzielnie zaangażowanych było blisko 700 tys. osób, ich praca dawała towary i usługi wartości 5 mld rubli. W 1987 r. została przyjęta ustawa o przedsiębiorstwie państwowym nadająca socjalistycznym zakładom pewną autonomię.

Te działania zamiast zwiększać efektywność gospodarowania w ZSRR tylko mocniej ją destabilizowały, prowadząc w końcu do narastającego deficytu budżetowego, utraty siły nabywczej rubla, inflację i przechodzenie na gospodarkę barterową. Sprzedaż produktów konsumpcyjnych zaczęła być racjonowana w systemie kartkowym.

Ruch społeczny

Trudności codziennego życia nie przeszkadzały ożywieniu społecznemu, które wyrażało się m.in. w podejmowaniu inicjatyw poza kontrolą partii. W raporcie dla KC KPU z czerwca 1989 r. przeczytać można o istnieniu 47 tys. stowarzyszeń. Wśród nich 6957 społeczno-politycznych, 1460 kulturalno-historycznych, 1946 ekologicznych, artystyczno-dyskusyjnych 10 859, sportowych 4239 i zajmujących się kulturą zdrowotno-fizyczną 6124. Partyjne raporty odnotowywały społeczne samoorganizacyjne ożywienie już w 1985 r., a w 1986 r. ruch przybrał charakter masowy. Demokratyzacja nie była jeszcze wtedy oczywista – we wrześniu 1985 r. w łagrze zmarł Wasyl Stus, wybitny poeta i działacz dysydenckiej Ukraińskiej Grupy Helsińskiej.

Wśród inicjatyw szczególne znaczenie miały działania podejmowane przez intelektualistów, dysydentów, byłych więźniów politycznych. W 1987 r. w Kijowie powstał Ukraiński Klub Kulturologiczny i zrzeszenie ekologiczne Zielony Świat, we Lwowie Towarzystwo Lwa, w 1988 r. reaktywowała się Ukraińska Grupa Helsińska w postaci Ukraińskiego Związku Helsińskiego. W 1987 r. wznowiono legalnie „Biuletyn Ukraiński" wydawany wcześniej, do czasu aresztowania jego redaktora Wiaczesława Czornowiła w dru-

eprasa.pl a53f7da89d

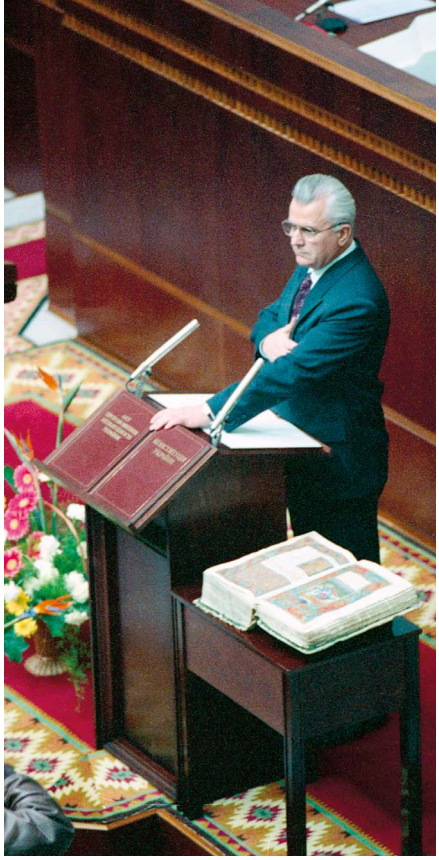
gim obiegu. „Biuletyn" stał się pierwszym niezależnym czasopismem w Ukrainie, a jego kierownictwo objął ponownie Czornowił.

Na efekty samoorganizacji i przemiany społecznej świadomości nie trzeba było długo czekać, już w 1988 r. zaczęły wybuchać masowe protesty, a latem 1989 r. strajk podjęli górnicy Zagłębia Donieckiego i Lwowsko-Wołyńskiego. Dalszą konsekwencją była konsolidacja ruchu społeczno-politycznego. W listopadzie 1988 r. powstała grupa inicjatywna, z której w 1989 r. powstał Ludowy Ruch Ukrainy dla Odbudowy. Z czasem już jako Ludowy Ruch Ukrainy stał się partią polityczną, która stanęła do wyborów do Rady Najwyższej w 1990 r. przeprowadzonych zgodnie z nową ordynacją umożliwiającą zgłaszanie kandydatów niezależnych.

Partyjna demonopolizacja

W 1988 r. Michaił Gorbaczow zdecydował o reformie konstytucyjnej, która zmieniła rolę partii komunistycznej z jedynowładczej siły zarządzającej wszystkimi aspektami życia ZSRR w strukturę zachowującą polityczną kontrolę, ale bez bezpośredniego wpływu na gospodarkę i instytucje państwa. Oddzielenie partii od nomenklatury przyspieszyło proces jej emancypacji i tworzenie w ramach poszerzających się możliwości gospodarczych sojuszy między rzutkimi aktywistami komsomołu, „czerwonymi" dyrektorami państwowych przedsiębiorstw i struktur gospodarki kryminalnej i nieformalnej. W tych często dominowali przedstawiciele mniejszości etnicznych, bo w kolonialnym systemie ZSRR mieli ograniczony dostęp do stanowisk w oficjalnych, legalnych strukturach władzy i gospodarki.

W oparciu o te sojusze odbywała się późniejsza „pierwotna akumulacja" kapitału w republikach byłego Związku Radzieckiego. Często miała ona charakter kryminalnego przejmowania zasobów gospodarki państwowej. Procesowi temu, jak opisuje Julia Jurczenko w książce „Ukraine and the Empire of Capital: From Marketisation to Armed Conflict" (Ukraina i imperium kapitału: od urynkowienia do wojny), towarzyszyła narastająca kryminalna przemoc. W 1991 r. w Doniecku zarejestrowano 55 zabójstw na zlecenie. Rok później dochodziło do pięciu–sześciu takich zabójstw tygodniowo.



Łeonid Krawczuk, pierwszy prezydent niepodległej Ukrainy, podczas składania przysięgi prezydenckiej 6 grudnia 1991 r.

Pierwsza rewolucja

Zanim jednak narodził się ukraiński oligarchiczny kapitalizm, radziecka Ukraina musiała uzyskać niepodległość. Drogą do niej były m.in. marcowe wybory w 1991 r. do Rady Najwyższej odbywające się zgodnie z nową, bardziej pluralistyczną ordynacją. I choć wygrała je KPU, to jednocześnie też straciła monopol na władzę. W Moskwie trwała walka między Michaiłem Gorbaczowem i Borysem Jelcynem, czyli przywództwem radzieckim i rosyjskim. Widząc narastającą słabość Gorbaczowa, Jelcyn postanowił umocnić swoją władzę republikańską i w czerwcu 1990 r. Rada Najwyższa Rosji przyjęła deklarację o suwerenności Federacji Rosyjskiej, a Jelcyn opuścił szeregi Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Domino ruszyło: na skutek ruchu Jelcyna Moskwa straciła status imperialnego centrum, deklaracje suwerenności zaczęły przyjmować inne republiki, także Ukraina, choć jeszcze nie oznaczało to rozpadu Związku Radzieckiego. Drogą do jego utrzymania i odnowy jako federacji suwerennych republik miała być nowa umowa związkowa. Energii społecznego sprzeciwu nie udało się jednak powstrzymać. W Ukrainie 2 października 1990 r. wybuchła pierwsza współczesna rewolucja nazwana rewolucją na granicie. Inicjatorami byli studenci. Na ówczesnym Placu Rewolucji Październikowej (dzisiejszym Placu Niepodległości) w Kijowie rozpoczęli protest głodowy.

Akcja studentów zyskała masowe poparcie społeczne i polityczne ze strony Ruchu. Wywołany przez nią kryzys doprowadził do zmiany rządu w Ukrainie i przyspieszył dekompozycję systemu. Ostatnim gwoździem do jego trumny okazał się moskiewski pucz 19 sierpnia 1991 r. przeciwko Gorbaczowowi i reformom. Rebelia Janajewa i innych twardogłowych nie powiodła się, m.in. dzięki determinacji Jelcyna. Konserwatywna część KPU popierała cele puczu. Frakcja komunistów suwerenistów z Krawczukiem na czele zrozumiała, jak krucha jest sytuacja w kraju, w którym stacjonowało ponad 700 tys. żołnierzy Armii Czerwonej niepodlegającej dowództwu Kijowa.

Od niepodległości do wojny

Odpowiedzią na ryzyko utraty suwerenności była Deklaracja niepodległości przyjęta przez Radę Najwyższą 24 sierpnia 1991 r. W referendum powszechnym 1 grudnia 1991 r. udział wzięło 84 proc. uprawnionych, 90,12 proc. opowiedziało się za niepodległością. Odpowiedź na tak zyskała większość we wszystkich obwodach, włącznie z Krymem. Pierwszym prezydentem został Łeonid Krawczuk. Niepodległość Ukrainy jako pierwsze państwo na świecie uznała już 2 grudnia Rzeczpospolita Polska. Szansę realizacji zyskała wizja Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego przekonujących, że istnienie niepodległej Ukrainy, Litwy i Białorusi jest korzystne dla interesu Polski, bo niweluje potencjał imperialnej energii Rosji.

O tej złowrogiej energii Rosja przypomniała w 2008 r., atakując Gruzję i w 2014 r. anektując Krym oraz wspierając separatystów w obwodach donieckim i ługańskim Ukrainy. 35-lecie niepodległości Ukraina obchodzi w 13. roku od początku rosyjskiej agresji i piątym roku pełnoskalowej wojny. Pod rosyjską okupacją znajduje się ok. 20 proc. ukraińskich terytoriów, Ukraina nie utraciła jednak suwerenności. A 85 proc. Ukraińców jest przekonanych, że wygrają wojnę. Ponad 60 proc. wierzy, że za 10 lat Ukraina będzie kwitnącym państwem Unii Europejskiej.

EDWIN BENDYK

© EAST NEWS

eprasa.pl a53f7da89d



serial

Przyziemni herosi 4/6

Latarnie, twórcy serialu: Chris Mundy, Damon Lindelof, Tom King, 8 odc., HBO Max

W uniwersum DC Comics Korpus Zielonych Latarni to międzygalaktyczna formacja strzegąca porządku w kosmosie. Elita najodważniejszych wojowników, czerpiących siłę z pierścieni zasilanych mocą planety Oa, gotowych do walki ze złem zdolnym unicestwiać całe układy planetarne. Serialowe „Latarnie" niemal całkowicie rezygnują z tej mitologii. Zamiast podróży międzygwiezdnych i spektakularnych przygód – mozolne dochodzenie prowadzone w zapyziałym miasteczku pośrodku Nebraski. Hal Jordan (świetny **Kyle Chandler**), pierwsza ziemska Zielona Latarnia, dni chwały ma już dawno za sobą. Jest znużony i sfatygowany, choć wciąż, nieco bezpodstawnie, wierzy w swój urok i nieomylność. Wraz ze swoim potencjalnym następcą Johnem Stewartem (**Aaron Pierre**) prowadzi śledztwo w sprawie śmierci czterech osób. Co prawda nie mają uprawnień policji, lecz Jordan podejrzewa, że ofiary były ukrywającymi się na Ziemi kosmitami, więc to sprawa dla Zielonych Latarni. Szybko się okazuje, że wcale się nie mylił, ale jego akcje będą miały poważne konsekwencje.

„Latarnie" są częścią sagi, której ramy wyznaczyły niedawno filmy „Superman" i „Supergirl", lecz od superbohaterskich klimatów uciekają możliwie daleko w stronę dość mrocznego psychologicznego thrillera. To słuszny kierunek, wiele dobrych komiksów o Zielonych Latarniach rozgrywało się w przyziemnych realiach, opowiadając o społecznych problemach, trudnych rodzinnych relacjach, toksycznej męskości. W serialu można odnaleźć wszystkie te tropy, choć niestety przez większość czasu ta realistyczna konwencja nie działa: mimo chemii między Chandlerem a Pierre'em oraz bardzo dobrej drugoplanowej roli Kelly Macdonald powolna akcja jest mało zajmująca, za to bardziej irytująca, a liczne komiksowe cytaty są czytelne wyłącznie dla najbardziej zagorzałych fanów. Jednak w drugiej połowie sezonu (do recenzji udostępniono siedem z ośmiu epizodów) fabuła wreszcie przyspiesza i wpada na właściwe tory. Może dać sporo satysfakcji, trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial

Klara. Rewizja 4/6

Klara. Rewolucja, scen. Marek Modzelewski, reż. Łukasz Jaworski, 8 odc., HBO Max



Po dwóch latach od premiery pierwszego sezonu **Izabela Kuna** wraca do tytułowej roli w serialu opartym na powieściach swojego autorstwa. Rysowniczka Klara, bardziej niegrzeczne wcielenie serialowej Magdy M., wciąż tkwi w toksycznych związkach z matką (Iwona Bielska) i Aleksem, żonatym kochankiem (Adam Woronowicz) i wciąż może liczyć na przyjaciół: szaloną Wronkę (Katarzyna Warnke), geja radiologa Wojtka (Piotr Adamczyk), reproduktora brytyjskiego (w rzucającego sarkastycznymi uwagami kota ponownie wciela się Eryk Kulm w futrze i makijażu), jak również na koniak i xanax. Ale są też zmiany – podtytuł „Rewolucja" i rewolucja francuska powracająca w snach bohaterki sugerują, że nawet spore. Otóż Klarze zaczynają się spełniać marzenia: najpierw w jej życiu i mieszkaniu pojawia się ojciec (Joachim Lamża), choć matka Klary przez dekady utrzymywała, że umarł; a chwilę później także Aleks, oznajmiając, że odszedł od żony. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Pięć udostępnionych do recenzji odcinków układa się w opowieść o dojrzewaniu, z rewizją marzeń, które dotąd wyznaczały życiowy i psychologiczny horyzont, oraz weryfikacją celów. Nie jest to wszystko odkrywcze i wciąż nie każdy element w tej maszynce działa, ale drugi sezon jest ciekawszy niż pierwszy, dialogi są dowcipniejsze, a Klara wreszcie wychodzi z cienia Aleksa i kota, dotąd kradnących show.

ANETA KYZIOŁ

© HBO MAX (2), NETFLIX, BARBARA OJRZEŃSKA, A. GRABOWSKA / MUZEUM GDAŃSKA

eprasa.pl a53f7da89d

serial

Nudna ferajna 2/6

Ricky Gervais: Kocie życie, Netflix, 6 odc.

Grupa bezdomnych kotów pod wodzą cynicznego Gusa żyje spokojnie w zrujnowanym pustostanie, spędza dni na szwendaniu się po ulicach i robieniu rozmaitych kocich rzeczy, od grzebania po śmietnikach po zaloty. Beztroski czas mija, gdy do grupy przybłąka się zagubione kociątko, a Gus, wbrew swojej naturze, postanowi pomóc mu w odszukaniu domu. Na dodatek dość niespodziewanie odkryje, że obudziło się w nim coś na kształt rodzicielskiego instynktu. Sama koncepcja spojrzenia na życie z kociego punktu widzenia jest już mocno wyeksploatowana, Ricky Gervais zaś nie dokłada tu niczego nowego, a jego serial przypomina miks klasycznego undergroundowego komiksu „Kot Fritz" Roberta Crumba (przeniesionego zresztą na ekran jeszcze w latach 70.) i animowanej „Kociej ferajny". Sypiące się gęsto wulgaryzmy i miałkie dyskusje bohaterów (np. czy koty mogą trafić pod sąd za zabicie niemowlaka) nie są ani zabawne, ani tak szokujące, jak być może planował twórca. Interesujące są jedynie krótkie chwile autentycznej czułości, gdy Gervais, od lat znany jako ekologiczny aktywista, poprzez swoich bohaterów upomina się o prawa i dobrostan zwierząt. Szkoda jedynie, że ten przekaz tonie w banalnym słowotoku, marnej jakości żartach opartych na obrażaniu wszystkich i wszystkiego. Gervais jest inteligentnym komikiem i prowokatorem, tym razem jednak wyjątkowo nie przyłożył się do roboty.



JD



scena

Klasa średnia w lustrze 4/6

Marek Modzelewski, **Pacyfiści**, reż. Jacek Braciak,
Teatr Współczesny w Warszawie i Teatr STU w Krakowie

Marek Modzelewski, praktykujący lekarz radiolog, najbardziej znany jest jako scenarzysta (m.in. hitowej trylogii komediowej „Teściowie", a obok recenzujemy serial „Klara. Rewolucja" z jego scenariuszem). Zaczynał jednak od pisania na scenę, najpierw kabaretową, a potem teatralną, i z teatrem nie zerwał. Od lat w komediowym stylu portretuje klasę średnią, czasem – jak we „Wstydzie", który stał się podstawą „Teściów" – w zderzeniu z klasą ludową, częściej – w zderzeniu z własnym, pieczołowicie kreowanym wizerunkiem. W najnowszej sztuce, „Pacyfistach", wykorzystuje popularny schemat spotkania dwóch par, podczas którego, powiedzmy, natura przegrywa z kulturą. Zapalnikiem jest urodzinowa impreza na strzelnicy, którą nastoletniemu synowi fundują Julian (**Wojciech Malajkat**) i Justyna (**Monika Krzywkowska**). Ich przyjaciele, Aldona (**Agnieszka Suchora**) i Mariusz (**Mariusz Jakus**), przychodzą poinformować, że ich syn nie weźmie w niej udziału. Z przyczyn ideologicznych. Dyskusja, która się wywiązuje, ujawnia, co kryje się za deklarowanymi poglądami: postępowość ma swoje granice, konserwatyzm lęki, łatwiej w oku bliźniego dostrzec źdźbło niż we własnym belkę, swoje dokładają doświadczenia z przeszłości, kompleksy i frustracja. Efekt jest nietrudny do przewidzenia, a Jacek Braciak jako reżyser stawia na przezroczystość. „Pacyfiści", choć niepozbawieni wad, sprawdzają się dobrze jako lustro, w którym łatwo może się przejrzeć klasa średnia.

AK

galeria

Powrót do domu 5/6

Całe życie rysowałem życie,
Muzeum Gdańska, do 16 października

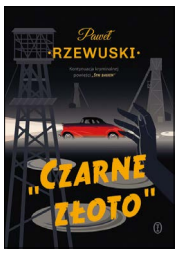
Wystawę zorganizowano z okazji 300. rocznicy urodzin wybitnego rysownika Daniela Chodowieckiego. Urodzonego w Gdańsku, ale przez większą część życia mieszkającego w Berlinie. Człowieka, którego ze względu na życiorys już w XVIII w. z czystym sumieniem można było określić mianem prawdziwego Europejczyka. W Ratuszu Głównego Miasta (oddział Muzeum Gdańska) pod jednym dachem zebrano blisko 200 obiektów z kolekcji publicznych oraz prywatnych. Istotna część przyjechała z Berlina i magazynów tamtejszej Akademie der Künste. Dominują grafiki oraz rysunki, ale można zobaczyć również nieliczne obrazy. Zapewne najważniejszą część wystawy stanowi rysunkowy dziennik z podróży Chodowieckiego do Gdańska w 1773 r. Po kilkudziesięciu latach przerwy artysta wrócił do miasta swej młodości, skąd wyjechał jako nastolatek. Wszystko, na szczęście dla potomnych, skrupulatnie dokumentował, to znaczy rysował. Ekspozycja oferuje nadzwyczajną podróż w przeszłość, spojrzenie na Europę doby oświecenia, której kronikarzem był ten artysta. Praktycznie w każdej z prac widać mistrzostwo kreski, łatwiej też zrozumieć, dlaczego Chodowiecki uznawany jest za jednego z najlepszych rysowników czy też ilustratorów swojej epoki. Detaliczność i wielowymiarowość prac, zazwyczaj małego formatu, budzą prawdziwy podziw. Za sprawą ekspozycji w Gdańsku ten wnikliwy obserwator życia społecznego symbolicznie powrócił do domu. I to w naprawdę świetnym stylu.



Daniel Chodowiecki, „Alegoria pożaru miasta Ruppin", 1787 r.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

eprasa.pl a53f7da89d



Kresy i kryzysy 4/6

Paweł Rzewuski, **Czarne złoto**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 432



Autor „Krzywdy", powieści nominowanej do Paszportów POLITYKI, zaczął od kryminału i nie porzucił tego gatunku. Świetnie, bo niezależnie od przyjętej konwencji przemyca w swoich książkach sporo głębi i wiedzy historycznej. Znów jesteśmy w późnych latach 30. XX w. Tym razem kapitan Maurycy Jakubowski rusza z misją do Truskawca, miejscowości uzdrowiskowej położonej nieopodal Drohobycza, w rejonie naftowym (stąd tytułowe „czarne złoto"). Rzeczpospolita próbuje przyszyć do siebie te ziemie. Jakubowski ma tu do rozwiązania zagadkę zaginięcia sióstr Opolskich, przybranych córek społecznika działającego na rzecz relacji polsko-ukraińskich. W okolicy dzieją się też inne dziwne rzeczy, dochodzi do sąsiedzkich tarć i makabrycznej zbrodni. Dopiero rodzi się OUN, rozpanasza ONR, mamy początek czegoś, co będzie rezonować w przyszłości. Jakubowski wpada w oko cyklonu, a został mu dokooptowany partner, z którym trudno nie rzucać się w oczy. „W Warszawie to już się myśli tylko o tym, jak Ukraińców przerobić na Polaków, ale ja wiem, że z tej mąki chleba nie będzie" – twierdzi jeden z bohaterów i trudno przy lekturze nie myśleć o bieżącej sytuacji. Intryga jest wciągająca, a jeszcze ciekawsze tło historyczne i społeczne. Rzewuski odmalowuje Kresy od mrocznej strony i nie bierze jeńców. To nie jest, na szczęście, kryminał ograniczony do zbrodni i rekwizytów.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

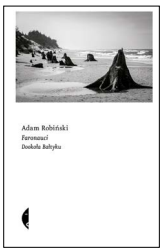


Na krawędzi 5/6

Kelby Losack, **Wypuścić diabły**, przeł. Tomasz S. Gałązka, Wydawnictwo ArtRage, Warszawa 2026, s. 70

Ta niewielkich rozmiarów książeczka, do przeczytania za jednym zamachem, chwilami przypomina lepki narkotyczny trip, kiedy indziej jest jak bezpardonowa bijatyka na noże, kastety i gołe pięści. Pisana z gniewem i rezygnacją, lecz jednocześnie zaskakująco poetycka, choć to szorstka poezja ulicznego rapu. Jej bohaterowie – pracownik stacji benzynowej, który dorabia, handlując narkotykami, i jego żona, niespełniona malarka – wychowują kilkuletnią córeczkę i próbują jakoś przetrwać w trudnej rzeczywistości. Marzą o lepszym życiu, ale chcieliby je osiągnąć możliwie małym kosztem, a zarazem zdają sobie sprawę, że są skazani na życie wśród przemocy i patologicznej biedy, na zawsze wypchnięci daleko poza margines. Losack sięga po elementy thrillera i czarnej komedii, lecz nie wydaje się zainteresowany tradycyjną prozą gatunkową. Nie konstruuje tu zwartej fabuły, pozwala za to czytelnikom zajrzeć do świata drobnych bandziorów, zdesperowanych ćpunów, samozwańczych kaznodziejów i krążących po ulicach dziwaków. Tu wszystkie diabły już dawno zostały wypuszczone, nadzieja na lepszą przyszłość umarła i została pogrzebana pod warstwą zalegających na podwórkach śmieci. Książka Losacka bywa porównywana do prozy Irvine'a Welsha, jednak jeszcze bliżej jej do wczesnych filmów Darrena Aronofsky'ego: ma w sobie intensywne szaleństwo, smutek i przewrotną nostalgię „Pi" i „Requiem dla snu".

JAKUB DEMIAŃCZUK



Łyk Bałtyku 4/6

Adam Robiński, **Faronauci. Dookoła Bałtyku**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 416

Czy można odkryć morze, nad którym odpoczywają miliony ludzi? Robiński udowadnia, że tak. Udowadnia również, że nie ma jednego Bałtyku. I to nie na zasadzie „co kraj, to obyczaj", ale nawet w nazewnictwie morze to mieni się różnymi barwami. A jednocześnie – czy to w ogóle jest morze, czy po prostu przerośnięte jezioro, z którego wlewy z Morza Północnego zrobiły akwen słonowodny? Jak sami państwo widzą, Bałtyk nie jest tak nudny i monotonny, jak wtedy, kiedy się po nim płynie. Z brzegu kusi przygodą morską. I to właśnie brzeg jest w tym morzu chyba najciekawszy. A przynajmniej najbardziej zróżnicowany i malowniczy. Tak jak malownicze są latarnie morskie, którymi jest usłany brzeg. Latarnia morska aż w trzech językach nazywana jest faro. Żaden z nich nie jest jednak językiem polskim, bo Polska nad morzem mościła się z różną częstotliwości i obfitością. Akurat w czasie świetności latarni morskich zniknęła nie tylko znad brzegu Bałtyku, ale i w ogóle z map. Tymczasem Robiński prowadzi nas szlakiem innych bałtyckich latarni. Tworzy mistyczny ród faronautów, którzy dali nawet tytuł tej książce. To zresztą chyba najbardziej udany fragment tej niezwykle erudycyjnej publikacji. Momentami tak mądrej i gęstej od opowieści, że nieco przegadanej. Z drugiej strony – może tak właśnie powinny wyglądać współczesne przewodniki. Przecież wszystko jest już w sieci. Wszystko jest w mapach Google, a jednocześnie nie ma tam nic. Robiński to autor, który prowadzi nas po papierowych mapach. Kto lubi ten świat, niech idzie za tym przewodnikiem.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© PAP/MARCIN OBARA, CANAL+, SEBASTIAN KLEBANIUK, PAP/CTK, MP (6)

eprasa.pl a53f7da89d

Od Chopina do Cage'a 5/6

Bruce Liu, **Lunaris**, Deutsche Grammophon



Triumfator przedostatniego Konkursu Chopinowskiego nagrał kolejną płytę z kluczem. Tym razem jest to klucz nastroju: nocy, mroczności, tajemniczości. Wychodzi od Chopina – pięknego, łagodnego Nokturnu Des-dur, ale dalej jest już bardzo różna muzyka. Trzy sonaty: dwie Beethovena („Księżycowa" i „Waldsteinowska") i jedna, krótka, Aleksandra Skriabina; reszta to miniatury – preludium Bacha w opracowaniu Aleksandra Silotiego (ulubiony bis pianistów rosyjskich), nokturnowa „Rêverie" Debussy'ego, dwie wariacje Federica Mompou na temat piosenki „Au clair de la lune", krótki utwór Reynalda Hahna, a z późniejszej muzyki jeden z utworów op. 19 Arnolda Schönberga i etiuda „Fanfares" Györgya Ligetiego, a na koniec narkotyczny „Dream" Johna Cage'a dla baletu Merce'a Cunninghama. Trochę dyskusyjny dobór – trudno za nokturnowy utwór uznać „Waldsteinowską" albo ową etiudę Ligetiego, jednak pianista dopasowuje interpretacje do założenia, grając miękkim, ciepłym dźwiękiem, jakby po kociemu się skradając. Pomógł tu zapewne również sposób nagrania. Chciałoby się teraz posłuchać np. całego cyklu etiud Ligetiego – już ta jedna robi smak na więcej.

DOROTA SZWARCMAN

Dialogi z archiwum 4/6

Stanisław Soyka, Tomasz Stańko, **Soyka/Stańko**, Polskie Radio



Radiowe archiwa zdają się nie mieć dna i po zeszłorocznej serii nagrań Tomasza Stańki z różnych lat dostajemy właśnie zapomniane materiały sprzed niemal czterech dekad. Stańko dialogował ze Stanisławem Soyką, występującym tu niemal wyłącznie jako pianista, a całość składającą się na dwie większe formy – „Suitę Zaduszną" i „Medula oblangada" – zarejestrowano w 1988 r. w odwrotnej kolejności – najpierw wyimprowizowana, lekka, ale też trochę szkicowa „Medula…" (z fragmentami wokalnymi), a później „Suita…", w której dialogowej formie odnajdziemy zmysł melodyczny jednego i drugiego z muzyków. O ile jednak frazę Stańki rozpozna każdy jego późniejszy słuchacz, o tyle partie pianisty wyraźnie pobrzmiewają fazą przejściową: Soyka powoli odchodzi już w tym okresie od jazzu. Szóstą, finałową część – imponującą nawet jako osobna forma – miał rozwinąć na kluczowej płycie „Acoustic". W dialogu obaj odnajdują się świetnie, dużo jest tu jednak błądzenia, sporo surowości, materiał nie jest tak kanoniczny jak zbiór Stańki, choć historycznie bardzo ciekawy, a dyskografia Soyki wręcz krzyczy o uzupełnienia.

BARTEK CHACIŃSKI

Cień wielkiej płyty 4/6

Julia Holter, **Materia**, Domino



O wydanej dwa lata temu płycie „Something in the Room She Moves" Julii Holter pisałem, że autorka jest tu trochę jak Kate Bush, a trochę jak Laurie Anderson. Tworzy „artystyczną" piosenkę, czyli poszukuje brzmieniowo, pisze dłuższe, finezyjne formy, stawia słuchaczom wymagania w sferze skupienia. Trzyma przy tym formę i styl od lat, czego poświęcona cielesności i doświadczeniu macierzyństwa poprzednia płyta była dowodem. „Materia" na tym tle trochę przecieka przez palce – stanowi swoiste uzupełnienie poprzedniczki. Nietrudno dojść do wniosku, że singlowe utwory „Fantasy" i (szczególnie) „My Lost One" mogłyby być ozdobą poprzedniego albumu, ale w drugiej części muzyka kalifornijskiej wokalistki rozpływa się – w utworze „My Twin" mamy niemal dosłowny efekt takiego zastygania w czasie – i robi się jeszcze bardziej eteryczna. Fani przyjmą to być może z radością, ale rzecz będzie wyzwaniem dla szerszego audytorium. To powinno w pierwszej kolejności sięgnąć po inne albumy: „Have You In My Wilderness" czy „Aviary". Bo spotkać się z wyjątkową muzyką Julii Holter warto, tu mamy jednak do czynienia z cieniem, a na pewno z uzupełnieniem najważniejszych jej albumów. BCH

nie przegap



Szepty mroku, twórca serii: Graham Roland, Canal+

Bardzo udana serialowa adaptacja powieściowego cyklu Tony'ego Hillermana z akcją osadzoną na początku lat 70. XX w. Sierżant Joe Leaphorn (**Zahn McClarnon**) i jego nowy partner Jim Chee prowadzą śledztwo w sprawie serii morderstw popełnionych w rezerwacie Nawahów. „Szepty mroku", łączące kryminalną fabułę z wnikliwym portretem życia rdzennych Amerykanów, nareszcie trafiły do streamingu. Pierwszy (z dotychczasowych czterech, premiera piątego została już zapowiedziana na przyszły rok) sezon pojawił się w ofercie Canal+. JD



Koncao Fest, Pałac Ojrzanów, 22 sierpnia

Poza dużymi mnożą się mniejsze festiwale, a pod Warszawą – poza Break In Classic czy Africa Beats – mamy już czwartą edycję Koncao Fest, łączącego reggae, hip-hop i funk. Główną gwiazdą będzie skład **Vavamuffin**, czołowa polska grupa raggamuffin oparta na wokalnym triu Pablopavo, Reggaeneratora i Gorga, choć wiele osób przyjedzie też do Ojrzanowa, żeby zobaczyć na żywo legendarną, pamiętaną z lat 90., formację Transmisja. Program uzupełniają młodsi artyści, m.in. niedawna finalistka „Must Be The Music" raperka Vicky. BCH



22. Międzynarodowy Festiwal Chopin i jego Europa, Warszawa, 23 sierpnia–6 września

W tym roku festiwal odbywa się później, koncertów jest mniej – po jednym dziennie – ale za to jakie! Kilka orkiestr, w tym trzy światowej sławy: Orchestre Symphonique de Montréal, Concertgebouw z Amsterdamu i Pittsburgh Symphony. Pianistyczne gwiazdy pierwszej wielkości: **András Schiff**, Alexandre Kantorow, Mikhail Pletnev, Víkingur Ólafsson. No i oczywiście znajomi z ostatnich Konkursów Chopinowskich. Prawdziwa uczta. DS

eprasa.pl a53f7da89d

Nowy disco-Polak

MICHAŁ KLIMKO, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



© KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

eprasa.pl a53f7da89d

Ma przeboje, fanów i strategię biznesową opartą na patriotyzmie. Wyszedł z disco polo, ale podbija całą scenę muzyczną. Czy Skolim to polski Bad Bunny?

Grafik koncertowy ma wypchany do zimy, ale zawsze da się jeszcze coś wcisnąć. Skolim lubi bić rekordy. Rok temu o tej porze miał na liczniku – wtedy aż, dziś tylko – 60 występów. W tym roku wyjdzie na scenę ponad 500 razy. Gra i do kotleta, i na festiwalach, tu i ówdzie się spóźnia. – *Mijał mnie niedawno, gdy jechałam do Stegny* – mówi z przekonaniem Lena, która tak jak Skolim mieszka w okolicy Mińska Mazowieckiego. – *Pędził z 200 km/godz. Sprawdziłam: za 15 minut miał grać koncert na Mazurach*.

Purpurowe BMW trudno pomylić z jakimkolwiek innym egzemplarzem. „Skolim" na blachach też rozwiewa wątpliwości: oto polski Król Latino i jego karoca. Ale jak został królem i dorobił się karocy?

Wyglądał idealnie

Niewątpliwie marzeniem Skolima – a dokładniej urodzonego w 1996 r. w Łukowie Konrada Skolimowskiego – było zostać idolem, a na ten status postanowił sumiennie zapracować. Już jako nastolatek brał udział w aktorskich castingach, zaliczając epizody w serialach „Dziewczyny ze Lwowa", „Na Wspólnej" czy „Na dobre i na złe", by na dłużej zżyć się z rolą Patryka w „Barwach szczęścia".

Równolegle próbował też sił w muzyce – jako 21-latek wystąpił w talent show „Disco Star". Jego autorski utwór „Chcę cię skarbie" nie dał mu przepustki do kolejnego etapu programu, do którego wrócił po latach już w roli jurora. Głównym zarzutem do piosenki – klasycznego disco polo, topornego nawet jak na standardy gatunku – była maniera wokalna młodego Skolima, w opinii Marcina Millera z grupy Boys w osobliwy sposób budząca skojarzenia z... Eugeniuszem Bodo.

Zdaniem jurorów warunki na gwiazdę disco początkujący artysta spełniał głównie wizualnie. „Pod względem wizerunku jesteś ideałem na scenę, rzesze nastolatek by się w tobie kochały, bo takiego Biebera trochę przypominasz" – komplementował Radosław Liszewski z zespołu Weekend.

Na przełom musiał poczekać jeszcze cztery lata. W tym czasie polski Bieber przeobraził się w regularnego bywalca siłowni, a zaśpiew w stylu Bodo zmienił się w manierę charakterystyczną dla nurtu reggaeton – latynoskiej fuzji muzyki tanecznej i rapu, której największą globalną gwiazdą jest dziś Bad Bunny. Skolim postawił też na bliski kontakt z publicznością poprzez aktywne prowadzenie mediów społecznościowych i koncerty w całej Polsce. Gdy występy na żywo uniemożliwiła pandemia, swoją aktywność przeniósł do studia nagraniowego, gdzie pracował nad kolejnymi produkcjami. Jako gwiazdor nowego typu nie ma nawet własnej strony internetowej, tylko sklep.

Do zbudowania zasięgów brakowało mu tylko wielkiego hitu. Tym był singiel „Wyglądasz idealnie", opublikowany w maju 2022 r. „Pamiętam, że mija 15 minut, tak patrzę średnio. Po godzinie statystyki zaczęły wybuchać" – wspominał po latach pierwsze chwile po publikacji utworu, który obecnie przekroczył 270 mln wyświetleń na YouTube, bijąc należący do Sławomira rekord w kategorii polskich teledysków.

W „Wyglądasz idealnie" było wszystko, co stało się znakiem rozpoznawczym późniejszego Króla Latino – w klipie różowa limuzyna (oficjalny kolor skolimowej marki) i wianuszek dziewczyn, muzyka czerpiąca z latynoskich rytmów, jednocześnie wpisująca się w estetykę nowej fali disco polo. Oraz tekst – niezbyt subtelny („Rozkładam nogi twoje i biorę to, co moje/ Kolejną nockę, skarbie, spędzamy już we dwoje"), za to wystarczająco prosty, by wielokrotnie powtarzany refren na długo został w pamięci już po jednym przesłuchaniu.

Można bez większej przesady stwierdzić, że kto słyszał „Wyglądasz idealnie", zna sporą część innych hitów Skolima – „Daj mi jedno słowo", „Ona mi dała" czy „Temperatura" opierają się na konsekwentnie powtarzanym patencie. Wypełniony przebojami płytowy debiut „Król Latino" z 2024 r. jako pierwszy album w Polsce zyskał status diamentowej płyty już pierwszego dnia sprzedaży (150 tys. egzemplarzy, w co wliczają się również wpływy ze streamingu).

Kanistry z kasiorką

Skolim w końcu trafił w swój moment – latynoskie inspiracje pozwoliły mu się wyróżnić na tle innych wykonawców disco polo, a jednocześnie sprawiły, że jego twórczość nie różniła się specjalnie od wakacyjnych przebojów gwiazd polskiego rapu, równie chętnie sięgających po królujący za oceanem reggaeton. Dla nich współpraca z twórcą kojarzonym z disco polo – jeszcze dekadę wcześniej środowiskowe harakiri – przestała być obciachem.

Do wspólnych utworów zaprosiły go takie tuzy jak Tede czy Mata, a na stadionowym koncercie tego ostatniego na PGE Narodowym gościnny występ Skolima spotkał się z entuzjazmem rapowej publiczności. Skądinąd sam Skolim stale współpracuje z duetem producenckim CrackHouse, z którego usług chętnie korzysta lokalna rapowa czołówka, od Young Leosi i Żabsona, przez Malika Montanę, aż po Peję.

– *Miałem wrażenie, że kiedyś hip-hop, przynajmniej taki, który kocham, był w opozycji do takiej muzyki, czasem wręcz z niej szydził. Ale czasy się zmieniły, pytanie, czy zmieniły się też gusta twórców i słuchaczy, czy po prostu chodzi o szmal? Obstawiałbym, że to drugie, ale przecież nie siedzę w ich głowach* – mówi Wini, od dekad związany z hiphopowym środowiskiem twórca internetowy i (okazjonalny) raper.

Poza światem hip-hopu Skolima przyjął też muzyczny mainstream: występuje u boku Justyny Steczkowskiej, Cleo czy Blanki. Nie zapomina przy tym o korzeniach – jednym z przebojów tego lata jest jego wspólny utwór z Zenkiem Martyniukiem „Love", w momencie pisania tego tekstu najszybciej zdobywający popularność polski teledysk na YouTube.

Ale płyty powstają głównie po to, żeby grać. Na koncerty zajeżdża z zespołem furgonetka z gadżetami, tzw. skolimbus. Sprzedaż – obwoźna, internetowa, stacjonarna – to istotny element „przedsiębiorstwa Skolim". I coś więcej niż tradycyjny gwiazdorski „merch", jak się określa gadżety sprzedawane przy okazji koncertów, głównie torby, kubki i koszulki. U Skolima można ▶

eprasa.pl a53f7da89d

▶ się i ubrać, i wypachnić (o własnych perfumach marzył ponoć od zawsze), kupić cały styl życia i zapakować do walizki z logo artysty. Sprzedaje też kanistry na benzynę. Różowe.

Kanister nie jest przypadkowy. Skolim ma własną stację benzynową w Czeremsze (Podlasie), kolejna otwiera się za chwilę w Olecku (Mazury), będą następne. W sieci wyjawił, że za pierwszym razem ten interes kosztował go ok. 4 mln zł i choć ceny ma niższe niż konkurenci, to i tak ponoć nie dokłada do biznesu. Marże na rynku wynoszą średnio 50/60 gr na litr. U Skolima to jest jeden grosz. „Samo zatankowanie takiej stacji to jest 1 mln zł, wyobrażasz sobie to?", perorował na TikToku.

– *Pan Skolim dobrze zrozumiał, że stacje zarabiają na tym, co się sprzedaje poza paliwem, bo tam marża jest największa: jedzenie, napoje* – wylicza Jakub Wiech, redaktor naczelny portalu Energetyka24.com. – *Kanistry sygnowane jego logo kosztują ok. 40 zł, a w hurcie to kilka złotych albo kilkadziesiąt groszy. Tu jest zarobek.*

Skolim wstrzelił się też w moment kryzysu paliwowego. – *Kreuje się na Robin Hooda* – mówi Wiech. – *Ale nawet gdyby miał kilka stacji, to na rynek paliw istotnie nie wpłynie. A gdyby był prezesem Orlenu, nie mógłby dyktować takich cen. To nie tak, że Skolim zostanie teraz głównym dystrybutorem paliw w Polsce, skala jego działalności jest nieduża. To jest naprawdę aż i tylko godna podziwu akcja marketingowa. Jestem wielkim fanem tej pomysłowości.*

Otwarcie stacji wymaga i olbrzymiego kapitału, i koncesji (jedno z najbardziej restrykcyjnych praw w Polsce dotyczy właśnie sektora paliw), dlatego zwykły Kowalski w taki interes raczej nie wchodzi. Nie opłaca się. Ale Skolim ponoć nie zaprząta sobie głowy kosztami – za remiksy piosenek i występy gościnne też nie każe sobie płacić. Zamiast drobiazgowo się rozliczać, nadrabia ilością i w całym kraju zostawia swój różowy stempel z palemkami, czasem wielki jak owa stacja w Czeremsze czy Budynek Skolimowy („oficjalny stacjonarny butik") w Mińsku Mazowieckim. To jeszcze jedno miejsce, w którym można kupić autorskie gadżety.

Mama menedżer

„To, co ten chłopak wyprawia, to absolutny kosmos i gotowy materiał na case study na studiach MBA z marketingu" – zachwyca się w socialach Wojtek Kardyś, ekspert m.in. w dziedzinie digital marketingu. Jego zdaniem Skolim bezbłędnie wyczuwa społeczne nastroje i potrzeby. Paliwo drożeje – to zakłada stację, jak wyżej. Jest sezon na grilla – to nawiązuje współpracę z firmą JBB Bałdyga i sprzedaje kiełbasę swojego imienia (m.in. Skolimki, czyli parówki). Jest upalnie – tworzy serię lodów z własną twarzą na opakowaniu. W Międzyzdrojach, gdzie gra w sierpniu sześciokrotnie, ma pensjonat z apartamentami na wynajem. Ceny w Willi Drako nieopodal plaży też są konkurencyjne, choć – jak czytamy w opiniach na Booking.com – parking jest dodatkowo płatny. Za to goście otrzymują darmowe próbki skolimowych perfum.

Ściśle rzecz biorąc, interesy Skolima obsługuje Es Artmusic sp. z o.o. z niejaką Edytą Skolimowską w roli prezesa. Menedżerką Skolim nazywa swoją mamę Marię („Moja mama trzyma tę kasiorę. Mam mamę menedżera, ja to po prostu gram"), polonistkę z zawodu, innym razem mówi, że kluczowe decyzje podejmuje głównie z ojcem Sylwkiem. W sieci i na koncertach częściej pokazuje się jednak z babcią Grażyną. „Była chyba pierwszą osobą, do której chodziłem po kasiorę – czy to na chipsy, czy to na instrument muzyczny", mówił w „Pytaniu na Śniadanie", a babcia stała obok dumnie: „jak można go nie kochać?". Ona i nieżyjący już dziadek (grał na saksofonie) zaszczepili w nim ciekawość świata i pasję muzyczną. Wspólnie też kolędowali.



Skolim ma własną stację benzynową w Czeremsze (Podlasie), kolejna otwiera się za chwilę w Olecku (Mazury), będą następne.

Skolim nie czuje się biznesmenem, biznes kręci się de facto sam. Bliscy doglądają interesów, on tylko „wizytuje i robi sobie zdjęcia z ludźmi". Przybija piątki, pozuje do selfie, więcej nie musi. – *Pan Skolim dobrze wyczuł pieniądz. Potrafi tak monetyzować, że mogliby go wziąć na stanowisko eksperta do banku centralnego* – mówi Judyta Sierakowska, reporterka, socjolożka, autorka książki „Nikt nie słucha. Reportaże o disco polo". – *Można sobie dworować, ale coś w tym jest: latino i disco polo to doskonała w swej prostocie kombinacja generująca zyski.*

To sprawdzony model pracy discopolowca, Skolim ma po prostu większy rozmach. – *Discopolowcy mają swoje studia nagrań, nabywają kolejne nieruchomości, pensjonaty, kluby, restauracje...* – wylicza Sierakowska. – *Dbają o siebie i swoje rodziny. Często po cichu, na swoich warunkach. Nie gwiazdorzą, nie są roszczeniowi, sodówka nie odbija, koncertują do upadłego, a zarobione pieniądze inwestują.*

To „do upadłego" ostatnio Skolim pokazał dosłownie: na koncercie w Rewalu spadł ze sceny, występ dokończył na siedząco, a jeszcze tego samego dnia, poobijany, zagrał dla widzów w Międzyzdrojach. Mniejsze miasta to klucz do jego sukcesu. Kardyś: „Skolim zrobił coś, co większości ludzi z branży showbiz nie przyszło do głowy – całkowicie »olał« Warszawę i duże metropolie. Zamiast bić się o ułamek uwagi w wielkich miastach, przejął pozostałe 80 proc. Polski".

A jeśli akurat nie gra, to zostają lody i parówki. Kiedy Skolim prezentuje w sieci swój kolejny pomysł czy biznes, nieżyczliwi piszą, że już im wyskakuje z lodówki, ale przeważają komentarze w tonie: „Jak miło patrzeć i słuchać o tym, że młody człowiek tak potrafi radzić sobie w życiu". Etos pracy to element tej mitologii, imponującej dla równolatków i milenialsów wychowanych w kulcie dorabiania, z drugiej strony inspirującej dla zetek.

Pracowitość, patriotyzm i „dbałość o dobro ojczyzny" to kluczowa triada naszych narodowych cech, jak wynika z tegorocznych badań CBOS „Autostereotyp Polaka". Skolim w pewnym sensie go uosabia: wyczuwa klimat, zachwalając polskie miasta, co rusz powtarza, że „promuje to, co nasze: polskie produkty, polskie firmy, polskich przedsiębiorców i osiedlowe sklepy", w których też regularnie składa wizyty. „Gdybym chciał otworzyć piekarnię, to myślę, że byłby to najlepszy polski chlebek i też by to zajebiście szło" – mówił bez fałszywej skromności w podkaście Daniela Nawrockiego (syn prezydenta nie ukrywa, że jest fanem Skolima). Patriotyzm konsumencki to jeszcze jedna czuła struna, którą porusza w narodzie.

eprasa.pl a53f7da89d

A sztuka ma się bronić sama i zwracać. Dlatego Skolim kpi publicznie z ustawy o ochronie socjalnej dla artystów: „Domagają się emerytur, a dzieci oczekują na zbiórki – mówił w social mediach w transmisji na żywo. – Państwo polskie nie ma na zbiórki. Artyści: albo ci starzy przechlali całą karierę, przeje...ali, albo ci młodzi robią taką ch...wą muzykę czy obrazy, że nikt tego nie chce oglądać, a domagają się naszych pieniędzy. (...) Jak mają nasze pieniądze iść, to na dzieci, na drogi, a nie na jakieś k...y i ćpunów".

Również w tej deklaracji można się doszukać biznesowego zmysłu Skolima i jego ekipy. – *Miałem wrażenie, że ta jego wypowiedź to po prostu część akcji promocyjnej – zbiegła się akurat z premierą jego kiełbas* – dodaje Wini. – *Skolim dobrze wie, do kogo mówi i jakiego języka użyć. Dla mnie artysta to osoba, która ma permanentną potrzebę tworzenia z serca. Nie wiem, czy taką ma Skolim, jeżeli ma, to dla mnie jest artystą.*

Musi mieć odchylone

Skolim jest prostolinijny i swojski jak disco polo. Idealnie się składa. Według ostatniego badania CBOS analizującego popularność tego gatunku (z 2018 r.) najwięksi fani disco polo są też najbardziej skłonni do wyrażania dumy z polskości. Co więcej, aż 56 proc. właścicieli firm przyznawało się do sympatii dla tego gatunku. „Ja się na takiej muzyce wychowałem", mówił Skolim, patriota i biznesmen, w rozmowie z Nawrockim juniorem. A pod podobną deklaracją mogłaby się podpisać duża część jego słuchaczy, choć przez mgłę pamiętających discopolową hossę lat 90.

Przeboje sprzed dekad pokryła szlachetna patyna nostalgii, młodsi twórcy chętnie dziś eksplorują ironiczny potencjał gatunku, jak w przypadku memicznego „Mandaciku" Zenka i Łobuzów. A debiutantów kusi niski próg wejścia – na start wystarczy mikrofon, darmowy program do tworzenia muzyki i odrobina talentu – i nieskończone zapotrzebowanie płynące ze strony organizatorów dni miast czy dożynek, dla których disco polo to gwarancja dobrej zabawy. „No przyznaj, że na tym Skolimie bawisz się najlepiej" – zaczepia krytyków Skolim w jednym z wywiadów. – *Disco polo znikąd nie wraca* – twierdzi zresztą Judyta Sierakowska. – *To nie zagubiony Odyseusz. Ono cały czas jest, ma swoje stacje muzyczne, radiowe, miliony wyświetleń, bawi na festynach, daje optymistyczne teksty i robi przynoszący zyski biznes.*

Nie dziwi więc, że przez disco polo do polskiego serca próbowali się wkraść politycy – wyborców Aleksandra Kwaśniewskiego w 1995 r. zagrzewał przebój Top One „Ole, Olek". A protesty, jakie w wielkomiejskich bańkach budziły regularne występy discopolowców w TVP Jacka Kurskiego, łatwo było obrócić w symbol odrealnienia liberalnych elit – jak pamiętny wpis Hanny Lis, zrównującej sylwestra z disco polo z mordowaniem polskiej inteligencji przez sowietów i nazistów.

Sam Skolim od wielkiej polityki na razie trzyma się z daleka. Jeśli już okazuje ideologiczne sympatie, to raczej kierując się „drogą środka" w stylu Krzysztofa Stanowskiego – do prezydenta Nawrockiego ma „wielki szacunek", bo mimo kibolskiej przeszłości zrobił doktorat i wyszedł na prostą. Jednocześnie nie ma problemu z występami w klubach dla społeczności LGBT+, a po koncercie chętnie zamieni dwa zdania po ukraińsku z fankami ze Wschodu.

„Skolim, jesteś młodym człowiekiem, ale z życiową mądrością" – pisze w komentarzach na YouTube pan Wiesław, a pani Barbara dodaje: „Mam 76 lat i coraz bardziej lubię tego Skolima. Jak pierwszy raz go usłyszałam, to myślałam, że musi mieć odchylone, no bo ta muza jest nie moja. Ale człowiek, no, piękny".

– *Podkreślam* – dodaje Sierakowska – *że właśnie tacy są prawdziwi discopolowcy: bliski kontakt z fanami, dostępność, lojalność. Słuchacze odwdzięczają się tym samym. Tak jest w disco polo, tak jest z latino. Pamiętam, jak niespełna dekadę temu jechałam rozklekotanym autobusem przez Salwador. Upał, rozwalone siedzenia, ale nad głową kierowcy był zamontowany telewizor i na pełnej mocy leciały przeboje latino, a cały autobus śpiewał. Zastanawiałam się, kiedy zawita to do nas, i objawiło się w postaci Skolima.*

Ten w wywiadach deklaruje półżartem, że ma już plany na kolejne 35 lat – co roku kilka wakacyjnych hitów, współpracę z artystami z Polski i zagranicy. I bicie kolejnych rekordów, jak zagranie w sylwestrowy wieczór w trzech telewizyjnych stacjach jednocześnie. Niemożliwe? W skolimowym słowniku takie słowo nie występuje.

MICHAŁ KLIMKO, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© SHUTTERSTOCK

REKLAMA



eprasa.pl a53f7da89d



Sztuczna inteligencja na dobre rozgościła się w przemyśle filmowym. Hollywood zobaczyło w AI przyszłość rozrywki.

„Kemal"

Kino etycznego niepokoju

JAKUB DEMIAŃCZUK

Zmianę podejścia Hollywood do kwestii korzystania z generatywnych systemów sztucznej inteligencji można – z niewielką tylko przesadą – porównać do sytuacji politycznej w Stanach Zjednoczonych. O ile pierwsza kadencja Donalda Trumpa często wywoływała opór wielkich korporacji i big techów, o tyle w drugiej – gdy się okazało, że lokator Białego Domu nie uznaje żadnych sensownych ograniczeń w prowadzonej przez siebie polityce – najwięksi magnaci amerykańskiego biznesu zaczęli składać mu czołobitne hołdy i podlewać dolarami jego administrację. Po co zadzierać z władzą, skoro uległość może się opłacić politycznie i finansowo?

Relacje Hollywood ze sztuczną inteligencją wyglądały podobnie: najpierw dystans i ostrożna neutralność, dziś akceptacja, a w wielu przypadkach ochocza współpraca studiów i twórców z dostawcami systemów sztucznej inteligencji.

Niewinne początki

Jeszcze dwa lata temu dość poważnie dyskutowano o tym, że użycie AI przez Brady'ego Corbetta przy pracy nad „Brutalistą" może zaszkodzić oscarowym szansom filmu. A chodziło o rzecz z dzisiejszego punktu widzenia niewinną – dzięki korzystającemu ze sztucznej inteligencji oprogramowaniu ukraińskiej firmy Respeecher wypowiadane przez grającego główną rolę Adriena Brody'ego kwestie w języku węgierskim miały brzmieć bardziej naturalnie. Jak bardzo może to być istotne, wie każdy widz w Polsce, który wsłuchiwał się w koślawą ekranową polszczyznę Meryl Streep czy Michaela Fassbendera.

Do szerszego dyskursu nie przebiła się wówczas znacznie bardziej niepokojąca informacja: że część architektonicznych projektów w filmie Corbetta została najpierw wygenerowana w programie Midjourney, korzystającym z generatywnej sztucznej inteligencji. Zrozumiałe oburzenie wywoływała za to aplikacja, która mogła zamienić dowolne zdjęcie w grafikę inspirowaną dziełami studia Ghibli lub Pixara. A fanów Marvel Cinematic Universe zirytowała czołówka serialu „Tajne wojny" zrealizowana z użyciem AI.

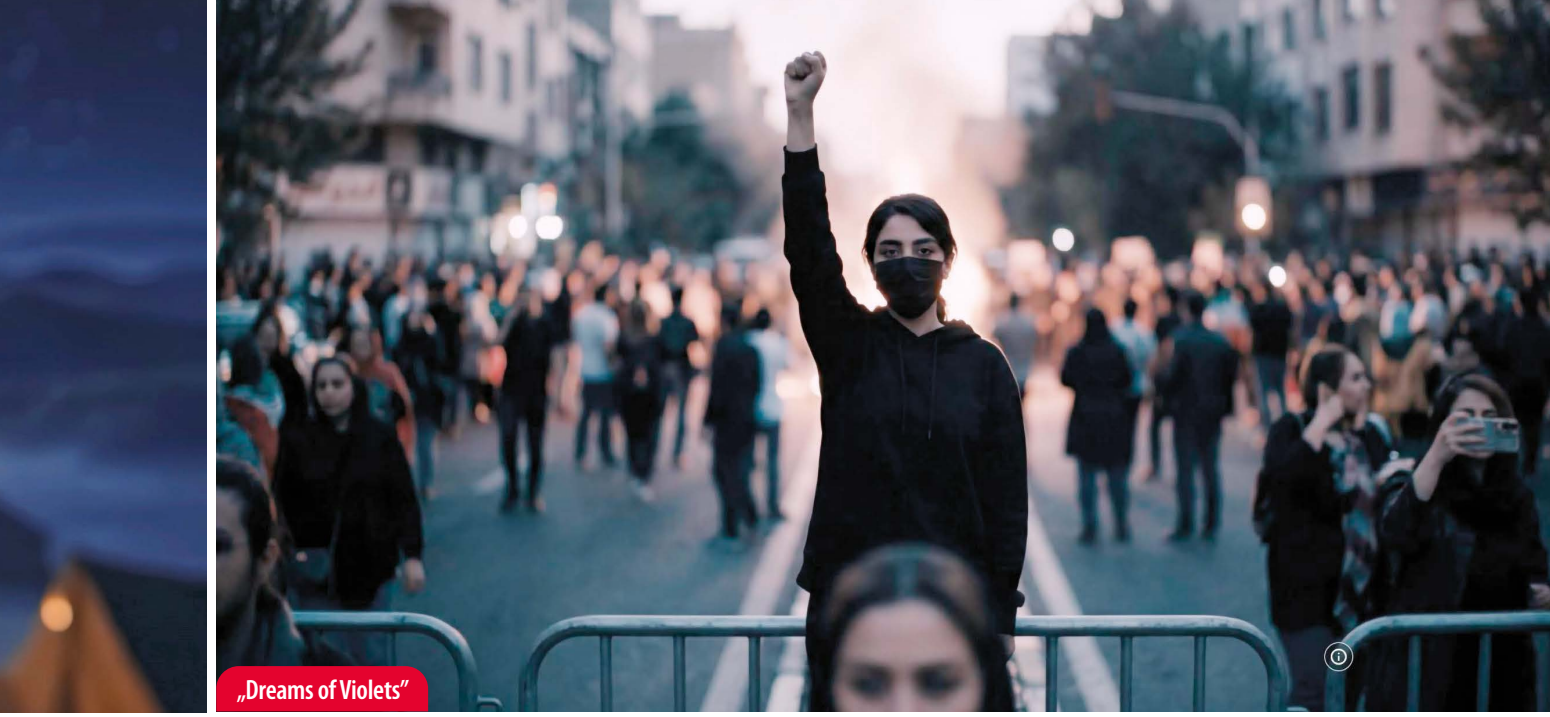
Kilkanaście miesięcy później jesteśmy w zupełnie innym miejscu, a gwałtownie rozwijająca się technologia AI jest już nie tylko narzędziem, lecz także umożliwia realizację pełnometrażowych filmów pokazywanych na festiwalach filmowych. Znakomici twórcy, od Darrena Aronofsky'ego i Stevena Soderbergha po Martina Scorsesego i Stevena Spielberga, używają sztucznej inteligencji na różnych etapach realizacji swoich filmów lub nawiązali współpracę ze start-upami oferującymi rozwiązania AI. George Lucas w jednym z wywiadów porównywał przeciwników AI do ludzi, którzy na początku XX w. protestowali przeciw samochodom. „To jest przyszłość – mówił. – Nic z tym nie możecie zrobić". Niezależne studio A24, w ostatnich latach seryjnie zgarniające Oscary (m.in. za „Wszystko wszędzie naraz", „Strefę interesów" i „Brutalistę") nawiązało współpracę z Google przy rozwijaniu nowych technologii AI przydatnych do realizacji filmów. To wszystko niekoniecznie podoba się widzom, ale podoba się inwestorom, którzy śmiało mogą zignorować głosy oburzenia.

Jednoosobowe studio

Ale o czym w ogóle mówimy, gdy zastanawiamy się nad obecnością sztucznej inteligencji w kinie? Czy grozi nam zalew sztucznych filmów z nieistniejącymi aktorami? Produkcji bez wartości tworzonych przez LLM, czyli wielkie modele językowe, takie jak ChatGPT czy Sora, które na podstawie zadanych promptów generują obrazy i filmy? A może AI rzeczywiście jest użytecznym narzędziem, które można wykorzystać nie tylko do tworzenia deepfake'ów i tandetnych reklam?

„Takiego filmu nie dałoby się nakręcić bez sztucznej inteligencji" – mówił brytyjski reżyser irańskiego pochodzenia Ash Koosha przy okazji premiery swojego filmu „Dreams of Violets"

eprasa.pl a53f7da89d



„Dreams of Violets"

na nowojorskim festiwalu Tribeca. Obraz w całości został wygenerowany przez AI (choć scenariusz napisał sam Koosha, jedynie podkręcając gotowy tekst z użyciem chatbota Claude) i opowiada o masakrze cywili, jakiej dopuściła się reżimowa armia irańska w styczniu tego roku. Produkcja filmu – fabuły, a nie dokumentu, choć podstawą scenariusza były doniesienia medialne i relacje naocznych świadków – zajęła raptem kilka miesięcy i kosztowała ponoć zaledwie... 2 tys. dol.

Recenzje były, delikatnie mówiąc, niezbyt przychylne. „Narzędzia generatywnej sztucznej inteligencji pozwoliły reżyserowi stworzyć coś głęboko niepokojącego, praktycznie bez refleksji nad tym, jaki wpływ może to wywrzeć na odbiorców. Jeśli tak bardzo zależało mu na opowiedzeniu o tym, co dzieje się w Iranie, miał do dyspozycji wiele innych możliwości, które nie wymagałyby wrzucania materiałów przedstawiających łamanie praw człowieka do maszyny naruszającej prawa autorskie w celu wygenerowania czegoś na kształt masakry" – pisał zdegustowany krytyk serwisu AV Club, dodając, że produkcja Kooshy to obraza zarówno dla filmowców, jak i dla prawdziwych ofiar irańskiego reżimu. Reżyser bronił swojej decyzji artystycznej, podkreślając, że sam nie jest entuzjastą filmów realizowanych za pomocą AI. „Wszystko, co do tej pory powstało dzięki AI, jest okropne. Obrzydza mnie. Boli mnie od tego głowa" – mówił w wywiadzie dla dziennika „The Guardian" i dodawał, że twórcy AI slopu „chcą, żeby widzowie przyzwyczaili się do tych śmieci".

Pomijając etyczne zastrzeżenia krytyków, zarzucających Kooshy żerowanie na cierpieniach Irańczyków, „Dreams of Violets" kumuluje w sobie wszystkie problemy związane z używaniem generatywnych systemów sztucznej inteligencji. Od czerpania z cudzej własności intelektualnej (systemy AI „karmią się" przecież już istniejącymi tekstami kultury) bez płacenia za prawa autorskie po eliminację miejsc pracy. Koosha, jeśli nie liczyć finansowego wkładu współproducentów, zrobił film w zasadzie w pojedynkę. Nie korzystał nawet z aktorów dubbingowych, głosy postaci nagrał sam i później je przetwarzał, używając oczywiście narzędzi AI. „Dreams of Violets" zrealizowane jako film aktorski czy animacja komputerowa wymagałyby budżetu rzędu kilkudziesięciu milionów dolarów (lub większego), wielomiesięcznej pracy oraz zatrudnienia kilkuset osób – od aktorów i statystów po cały pion techniczny.

Koosha przewiduje, że AI zmieni cały biznes filmowy: „Nie sądzę, żeby Christopher Nolan nakręcił kolejny film za 300 mln dol. To już nie będzie mieć sensu. Każdy reżyser sam będzie tworzyć własne studio filmowe". ▶

© MATERIAŁY PRASOWE (2)

REKLAMA

ŚWIAT OPERY I TEATRU Podróże pod patronatem prasowym Tygodnika ANGORA

BUDAPESZT
Stolica wód termalnych i perła Dunaju
WESELE FIGARA
W.A. Mozarta
Węgierska Opera Państwowa
Samolot, 4* hotel z basenem termalnym na Wyspie Małgorzaty; program zwiedzania: Budapeszt i Szentendre
18 – 21 września 2026

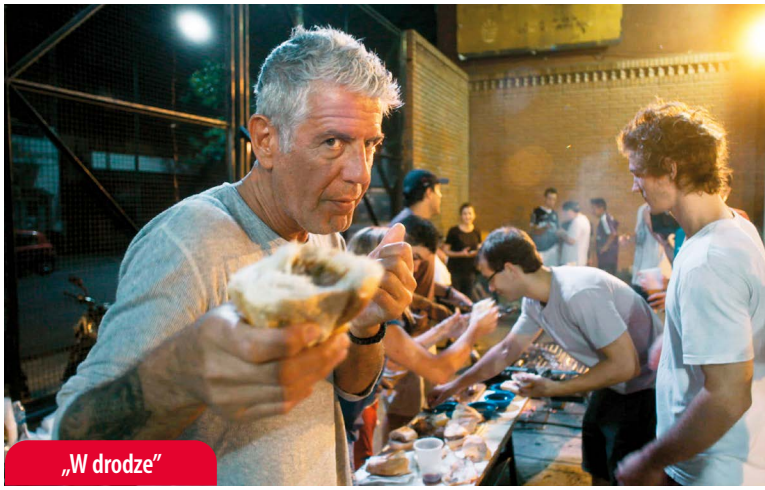
MEDIOLAN
LA SCALA
TRAVIATA
Giuseppe Verdiego
Samolot, 4* hotel; program zwiedzania: m.in. fresk „Ostatnia wieczerza", Katedra Mediolańska, Muzeum Mody Armani
2 – 4 października 2026

Informacja: GRAND TOUR, Łódź ul. Piotrkowska 123, tel. 42 632 06 47, www.grandtour.com.pl

eprasa.pl a53f7da89d



„John Lennon: Ostatni wywiad"


„W drodze"

▶ Nolan może, przynajmniej na razie, czuć się bezpieczny. Gigantyczny sukces „Odysei" – zwłaszcza jeśli zostanie potwierdzony nominacjami do Oscarów – zapewni mu finansowanie kolejnej superprodukcji. Wielu twórców wciąż wyraźnie deklaruje, że podczas realizacji filmów nie ma zamiaru korzystać z systemów sztucznej inteligencji. Guillermo del Toro w publicznych przemówieniach wzywał wprost: „Fuck AI". A Kane Parsons, autor przebojowego horroru „Backrooms", na wieść o umowie studia A24 (które ma prawa do filmu i już zapowiedziało kolejne części hitu), zapewniał, że na jego metodę pracy to nie będzie miało wpływu, a on sam najchętniej wyłączyłby całą sztuczną inteligencję.

Sztuka odmładzania

Filmów wygenerowanych za pomocą AI, także pełnometrażowych, powstaje jednak coraz więcej. Nie tylko w Stanach Zjednoczonych i Chinach, lecz także na Białorusi i w Turcji (gdzie zrealizowano m.in. pełnometrażową animację „Mustafa Kemal" o uczniach, którzy przenoszą się w czasie i spotykają Atatürka). W zdecydowanej większości to wytwarzany naprędce *slop*, desperacka i złodziejska próba zarobienia paru groszy na cudzej popularności (nieprzypadkowo wiele „sztucznych" filmów przypomina produkcje Pixara).

Jednocześnie twórcy korzystający z LLM coraz częściej traktują swoje cele poważnie. Chcą korzystać z możliwości ożywienia na ekranie własnej wizji, bo wbrew stereotypowej opinii stworzenie i dopracowanie filmu wymaga czegoś więcej niż wklepania do aplikacji kilkudziesięciu czy kilkuset poleceń. A technologiczni giganci z tego korzystają. Powstaje coraz więcej festiwali poświęconych wyłącznie filmom tworzonym w AI (pisaliśmy o tym w POLITYCE 34/25), a Google przyznaje swoją AI Film Award. W tym roku grant w wysokości miliona dolarów zdobył tunezyjski reżyser Zoubeir Jlassi za animację „Lily".

Zdecydowana większość filmowców korzysta jednak ze sztucznej inteligencji nie po to, żeby tworzyć filmy od zera, lecz by wzbogacać gotowy materiał w postprodukcji: dodawać efekty specjalne, uzupełniać tła, „odmładzać" aktorów, multiplikować postacie w wielkich scenach zbiorowych. Już Peter Jackson we „Władcy Pierścieni" korzystał z oprogramowania AI (choć dalekiego od dzisiejszych modeli językowych), by kreować ekranowe bitwy z udziałem wielkich armii elfów, ludzi i orków. W „Irlandczyku" Martina Scorsesego i „Here. Poza czasem" Roberta Zemeckisa używano sztucznej inteligencji w scenach retrospektywnych. Dzięki temu gwiazdorzy tacy jak Robert De Niro czy Tom Hanks mogli grać młodsze wcielenia swoich postaci. Zemeckis sięgnął również po system Respeecher, by odmłodzić głosy bohaterów. Z tego samego oprogramowania korzystali twórcy seriali ze świata „Gwiezdnych wojen", by (za zgodą aktorów grających w oryginalnych filmach) odtwarzać głosy Luke'a Skywalkera i Dartha Vadera.

Niektórzy dokumentaliści używają sztucznej inteligencji, by uzupełnić lub animować archiwalne zdjęcia bądź odtworzyć głos nieżyjących już osób. Z tych rozwiązań korzystali m.in. Peter Jackson w „I młodzi pozostaną", korzystającym ze zdjęć i nagrań z czasów pierwszej wojny światowej oraz Morgan Neville, który w filmie „W drodze" imitował głos nieżyjącego już wtedy Anthony'ego Bourdaina. Czasami jednak efekty są znacznie bardziej kontrowersyjne. Steven Soderbergh w dokumencie „John Lennon: Ostatni wywiad" ilustrował wypowiedzi eksbitelsa animacjami stworzonymi przez AI, czym dowodził jedynie, że ma znacznie gorszą wyobraźnię niż bohater jego filmu.

Możliwości wykorzystania AI jest coraz więcej, lecz wątpliwości nie znikają. Bo podstawowe pytanie, jakie trzeba sobie zadać, brzmi: czy to wszystko jest etyczne? A odpowiedź jest jednocześnie prosta i skomplikowana. AI żeruje na tym, co stworzyli inni, a wielkie korporacje, które stoją za rozwojem LLM, nie słyną z poszanowania prawa autorskiego. Ich młyny mielą wszystko, co trafiło do sieci – w przytłaczającej większości przypadków bez zgody właścicieli praw – lecz także digitalizują na własne potrzeby fizyczne nośniki.

Przyszłość, która nadeszła

Niedawno amerykańskie media donosiły, że Anthropic (który stworzył m.in. LLM Claude) oraz inne firmy na masową skalę skupowały z antykwariatów książki, by je skanować i „karmić" nimi swoje modele AI. Wykorzystane woluminy, także unikatowe wydania i starodruki, trafiały potem na przemiał. „Wiszą nad nami jak miecz Damoklesa nierozwiązane kwestie prawne. Wiele związków zawodowych i organizacji (w Polsce m.in. Gildia Scenarzystów Polskich, SFP i ZAPA) walczy o tantiemy dla twórców, których dzieła zostały bezprawnie użyte do wytrenowania dużych modeli językowych (czyli AI). (...) Abstrahując od narzędzi do tworzenia warstwy wizualnej, to wciąż, korzystając z ChatGPT, Claude czy Perplexity, nie mamy gwarancji, że te algorytmy zostały stworzone bez nielegalnie wykorzystanej własności intelektualnej" – pisał na łamach „Magazynu Filmowego" Marek Mardosewicz, jeden z czołowych polskich twórców treści

eprasa.pl a53f7da89d



„Lily”

© MATERIAŁY PRASOWE (2), BE&W

AI (ma w dorobku m.in. krótki dokument „Zobaczyć człowieka – Andrzej Wajda”, ożywiający archiwalne zdjęcia autorstwa Czesława Czaplińskiego, zrealizowany za zgodą fotografa).

Lecz nawet uregulowanie kwestii prawnych, które dziś wydaje się nierealne, nie rozwiąże wszystkich etycznych wątpliwości związanych z AI, i to nie tylko tych dotyczących kosztów środowiskowych i społecznych, jakie niesie ze sobą korzystanie z LLM czy budowanie kolejnych gigantycznych centrów danych.

Reżyserów czy wykonawców sztuczna inteligencja prędko nie zastąpi. Sztuczna „aktorka” Tilly Norwood nie stanie się gwiazdą na miarę Sydney Sweeney czy Zendayi, choć jej pojawienie się w przestrzeni medialnej wywołało sporo zamieszania, łącznie z wezwaniami do bojkotu agencji aktorskiej, która „podpisała” z nią umowę na wyłączność. To wciąż ciekawostka i pokaz technologicznych możliwości LLM, a nie realne zagrożenie dla aktorów. Przynajmniej tych popularnych, bo już tysiące statystów i epizodystów może się niepokoić. Zresztą coraz więcej gwiazd zdecyduje się sprzedać prawa do swojego wizerunku i głosu korporacjom AI z nadzieją, że zachowają kontrolę nad ich wykorzystaniem.

Prawdziwe zagrożenie sztuczna inteligencja niesie jednak twórcom pionów technicznych: specjalistom od efektów komputerowych i postprodukcji dźwięku i obrazu, kolorystom, twórcom plakatów, a nawet specom od marketingu. W większości przypadków nie chodzi o nowe technologiczne możliwości, jakie daje AI, lecz o cięcie kosztów realizacji – z jednej strony przez ograniczenie zatrudnienia, z drugiej poprzez przyspieszenie cyklu produkcyjnego.

Niewykluczone, że Lucas, widząc w AI przyszłość, miał rację. Sztuczna inteligencja, zwłaszcza jeśli na międzynarodowym poziomie zostaną uregulowane kwestie praw autorskich, stanie się kolejnym narzędziem produkcji filmów, jak kiedyś kamery cyfrowe czy komputerowe efekty specjalne. To publiczność zdecyduje, czy będzie chciała oglądać filmy w całości wygenerowane przez LLM, czy jednak woli tradycyjne kino, w którym udział technologii AI będzie niedostrzegalny. Zapewne artyści tacy jak Guillermo del Toro czy Christopher Nolan za kilka, kilkanaście lat będą na rynku mniejszością, choć być może nawet oni – niczym XIX-wieczni luddyści – będą się musieli pogodzić z nową rzeczywistością.

JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA



ORGANIZATORZY
Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Łazienki Królewskie
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
PARTNER GŁÓWNY Lotto
MECENAS ORLEN
PARTNER G City
Perlage Arte Foundation
Perlage
poleca POLITYKA

eprasa.pl a53f7da89d

Jestem krnąbrny



Ludzie przestali czytać, a wszyscy piszą. Nikt nie słucha, wszyscy mówią. To jest niebezpieczne – mówi Wilhelm Sasnal, malarz, twórca filmowy, laureat Nagrody Rubensa.

PIOTR SARZYŃSKI: **– Ostatnio dwukrotnie przypomniał się pan swoim miłośnikom i w ogóle rodakom. Po raz pierwszy, gdy pojawiła się informacja o przyznaniu panu bardzo prestiżowej Nagrody Rubensa. Czym ta nagroda jest dla pana? Kolejnym medalem na piersi czy wyróżnieniem z konsekwencjami: ciekawymi nowymi propozycjami wystaw i wydawnictw, zwiększonym popytem na rynku sztuki itp.?**

WILHELM SASNAL: – Ta nagroda wiąże się z wystawą w muzeum w Siegen, mieście urodzenia Rubensa, gdzie znajduje się kolekcja prac dotychczasowych laureatów i wydaje mi się, że to akurat jest najciekawsze. Czyli fakt, że znalazłem się w gronie istotnych artystek i artystów ważniejszych dla mnie niż sam Rubens. Śmieszne, że w Polsce zrobiono z tego jakiś wiral, podkreślając na każdym kroku, że „pierwszy Polak" itd. To przecież nie są jakieś narodowe wyścigi, ale nagroda dla twórcy z Europy.

Ostrożnie, bo zaraz usłyszy pan, że nie jest patriotą.

Bo w głębi serca jestem kosmopolitą. Dlatego też nie ciekawi mnie specjalnie reprezentowanie kraju na Biennale Sztuk w Wenecji, ideę narodowych pawilonów uważam za zupełnie niewspółczesną. No i to słowo „narodowy"...

I w ten sposób, niejako naturalnie, przechodzimy do drugiego tematu związanego z panem, który budził ostatnio sporo emocji. Myślę o wypowiedzi na temat Izraela jako „jądra ciemności". No, nie wszystkim się to spodobało.

Nie mam kont na socjalach, ale od żony wiem, że Jan Hartman się zezłościł. Każdy kieruje się swoim azymutem moralnym, a dla mnie wartość życia Palestyńczyka

Wilhelm Sasnal (ur. 1972 r.) – malarz i reżyser filmowy. Jeden z czołowych polskich artystów współczesnych. Jego prace pokazywano m.in. w nowojorskim MoMA, londyńskiej Tate Modern czy paryskim Centre Pompidou. W Polsce ostatnio w Muzeum POLIN (wystawa „Taki pejzaż", 2021 r.). Wspólnie z żoną Anną tworzy filmy, ostatnio „Człowieka do wszystkiego", wcześniej m.in. „Z daleka widok jest piękny" (2011 r.) oraz „Słońce, to słońce mnie oślepiło" (2016 r.). Laureat nagrody Kreator Kultury, przyznawanej przez POLITYKĘ za całokształt twórczości. W lipcu ogłoszono, że jest też kolejnym laureatem wręczanej co pięć lat prestiżowej europejskiej Nagrody Rubensa. Wśród jego poprzedników są Francis Bacon, Lucian Freud, Miriam Cahn i Sigmar Polke.

© ANNA AMAROWICZ

eprasa.pl a53f7da89d

i Izraelczyka jest taka sama. Dlatego przed nikim nie będę się tłumaczyć, a nawet powtórzę, że Izrael to jądro ciemności, to kraj, który dokonał ludobójstwa na ludności palestyńskiej.

Tak czy inaczej, wielu ta wypowiedź zszokowała, bo dobrze wiadomo, jak uważnie i konsekwentnie pochylał się pan od lat nad tematyką Holokaustu czy historią Żydów polskich.

I tutaj nic się nie zmieniło. A na to, że izraelscy nacjonaliści wykorzystują to do własnych celów, nie mam wpływu. Zresztą wraz z Anką (żona malarza, reżyserka i scenarzystka tworząca z nim w duecie filmy – przyp. red.) bardzo często jeździliśmy do Izraela. Ten kraj, zbudowany przede wszystkim przez przybyszów z Europy Środkowo-Wschodniej, zauroczył mnie, bo widziałem w nim taką alternatywną historię Polski, bez nacjonalizmu. Więc tę romantyczną wizję nosiłem w sobie podczas tych wszystkich pobytów w Izraelu. I nie odbierałem sygnałów, które powinny być dla mnie ostrzeżeniem. Podam przykład: powrót z Zachodniego Brzegu do Jerozolimy przez punkt kontrolny, przez który przechodzą wyłącznie Palestynki i Palestyńczycy, okazyjnie turyści, jak my wtedy – metalowe klatki, wąskie przejścia jak do segregacji bydła. Kontrolowała nas młoda Żydówka, trzymając lekceważąco na stole nogi w wojskowych buciorach i nonszalancko posługując się bronią. Wtedy udawałem, że tego nie ma, nie chciałem dostrzec, no bo Izrael to kraj na szczególnych prawach. A później wydarzyła się Gaza i moje uczucia wyewoluowały od podziwu do niechęci. Ten kraj przestał dla mnie istnieć, nigdy tam już nie pojadę.

Więc oddzielam – zarówno w głowie, jak i w sercu – historię polskich Żydów, bez których polska kultura byłaby zupełnie inna, uboższa, jednocześnie tych, których Polska tak chętnie się pozbywała.

Takie publiczne przyznanie się do zmiany poglądów i uczuć jest jednak rzadkością…

Kiedyś zrobił na mnie wrażenie tekst, który dla „New York Review of Books" napisał Tony Judd. Sam będąc Żydem i byłym syjonistą, przekonywał, że Izrael przekroczył próg dorosłości i już czas, aby wymagać od niego czegoś więcej niż od dziecka bądź podrostka. Aby jednak moje wypowiedzi nie zostały źle zinterpretowane, dodam, że rodzimym antysemitom dedykuję środkowy palec.

Gdy rozmawialiśmy 20 lat temu, nie miałem wątpliwości, że pańskie serce bije dla malarstwa. Dziś już nie mam pewności, czy nie wdarł się tam film.

Tylko trochę. Robienie filmów to przerwa od malarstwa, a nigdy odwrotnie. Malarstwo wciąż jest dla mnie zdecydowanie głównym nurtem mojej artystycznej aktywności, jestem z nim – można powiedzieć – organicznie sklejony. Pozostaję przede wszystkim malarzem i tutaj nic się nie zmieniło. Natomiast film daje mi okazję, abym z dystansu mógł spojrzeć na swoje malarstwo.

Toczymy z Anką długie, trwające od rana do wieczora rozmowy. O tym, co czytamy, co oglądamy, co myślimy. I z tych rozmów rodzą się pomysły na to, co chcielibyśmy zekranizować. Choć u zarania naszej działalności filmowej tkwiło myślenie o filmach, które sami chcielibyśmy oglądać. Poza tym ja wychowywałem się na kulturze teledysków, ich tworzenie było moim młodzieńczym marzeniem; emocje budził, no i wciąż budzi we mnie ów styk obrazu i muzyki.

Wspólnie myślicie z żoną o idei każdego kolejnego filmu. A czy też wspólnie pracujecie na każdym kolejnym etapie produkcji?

Za scenariuszem zawsze stała Anka, ale przy naszej ostatniej produkcji, czyli „Człowieku do wszystkiego" według książki Roberta Walsera, było inaczej, napisałem go sam. Byłem tak zajawiony i zdeterminowany, że powstał błyskawicznie, w miesiąc od przeczytania książki. Z kolei na planie pracujemy wspólnie. Ja za kamerą, Anka na podglądzie, stale konfrontujemy nasze spostrzeżenia, ale ostatecznie to Anka daje uwagi dotyczące dramaturgii. Tym razem w filmie znalazło się dużo scen dialogowych, a to domena Anki, która ma doskonały słuch literacki. Przede wszystkim potrafi rozmawiać z aktorkami i aktorami, docierając do istoty postaci, w które się wcielają. Na planie, bardziej niż sam kadr, interesuje mnie ruch kamery, jej relacja wobec tego, co przed jej obiektywem.

Ale słowo, fraza, zdanie, pisana myśl bywają ważne także w pańskiej własnej już twórczości. Z komiksami na czele.

No tak, bo ze słowa i rysunku rodzi się szczególny rodzaj poezji, skojarzeń na granicy abstrakcji. Rzeczywistość sobie płynie, więc przy odpowiednim ustawieniu „radaru" wyławiam skojarzenia, takie „szumy, zlepy, ciągi". ▶

REKLAMA

11–13.09 2026

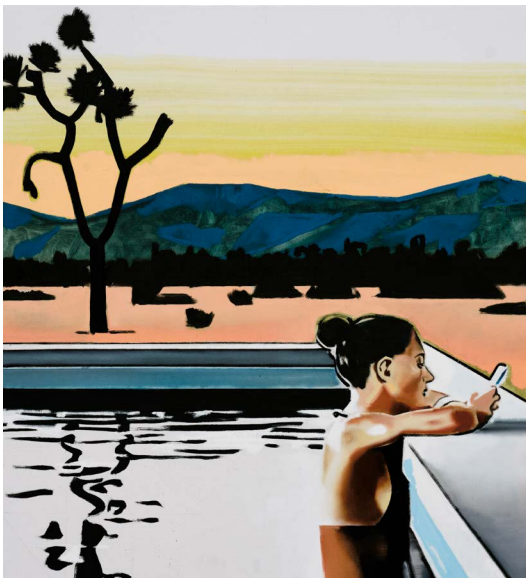
OPERA
created by
CK ZAMEK & LAS

William Basinski(US)
Slikback(KE) | MOIN(UK)
schtum(AT) | Juli Deák(HU)
Divide & Dissolve(AU)
aya(UK) | Allenheimer(IS)
Dying Is The Internet (Simo Cell(FR) & Abdullah Miniawy(EG))
MAGMA(PL) (Robert Piernikowski & Jacek Sienkiewicz)
ssaliva(BE) | emma dj(FR)
Sam Slater(UK) & Theresa Baumgartner(DE)
FOQL presents Bug Poems(PL)
nuarrrrr(PL) | Nikodem(PL)
Ultra scope(PL) | SzczupakOla(PL)
Digital data(PL) | N-ska(PL)
Elvira(PL) | Brussi(PL)
Beatrix Cottonmouth(PL)

CENTRUM KULTURY ZAMEK
POZnań

IG: OPERA.FESTIVAL
CKZAMEK.PL

eprasa.pl a53f7da89d





Od lewej: **obrazy Wilhelma Sasnala – „Bez tytułu (Rita w basenie)", 2024 r. oraz „Pierwszy stycznia (Profil)", 2021 r.**
Poniżej: **kadr z jego filmu „Człowiek do wszystkiego" (według książki Roberta Walsera), który nakręcił wspólnie z żoną Anną.**

© EVAN BEDFORD, WILHELM SASNAL (2)



▶ A co pan czyta?

Głównie to, co podsunie mi żona, przede wszystkim współczesną literaturę piękną. Ale też chętnie sięgam po klasykę – z czego Anka się śmieje – np. „Wojna i pokój", „W poszukiwaniu straconego czasu", „Anna Karenina". Dla mnie to nadrabianie zaległości chłopaka z technikum, który słuchał metalu. No i mam ten przywilej, że znajduję czas na czytanie, a przy malowaniu mogę słuchać audiobooków.

A literatura faktu?

Zawsze wygrywa beletrystyka, ale zdarza się, że sięgam także po książki z innych obszarów. Te, które ostatnio bardzo zgrały się z tym, jak się mam, z moim stosunkiem do świata, to m.in. „Zaniechanie" Zofii Zaleskiej. Promuje postawę, którą bardzo chciałbym praktykować, ale to nie jest łatwe. Móc wyłączyć się, odwrócić plecami, wyjść z gęstego od ludzi i oczekiwań świata. A druga to „Mała empiria" Katarzyny Sobczuk. Obie są świetnymi lekturami dla kogoś takiego jak ja, czyli pięćdziesięcioparolatka.

Pamiętam, że kiedyś podczas malowania nieprzerwanie słuchał pan muzyki. Czy ten nawyk pozostał?

Oczywiście, ale – jak wspomniałem – są też audiobooki. Poza tym dawniej było więcej muzyki klasycznej, bo bardzo dużo słuchałem Dwójki. A teraz znów przeważa muzyka aktualna, taka – powiedziałbym – niemainstreamowa. Tak, słuchanie muzyki to moja ulubiona czynność, a wraz z rysowaniem i spacerami z psem stanowi dla mnie pewną jedność. Pytanie, czy można uprawiać taki flaneryzm wraz z psem? Nad tym zastanawia się Sigrid Nunez w powieści „Przyjaciel". Ja myślę, że tak.

Z twórczych aktywności pozostał nam tylko teatr. Tu chyba pana nie było.

To prawda. Poza teatralnymi plakatami. Gdy idę na spektakl, to myślę, jak by go pokazać filmowo, jak można byłoby działać z kamerą, filmować nie tylko scenę, ale też ludzi na widowni, no i utrwalić w interesującej formie dla przyszłości. Bo spektakle teatralne umierają w kulturze najszybciej. Często po paru wystawieniach. Ogromny potencjał widzę też w zderzeniu tego, co na scenie, z plenerem.

Zatoczyliśmy po kulturze małe koło i wracamy do punktu wyjścia, czyli do sztuki. To, że maluje pan świetne obrazy, już wiemy. A czy bywa pan na wystawach innych artystów?

Tak, ale przyznam, że jestem dużo wierniejszym konsumentem muzyki niż sztuki. Przeoczam wystawy, które mam pod nosem, i nie zdarza mi się podróżować, by zobaczyć sztukę. Ale właściwie dobrze, że pan o to spytał, bo muszę to zmienić, no chociaż z tymi muzeami na miejscu.

A gdybym zapytał o młode polskie malarstwo? Jakieś nazwiska? Odkrycia?

Chętnie oglądam, gdy mam okazję, ale sam z siebie nie śledzę, choćby z powodu

eprasa.pl a53f7da89d

nieobecnych w moim życiu socjali, na których wszyscy się dzielą efektami pracy. Posiadam więc obraz bardzo wyrywkowy, zatem wolałbym nie przywoływać żadnych nazwisk, natomiast mogę zdradzić, że denerwuje mnie moda na malowanie „wewnętrznych pejzaży", swoisty „ego trip". Wymalowana autoterapia bez podejmowania ryzykownych, szeroko rozumianych wątków politycznych w czasach, gdy świat bierze ostry zakręt. Tylko proszę mnie dobrze zrozumieć, mówię o dominującej tendencji w ogóle, ale nie próbuję opisać malarstwa młodych. Tym bardziej że kolejne pokolenia mają coraz trudniej, staram się je zrozumieć.

Dlaczego trudniej?

Bo samo pojęcie i potrzeba sukcesu są obowiązkowe, a tak naprawdę to wydmuszka, która pojawia się jedynie przy okazji systematycznej roboty, na chwilę, i która niekoniecznie daje paliwo do poszukiwań. Dosłownie dziś rano przeczytałem w opowiadaniu młodego autora Marcina Marcisza takie zdanie: „Sukces to przezroczyste i bezzapachowe pojęcie, za którym niewiele się kryje". Mojemu pokoleniu było łatwiej, bo nie myśleliśmy o sukcesie, o rynku sztuki, bo taki po prostu nie istniał. Łatwiej było mieć *fun* z samego malowania i artystycznych działań. Dlatego trochę współczuję młodym tego bezwzględnego kapitalizmu i sieciowych uzależnień, w które są wtłoczeni. Łatwo się w tym pogubić. Sam się niekiedy zastanawiam, jakbym się zachował, mając teraz 25 lat? Co bym wybrał? Czy nie kombinowałbym, żeby osiągnąć ten „sukces"?

Może brakuje im w zawodowym życiu autorytetów, mistrzów. Pan ich miał?

Mogę być szczery? Nie, nigdy nie potrzebowałem żadnych autorytetów. No, może z wyjątkiem muzyki, ale to były raczej takie fanowskie fascynacje. Trzeba się trochę natrudzić (np. czytając książki), żeby się zorientować w świecie, w którym trendy, mody i wartości coraz częściej wyznaczają miernoty. Ludzie przestali czytać, a wszyscy piszą. Nikt nie słucha, wszyscy mówią. To jest niebezpieczne.

Gdyby mnie ktoś spytał, z czym kojarzy mi się Wilhelm Sasnal, oczywiście poza malarstwem czy filmem, to wymieniłbym dwie rzeczy. Ciekawe, czy pan się ze mną zgodzi. Pierwsza to silna potrzeba niezależności, podążania własną drogą…

Z triady „wolność – równość – braterstwo" ta pierwsza wartość zawsze była dla mnie najważniejsza. Czyli potrzeba budowania życia według własnych reguł. Może to efekt tego, że wychowywałem się jednak w PRL, nasiąkając pełnym wolności rock and rollem. Przy tym mam to szczęście, że życie pozwala mi na budowanie takiej osobistej wolności. U większości ludzi ich pomysły na życie i realne życie bardzo się rozbiegają.

A kwestia druga, wiążąca się zresztą z pierwszą, to dystans wobec tego, co oferuje współczesna cywilizacja.

Jak już wspomniałem, nie korzystam z portali społecznościowych, a filtrem informacji napływających z zewnątrz jest moja żona. To mi pozwala żyć gdzieś na granicy miasta i natury, nie tylko dosłownie, ale i w przenośni. A wobec tego, co dominujące, jestem krnąbrny.

ROZMAWIAŁ PIOTR SARZYŃSKI

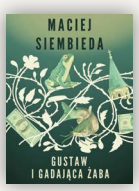
REKLAMA

PREMIERA W GAZETA wyborcza wyborcza.pl

GUSTAW

NOWELA Z NOWEJ KSIĄŻKI

MACIEJA SIEMBIEDY



PIERWSZY ODCINEK: SOBOTA, 22 SIERPNIA

KOLEJNE 6 ODCINKÓW:

• 26.08 ŚRODA • 29.08 SOBOTA • 02.09 ŚRODA
• 05.09 SOBOTA • 09.09 ŚRODA • 12.09 SOBOTA

PREMIERA KSIĄŻKI TYLKO W E-BOOKU I AUDIOBOOKU
(CZYTA MARIUSZ BONASZEWSKI)



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydawnictwo Agora

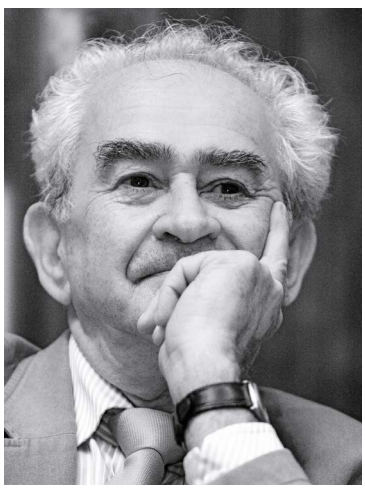
publio.pl

eprasa.pl a53f7da89d

Zanurzony w polskim doświadczeniu

Tomasz Szarota, jeden z najwybitniejszych polskich historyków XX w., zmarł 11 sierpnia w wieku 86 lat.

MARCIN ZAREMBA



Niedawno widzieliśmy się w redakcji POLITYKI: w maju Tomasz Szarota za wywiad rzekę „Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania" odebrał Nagrodę Historyczną POLITYKI. Już szóstą! Był w tej dziedzinie absolutnym rekordzistą. Ta ostatnia nagroda jest symboliczna: Profesor przez całe życie uczył, że pamięć nie może być ani wygodna, ani selektywna.

Jego biografia od początku była wpisana w historię, którą później badał. Urodził się 2 stycznia 1940 r. w okupowanej Warszawie, kilka tygodni po tym, jak Niemcy zamordowali jego ojca, Rafała Marcelego Blütha – publicystę katolickiego, historyka literatury i sowietologa. Matka, Elida Maria Szarota, romanistka i poliglotka związana z Paryżem i Berlinem, sama przeszła przez Pawiak. W życiu Szaroty od początku splatały się więc trzy kultury: polska, niemiecka i francuska. Dzięki temu patrzył na polskie doświadczenie z bliska, ale porównawczo: widział Warszawę obok Paryża, Amsterdamu czy Aten, polski strach obok strachu innych narodów, polską odwagę obok cudzej odwagi.

Najważniejszym świadectwem tego spojrzenia pozostaje książka „Okupowanej Warszawy dzień powszedni" – zmieniła sposób pisania o drugiej wojnie światowej. Szarota opisał okupację nie od strony decyzji politycznych i konspiracyjnych legend, lecz od strony kolejek, głodu, plotki, lęku, małych gestów oporu i codziennych strategii przetrwania. Pokazał, że historia okupacji rozgrywała się także w mieszkaniach, tramwajach, sklepach, kawiarniach i rodzinnych rozmowach. Była to wielka historia oglądana przez doświadczenie zwykłego człowieka.

Miał w sobie coś z detektywa. W książce o Stefanie Starzyńskim zrekonstruował losy prezydenta Warszawy po 1939 r. z fragmentów relacji, sprzecznych świadectw i śladów pozostawionych w dokumentach. Podobnie pracował nad historią słynnej karuzeli z Placu Krasińskich, znanej z wiersza Czesława Miłosza „Campo di Fiori". Interesowała go prawda źródłowa, a nie symbol wygodny dla którejkolwiek ze stron. Potwierdzał fakty, bronił ich przed uproszczeniem: karuzela działała, lecz nie powinna się stać łatwym oskarżeniem całego miasta o obojętność wobec Zagłady.

Ta sama uczciwość kazała mu podejmować tematy niewygodne. W 1999 r. na łamach POLITYKI wezwał do „autentycznej, nieskrępowanej ograniczeniami cenzuralnymi" dyskusji o polskiej kolaboracji z okupantami. Przypominał o antysemickich zajściach w okupowanej Warszawie, w tym o pogromie wielkanocnym 1940 r. Nie robił tego, by odbierać Polakom prawo do dumy. Raczej dlatego, że uważał dumę bez wiedzy o wstydzie za niepełną, a wstyd bez świadomości zasług – za jałowy.

Zdanie, które dobrze streszczało jego postawę, brzmiało: „Bezmiar własnej tragedii przesłania nam cierpienia innych narodów". To nie była relatywizacja polskiego doświadczenia, lecz próba jego dojrzałego wpisania w historię Europy. Szarota wiedział, że cierpienie nie traci znaczenia, gdy zobaczymy cierpienie innych. Przeciwnie – dopiero wtedy staje się częścią wspólnej pamięci, a nie wyłącznie narodowego rachunku krzywd.

Ważne były jego związki z POLITYKĄ. Jej Nagrody Historyczne otrzymywał już za prace z lat 60. i 70.: o osadnictwie na Dolnym Śląsku, o polskiej wsi lat wojny i powojnia, o przemianach społecznych Polski Ludowej, a potem za „Okupowanej Warszawy dzień powszedni" i „U progu Zagłady". Szósta nagroda przypadła „Dumie i wstydowi" – książce podsumowującej. Trudno o lepsze domknięcie: historyk, który przez dekady poszerzał polską pamięć, został raz jeszcze wyróżniony za rozmowę o tym, jak pamiętać bez pychy i bez samoponiżenia.

„Duma i wstyd" jest jego testamentem intelektualnym. Szarota nie chciał być ani pedagogiem dumy, ani pedagogiem wstydu. Wskazywał na Polskie Państwo Podziemne, skalę oporu, powojenną odbudowę czy pojednanie z Niemcami jako powody do dumy. Obok nich stawiał antysemityzm, kolaborację, narodową megalomanię i pokusę polityki historycznej wybierającej z przeszłości tylko wygodne fragmenty. Jego myślenie było wymagające, bo odrzucało komfort. Nie pozwalało ani łatwo się oskarżać, ani łatwo uniewinniać.

Był przy tym uczonym ze świata, który odchodzi: ostatnim historykiem „analogowym", piszącym na maszynie, wysyłającym papierowe listy, cierpliwie porządkującym fiszki. Prof. Włodzimierz Borodziej napisał kiedyś o nim: „Herkules Poirot miał łatwiej". To zdanie trafia w sedno. Szarota rozwiązywał zagadki przeszłości nie efektownym gestem, lecz pracą, sceptycyzmem i szacunkiem dla źródła.

Jego odejście jest stratą większą niż śmierć wybitnego badacza okupacji. Odchodzi europejski intelektualista obracający się w kręgu trzech kultur, a zarazem historyk głęboko zanurzony w polskim doświadczeniu. Zostawił książki, ale też sposób patrzenia: cierpliwy, porównawczy, nieufny wobec sloganów. Dla POLITYKI pozostanie autorem i laureatem, którego głos pomagał czytać najtrudniejszą historię bez uproszczeń. ■

© JAN KUCHARZYK/EAST NEWS

eprasa.pl a53f7da89d



Królowa Psychologia

Gdy dr Ewa Woydyłło publicznie obraziła Igę Świątek, zamarłem z wrażenia. Pierwsze pytanie, jakie sobie zadałem, to: „Kiedy przeprosi?". Bo w takich sytuacjach ratować się można jedynie szybką i jednoznaczną ekspiacją. Ikona sportu, narodowy skarb, królowa ludzkich serc jest nietykalna i żartów z tym nie ma. Kto ją obrazi, ten musi zapłacić cenę. Byłem zdumiony, że tak doświadczona osoba jak Ewa Woydyłło zwlekała z przeprosinami aż dwa dni.

Mówienie, co się myśli, zawsze kosztuje. Gdy jest się osobą nieznaną, kosztuje niewiele. Za to narodowa celebrytka może stracić poważne zlecenia i apanaże. Ktoś tam na pewno stanie po jej stronie, lecz bilans będzie ujemny. Tyle że gdy jesteś zamożny, i w dodatku w poważnym wieku, to może ci już tak bardzo nie zależy. Swoją drogą, jestem głęboko przekonany, że opinia Ewy Woydyłło o Idze Świątek jest fałszywa. Iga nie mówi wyuczonymi formułkami, nie udaje rozumnej ani nie jest bawidełkiem wykorzystującej ją grupki dorosłych. Skąd to wiem? Znikąd. Po prostu takie mam przekonanie i już.

Nie znam się na tenisie, za to „socjologia psychologii", czyli frapujące zagadnienie potęgi psychologii we współczesnym życiu społecznym, jest ze mną od dekad. Patrzę na to z podziwem i zawiścią, bo dziś już nie u filozofów szuka się mądrości i rozumienia życia, lecz u psychologów.

> Dziś już nie u filozofów szuka się mądrości, lecz u psychologów. A ci musieli się podzielić tym łupem z socjologami.

Trochę musieli się podzielić tym łupem z socjologami, lecz to psychologia jest tu lwem, a pozostali to drobny płaz.

Psychologia przejęła też większość terenu zajmowanego wcześniej przez religię: wyjaśnia, oświeca, uspokaja i leczy. Jest uniwersalnym dyskursem wszech terapii – dla wszystkich, bez różnicy stanu, płci i wyznania. Miejsca opuszczane przez kaznodziejów i mędrców w nowoczesnym i demokratycznym społeczeństwie zajął psycholog w roli publicznego lub osobistego uzdrowiciela, autorytetu i medialnego celebryty. Gdy w naszych czasach ktoś chce mądrze mówić, to mówi językiem psychologii: analizując swoje i cudze emocje, dopatrując się u innych i u siebie zaburzeń, śladów traum, wzorców zachowań, stylów przywiązania i typów osobowości. Czy jest w ogóle jeszcze jakaś inna mądrość na tym świecie?

Triumf psychologii jest w dużej mierze zasłużony i zrozumiały. Nie neguję tego. Tyle że cena tego królowania psychologicznego lwa w społecznej dżungli jest zaskakująco wysoka. A to dlatego, że psychologizm i psychologizowanie mają swoje ograniczenia. I nie chodzi tylko o to, że psychologia musi się „sprzedawać", a w konsekwencji schlebiać nam i podsycać w nas miłość własną. To oczywiście też jest prawdą, lecz sprawa ma drugie dno. Nie mam też na myśli poppsychologii, czyli tej całej taniej słodkiej papki złożonej z okruchów wiedzy, zaklęć, magicznych formułek i innych śmieci pozostałych po uczcie bogów i filozofów. Elity społeczne się nią nie pożywiają.

Elity przyjmują za to „psychologiczny punkt widzenia". A to oznacza kilka przejaskrawień i przeoczeń. Przede wszystkim człowiek widziany przez okulary psychologii to głównie psychiczno-cielesne „centrum przeżyć", a to, co przeżywane, to przede wszystkim emocje, a nie treści poznawcze i moralne. Ponadto ten cały strumień emocji wypływa z „części nieświadomych" i z przeszłości. Nasza tożsamość to głównie pewien profil emocjonalny, ukształtowany przez doświadczenia sięgające najwcześniejszego dzieciństwa. Celem życia jest uzyskanie trwałej przewagi dobrego samopoczucia nad złym oraz „dobre funkcjonowanie" społeczne. Wymaga to uregulowania emocji, do czego niezbędna jest pewna doza samoświadomości i rozumienia „mechanizmów".

A od „rozumienia mechanizmów" jest właśnie psychologia. W ten oto sposób każdy i każda z nas ma się stać małym psychologiem bądź psycholożką, a sama psychologia jako pewna forma oświecenia ulega uniwersalizacji. I faktycznie, elity z czasem zmieniają się w oświecone mechanizmy emocjonalnej samoregulacji, wytrenowane w prowadzeniu bezpiecznego i zrównoważonego życia w fizycznym i psychicznym dobrostanie. Oczywiście pod czujnym okiem terapeuty.

Wygląda to na raj stoików, lecz tak naprawdę jest to kolejna odsłona filisterskiego oportunizmu i tej ciągnącej się przez stulecia, wzmacnianej przez rynek i demokrację upartej apologii miernoty. Nietzsche się w grobie przewraca, dudniąc głucho: „A nie mówiłem!". Ano mówił. Walec psychologizowania unieważnia wszystko, bo wszystko jest na niby. Wielkie idee, narody i państwa, arcydzieła, tragedie i duchowe wzloty – wszystko to zaledwie przejawy i objawy. Niestety, psychologiczna urawniłowka wgniata w ziemię również moralność. Furda tam obowiązki moralne, winy i potępienia! Każdy zasługuje na zrozumienie, a krzywdzenie jest wynikiem zaburzenia i reakcją na krzywdy doznawane w dzieciństwie. Ocenianie to opresja, a jedyny nasz obowiązek to rozumieć i wspierać. Czyli naśladować psychologa.

JAN HARTMAN

eprasa.pl a53f7da89d

FELIETON

Sulej



Szczęśliwe koziołki

Na środku zabałaganionego pokoju siedzi piesek z niewinną minką – wiecie, z taką minką, jaką mają zwierzęta, kiedy wiedzą, że nabroiły. Podpis do zdjęcia: „Dobrze, że wróciłeś, zobacz, co ci Ukraińcy narobili". Ten mem najlepiej streszcza postawę wielu rodaków w ostatnich tygodniach. I to ich wina!

Julia Bednarek w nagradzanej pracy „Odtwarzanie Innego: mieszkańcy i mieszkanki Białej Podlaskiej o cudzoziemcach" dowodzi, że nasz stosunek do Obcych ma wiele wspólnego z tym, jak postrzegamy swoje życie. Im bardziej jesteśmy nim zmęczeni i przygnębieni, tym bardziej potrzebujemy znaleźć winnego tej sytuacji. Nazwała te uporczywe życiowe nieszczęścia mikrofrustracjami. To nie są wielkie tragedie, raczej ciągły brak satysfakcji życiowej: nuda w związku, poczucie porażki zawodowej czy towarzyskiej, poczucie niezrozumienia.

No tak. W sumie rozumiem – życie nie jest sprawiedliwe, bywa męczące i trudne. Aż się prosi, żeby ktoś za to zapłacił. Jak to trafnie ujęła Zofia z „1670": „W tej rodzinie jesteśmy dla siebie mili, wyładowujemy frustrację na osobach postronnych, to się nazywa dojrzałość". Kozioł ofiarny ma żłobek w każdej rodzimej zagrodzie. Wyładowujemy się na tych, których akurat wskazał jakiś polityk albo ksiądz, redaktor gazety, którą czytamy, influencer czy celebryta. W grupie wyładowującej frustracje łatwiej poczuć się jak człowiek sukcesu albo przynajmniej na chwilę zapomnieć o smutku.

> Kozioł ofiarny ma żłobek w każdej rodzimej zagrodzie. Wyładowujemy się na tych, których wskaże polityk czy influencer.

W radzeniu sobie z mikrofrustracjami pomaga też zagłuszanie nieprzyjemnych myśli i ponurych refleksji. Temu nasza codzienność sprzyja wybitnie: hałas telewizora, podkast, serial z platformy, scrollowanie Instagrama, Facebooka, TikToka... *Horror vacui*. Byleby nie skupiać się na tym, co nam się przydarza. Byleby nie dojść do jakiegoś wniosku, nie poczuć czegoś, co zmusi do refleksji, zwłaszcza nieprzyjemnej. Media społecznościowe świetnie pozorują uczestnictwo w świecie, dają wiele chwilowej satysfakcji i sprawdzają się jako pastwisko dla kozłów ofiarnych. Można wyprowadzać swoje, oglądać cudze, tworzyć stada. Cały dzień rozrywki na wirtualnym powietrzu. Mikrofrustracje „na pełnej".

Jedyne, czym można się bronić, brzmi mało imponująco, nie daje wyrzutów dopaminy, piętnastu minut sławy, poczucia przynależności ani ulgi we frustracji. To cisza i milczenie. Nie da się o tym pisać (robię to i psuję zarazem), nie da się temu zrobić zdjęcia, to jest osobnicze doświadczenie i wybór, o który coraz trudniej, wszyscy więc latamy od zadania do zadania z przebodźcowanymi, lękowymi umysłami, które ledwo są w stanie procesować dane. Coraz więcej głupot gadamy i słuchamy, coraz łatwiej się „odpalamy", coraz częściej ktoś nas odpala.

Ktoś powie – to przecież normalna dyskusja w demokracji. Serio? Wypowiadają się strony przekonane, a dalej są tylko komentarze i emotikony. Trzeba reagować od razu, inaczej nikt nie przeczyta, a algorytmu nie obchodzą sensy. W rezultacie trudno po chwili stwierdzić, o czym właściwie dyskutujemy. Co więcej, obcowanie z takimi dyskusjami jest strasznie męczące. To jest zwyczajnie nie na ludzką miarę. Mój układ nerwowy nie wyrabia.

Widziałam ostatnio jeszcze jednego mema. Karol Da Costa, instagramer i Afropolak, wrzucił rolkę, w której udaje, że wychodzi na balkon podziękować tłumom Ukraińców za to, że „chwilowo Polacy nie mają nic do czarnych". Śmiech przez łzy. Dobrze, że przynajmniej uprawiamy jakąś trójpolówkę agresji i pogardy, bo przynajmniej jakaś osoba czy grupa mogą odpoczywać, kiedy akurat pracują nad inną. Pogromy, lincze, rzezie nie zaczynają się z przytupem, ale wybuchają, kiedy nagromadzi się odpowiednia masa krytyczna mikrofrustracji u jakiejś grupy ludzi. Rośnie prawdopodobieństwo, że za jakiś czas uformuje się u nas taka masa i wybuchnie nam z wirtualu w rzeczywistość. Nikt nie jest wolny od szukania winnych.

A teraz uwaga, leci reklama ciszy i milczenia. Otóż mam pamiętniczek. Nie ma tam żadnych mediów, nikt na mnie nie patrzy. Wypisuję jakąś mikrofrustrację. Jest mi wstyd, czuję ulgę, więcej z siebie rozumiem. Zaglądam następnego dnia do wpisu. Jest mi jeszcze bardziej wstyd, ale cieszę się, że nie poszłam z moimi myślami w świat. Zostawiłam je w prywatnej ciszy. Zmilczałam, ale jednocześnie wygadałam się. Uff. I nie siedziałam w internecie.

W tym nieznośnie męczącym, zapchanym komunikatami świecie każdy chce się wygadać. Ci, co nie chcą do faszystów, ciągną do terapeutów. Chcemy, żeby ktoś nam wytłumaczył świat. Czasem jednak wystarczy chwila ze sobą samym. Pamiętniczek. Śpiewanie pod prysznicem. Taniec na środku pokoju. Albo zaufanie do kogoś innego, kto zrozumie, bo ma tak samo. Zamiast „twierdzy Polska" – talerz dla gościa. Wtedy jest szansa, że więcej uroczych koziołków będzie mogło spokojnie skubać trawę, a więcej faszystów – z mikrofrustracji rwać włosy z (łysej) głowy.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl a53f7da89d

FELIETON

Chutnik Plebanek



Matka Migrantka

„Nie ma superbohaterki bez superbohatera” – powiedziała piosenkarka Mery Spolsky na gali plebiscytu Superbohaterka „Wysokich Obcasów”. Potem się z tego tłumaczyła, podobno chciała zapowiedzieć piosenkę o związku męsko-damskim, a rzeczony superbohater posłużył jedynie jako inspiracja. „Ale rzeczywiście mogło to źle zabrzmieć – przyznała. – Czasem człowiek coś powie, nie widząc szerszego kontekstu”. Tu raczej: czasem coś powie człowiekiem. Język jest skarbcem, w którym zalegają pokłady zwrotów, a każdy z nich mówi o epoce, w której miał się dobrze. Ten o wybrakowanej superbohaterce pochodzi chyba z czasów napoleońskich. Dobrze, że Mery Spolsky dostrzegła pułapkę.

Kobiety wciąż odruchowo strzelają sobie w stopę, za to młodzi mężczyźni coraz rzadziej pozują na self-made manów. Coraz częściej składają podziękowania, i to bynajmniej nie żonom ani muzom. Nie zaniżając własnych zasług, kierują wyrazy wdzięczności w stronę osób, bez których faktycznie nic by się w ich życiu nie wydarzyło – własnych matek. Fabián Ruiz, gwiazda piłkarskiej reprezentacji Hiszpanii, świętował wielką wygraną tegorocznego mundialu z rodzicielką. To ona, samotna matka trojga dzieci, zatrudniła się jako sprzątaczka w klubie sportowym, by syn mógł się tam szkolić. Gdy mijali się na korytarzu, on w drodze na trening, ona z kubłem i mopem, Ruiz podobno się jej wstydził. Dziś piłkarz podkreśla z dumą, że gdyby nie praca matki, nie miałby szans na rozwój sportowy.

W Polsce w 2025 r. urodziło się 18 170 dzieci rodziców z co najmniej jednym obcym obywatelstwem. Tendencja zwyżkuje.

Nico Williams, którego celna główka przyniosła Hiszpanii zwycięstwo nad Argentyną i tytuł najlepszej drużyny, ruszył ze złotym medalem na trybuny, zdjął go i założył na szyję matce. Uhonorował kobietę, która 32 lata wcześniej przeszła boso Saharę.

Rodziców Williamsa, którzy zapłacili przemytnikom za pomoc w przedostaniu się z Ghany do Hiszpanii, wyrzucono z ciężarówki na środku pustyni. Szli bez butów po piasku, temperatura dochodziła do 40–50 stopni, nie mieli wody. Matka piłkarza była wtedy w ciąży, po przybyciu do Hiszpanii urodziła jego starszego brata. Imała się kilku zajęć naraz, żeby tylko utrzymać rodzinę. Ojciec zarabiał w Londynie, rzadko mógł być z rodziną. Rolę taty przejął nastoletni Iñaki, który „przeszedł” Saharę w brzuchu matki.

Gestów wdzięczności dla matek jest wśród piłkarzy więcej, wystarczy wspomnieć o Achrafie Hakimim, marokańskim obrońcy, który publicznie wyznał, że cały majątek przepisał na mamę. Wdzięczność jest uhonorowaniem trudów pracy opiekuńczej, zwłaszcza jeśli wiązały się z realnym ryzykiem, takim jak zmiana kontynentu, kraju, kultury, języka. W Polsce w 2025 r. urodziło się 18 170 dzieci rodziców z co najmniej jednym obcym obywatelstwem (według GUS). Tendencja zwyżkuje, a spory odsetek rodzących to kobiety z Ukrainy. Dochodzą do tego porody nierejestrowane, np. na granicy polsko-białoruskiej. Dla naszego społeczeństwa oznacza to wzrost demograficzny oraz – o ile rodziny zdecydują się na pozostanie w Polsce – bliższy kontakt ze zjawiskiem Matek Migrantek. Dzielnych, czasem ryzykujących życie, by urodzić i wychować dzieci bez zaplecza w postaci kapitału społecznego i kulturowego. Matkami Migrantkami są też Polki wychowujące dzieci za granicą.

Język nadąża za zmieniającą się rzeczywistością. Migrantów, uchodźców, osoby poszukujące schronienia (jak kiedyś Polacy, w czasie wojen czy fal politycznej emigracji) nazywa się ludźmi w drodze (ang. *people on the move*, franc. *gens de voyage*). Dla nich negatywne skutki porodów wynikają nie tylko z barier zewnętrznych, jak te prawnofinansowe, lecz także ze strachu przed deportacją, barierą językową czy izolacją społeczną (raport WHO z 2026 r.). W zalewie słodkich zdjęć rodzinnych w mediach społecznościowych łatwo zapomnieć, że celem przynoszącego miliony zysków biznesu parentingowego (gadżety dla dzieci, sypialnie urządzane według najnowszych trendów, wakacje rodzinne) nie są ludzie ubodzy ani ci, którzy szukają swojego domu. Oni żyją w równoległej, siermiężnej rzeczywistości. Mimo to potrafią się z niej wyrwać, w każdym razie – ich dzieci.

Po tym, jak Nico powiesił medal na szyi matki, Iñaki napisał do brata: „Dzięki tobie miliony imigrantów, takich jak nasi rodzice, czują dumę”. Bo gwiazdy piłkarskie to dziś w większości dzieci ludzi, którzy nie bali się szukać dla nich lepszego życia. Publiczne wyrazy wdzięczności dla nich są prawdziwe, nie świadczą o wyuczonej skromności, tylko o miłości. Figura matki umacnia się, nabierając nowego, współczesnego znaczenia. Do Matki Polki dołącza ze swoimi zasługami Matka Migrantka. Przypomina rodzicielkę, którą przywołują biblijne opowieści, powtarza się nawet motyw krążenia w ciąży po pustyni w poszukiwaniu schronienia. Parafrazując Mery Spolsky, „Nie ma superbohatera bez mamy superbohaterki”.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl a53f7da89d



Młotkiem w szczękę

Wrócę do tematu manosfery, bo wyszedł nowy raport na temat tego zjawiska, przygotowany przez fundację Equimundo. A ja uważam, że nie tylko w mediach o tym ciągle za mało się mówi, ale co gorsza, gdy się mówi – to od złej strony. Media uwielbiają pytanie: „Co to o nas mówi jako o społeczeństwie?". To kanon dziennikarskiej sztampy, razem z białym szaleństwem w zimowej stolicy Polski (gdy zima znów zaskoczyła drogowców). Byłem na setkach kolegiów redakcyjnych, gdzie nad tym debatowano, przy czym chodzić mogło o wyniki wyborów, notowania listy przebojów albo nowy smak gumy do żucia.

Zazwyczaj siedziałem cicho, bo moja odpowiedź nikomu się nie podobała. Filozofia marksistowska jest mi na tyle bliska, że wyznaję zasadę: gdy nie wiadomo o co chodzi, chodzi o triadę: kapitał – wyzysk – wartość dodatkowa. Zanim zaczniemy analizować „zjawiska społeczne", sprawdźmy, czy ktoś ich nie kreuje dla kasy.

Nie wiem, czy fundacja Equimundo to marksiści, ale opisują manosferę właśnie w ten sposób. Jest to brudny, ale bardzo dochodowy biznes, w którym ideologia nienawiści do kobiet jest produktem, a nie „ruchem społecznym". Media tymczasem wolą pytać: „Co nam to mówi o kryzysie męskości?". Im dalej ktoś jest na prawo, tym szybciej przechodzi do pytania: „Czy feminizm nie posunął się za daleko?". I wychodzi nam z tego standardowy tekst typu: „Manosfera może ma swoje złe strony, ale pogrążeni w kryzysie mężczyźni jej potrzebują, bo feminizm posunął się za daleko" (media często zapraszają przy tym jakiegoś „obrońcę praw mężczyzn" w roli samozwańczego eksperta). Ze względu na wiadomą filozofię uważam, że wiele „potrzeb" w kapitalizmie kreowanych jest sztucznie. Czy naprawdę „potrzebujemy" SUV-ów, termomiksów i opasek na rękę, które nas informują, czy się wyspaliśmy? To tylko kapitalizm nam wmawia, że to wszystko jest *must have*.

> Manosfera to brudny biznes, w którym ideologia nienawiści do kobiet jest produktem, a nie „ruchem społecznym".

Podobnie działa manosfera. Na początku są naturalne kompleksy, które odczuwa każdy dojrzewający chłopiec. Internet podsuwa mu reklamy sugerujące, że może się z nich wyleczyć (za niewielką opłatą). Wielu rodziców ma fałszywe poczucie bezpieczeństwa, bo „przecież nasz syn by nigdy czegoś takiego nie wyszukiwał!". Otóż nie musi. System pokazuje reklamy nienawiści do kobiet, gdy tylko zobaczy, że ma do czynienia z chłopcem (a to widać po niewinnych treściach, w rodzaju słuchania muzyki dla nastolatków). Przy czym te reklamy nie są oznakowane jako reklamy. Po prostu obok filmików, które chłopiec ogląda na YouTube, TikToku czy Twitchu, pojawiają się „polecajki". A tam już siedzą naciągacze z manosfery: Andrew Tate, Sneako, Myron czy Clavicular (i ich polscy naśladowcy).

Słowo „kobiety" w ich filmach nie pada, użyłem go dla klarowności. Najchętniej mówią o „dziwkach", ale algorytmy nie lubią dosadnego słownictwa, wymyślili więc eufemizm „femoid", czyli „female android", bo kobiety to nie ludzie. W skrócie „foid". Jeśli chłopiec zaczyna używać tych słów, to znaczy, że już w to wdepnął. Automatycznie oznacza to, że dziewczyny nie będą chciały z nim gadać, zwłaszcza że w pakiecie z manosferą idą porady typu: „Do dziwek trzeba przemawiać stanowczym głosem, bo uległość wobec samca alfa jest ich powinnością". Gdy chłopiec woła „Zrób mi kanapkę!!" do własnej matki, to niestety może nawet zadziałać, ale oni potem wołają tak w szkole do nauczycielek i koleżanek.

Chodzi o to, że influencerzy z manosfery wcale nie chcą pomagać zagubionym chłopcom w ich problemach. Odwrotnie, chcą je pogarszać, żeby brać jeszcze więcej pieniędzy za urojone wsparcie. Im bardziej ktoś wsiąka w manosferę, tym mniejsze ma szanse na normalny związek czy pracę. Influencerzy z manosfery namawiają, by „uciec z Matriksa", czyli rzucić szkołę i zarabiać poprzez walki MMA albo kryptowaluty. Inne porady też są samobójcze, często dosłownie. Clavicular zasłynął np. z namawiania swoich wyznawców, by ci walili się młotkiem w szczękę i nos, bo im bardziej kanciaste, tym lepiej wabią „foidy". I walą się, a jakże! W żargonie manosfery nazywa się to „looksmaxxingiem".

Raport Equimundo opisuje to jako triadę: aspiracja (nastolatek marzy o życiu takim, jakie ma jego idol), indukowany żal (to wina feministek, że ja tak nie mogę!) i monetyzacja (kurs „Jak manipulować dziwkami" za jedyne 999 dol. w promocji). To nieprawda, że „prawo nie nadąża za tym zjawiskiem". Są przepisy, z których można skorzystać. Brak tylko woli politycznej, bo wciąż żyjemy w dziwacznej iluzji, że w internecie wszystko powinno być dozwolone.

Raport kończy się praktyczną radą: co zrobić, gdy twój syn zaczyna wołać „Zrób mi kanapkę, femoidzie!". Nie traktuj go jak kogoś, kto się „ideologicznie zradykalizował", tylko jak oszukanego klienta. Wytłumacz mu, że ci oszuści z manosfery wyłudzają od niego pieniądze, które dostaje od babci. Przecież sami nie wierzą w te bzdury, które wygadują dla kasy. Co to więc mówi o nas jako o społeczeństwie? To, co zwykle – że wśród nas jest mnóstwo naiwniaków (co za ulga, że nie mówię tego na kolegium).

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl a53f7da89d



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Żurnalista wycofał się z „Tańca z gwiazdami". Przez kłopoty z sercem. Niestety komunikat nie precyzował, czy jego, czy jego wierzycieli.

●

„Kiedyś źle wybrali i płacą za to cenę" – to Edward Miszczak o odejściu Cichopek i Kurzajewskiego z Polsatu. Trafna diagnoza. Miłość ma swoje konsekwencje. Zwłaszcza ta do Jacka Kurskiego.

●

Ministerstwo Zdrowia przygląda się fundacji Dody, która nigdy nie złożyła sprawozdań finansowych. Doda. Luz. Za 20 lat nikt nie będzie o tym pamiętał. Tak jak nikt nie pamięta, o czym są twoje piosenki.
W medonet.pl ociekający niezdarnością wywiad o bizantyjskich sukcesach – uwaga – Chrisa Gojdzia w USA. Autorce gratuluję. Za rok zapraszamy do prezydenta.

●

Marianna Schreiber przegrała po trzech rundach walki na gali Prime MMA 18 w Koszalinie. „18" to oznaczenie średniego IQ uczestników.

●

Ida Nowakowska, nowa twarz Polsatu, zachwyca się Karolem Nawrockim: „Wszystko, co robi, wychodzi z jego serca". Oczywiście. A taka na przykład krewetka to ma serce umieszczone w głowie.

●

Andrzej Wrona w „DDTVN" będzie prowadził własny cykl dotyczący tematyki sportowej. 70 proc. widowni to kobiety. Trudno będzie znaleźć dyscyplinę, w której kobieta robi tylko to, na co ma ochotę.

●

Aż 2,1 proc. respondentów uznało Andrzeja Dudę za najlepszego prezydenta po 1989 r. To wielki sukces, gdy pojemność Porsche, którym aktualnie jeździsz, jest większa od twojego prestiżu.

●

Na prezentacji nowej oferty Polsatu Karolina Szostak pojawiła się bez spodni. Kolejny raz. Styliści podzieleni. Trudno o bardziej sugestywne potwierdzenie plotek: Polsat radykalnie tnie budżety.

●

„Dlaczego kobieta po czterdziestce nie powinna bawić się w chowanego? Bo nikt nie będzie jej szukał" – to lider Bayer Full w TV Trwam. Po czym wykonał utwór dla Maryi. Apokryfy sugerują, że Maryja żyła 63 lata.

●

„Cichopek pluska się w morzu. Wyeksponowała głęboki dekolt" – donoszą media. W jej sytuacji to jedyna forma skutecznego CV.

●

Agata Załęcka obok aktorstwa odnosi duże sukcesy we freedivingu, czyli nurkowaniu na wstrzymanym oddechu. Te dwie branże dużo łączy. W obu często ociera się o dno.

●

„Disco polo od lat opowiadało o miłości, pieniądzach, zabawie i optymizmie. Skolim dokłada do tego pracowitość". To „Tygodnik Powszechny". Szczęść Boże. Śmiech. Kurtyna.

●

Powieść Olgi Tokarczuk znalazła się na liście 50 książek wszech czasów według brytyjskiego „Daily Telegraph". Literatura od lat opowiadała o miłości. Olga dokłada do tego pracowitość.



© PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Krzysztof Stanowski w rocznicę nastania Karola Nawrockiego wygłosił laudację na jego cześć. Parafrazując Krzysia: stanął na rynku. Przypięty do słupa. Rozebrany do naga.

eprasa.pl a53f7da89d



Prezydent robi, co może

Z rolnikami nie warto zadzierać. Zwłaszcza z tym, który ostatnio zaorał traktorem asfaltową drogę, twierdząc, że ziemia pod tym asfaltem należy do niego. Tym wyczynem pokazał, że polski rolnik potrafi zaorać asfalt nawet na trzeźwo. Ciekawe, co by zaorał, jakby się napił? Szkoda tylko, że po wykonaniu tej ciężkiej roboty niczego nie zasiał, bo wyszło na to, że była to robota głupiego.

Obecnie dzielny rolnik czeka na proces i ewentualne ułaskawienie przez Karola Nawrockiego. Uważam, że ma duże szanse, bo ułaskawianie to jeden z ważnych instrumentów służących Nawrockiemu do pokazywania, kto naprawdę rządzi Polską. Drugim jest niezaprzysięganie, a trzecim nienominowanie. Czwartym jest wetowanie, z tym że w sprawie rolnika Nawrocki na razie nie ma czego wetować. Być może poczeka i zawetuje ewentualny wyrok skazujący; byłby to w jego wykonaniu kolejny ważny krok w stronę faktycznego wprowadzenia systemu prezydenckiego.

Mimo że Nawrocki jeszcze nie wszystko może, rok jego urzędowania przyniósł już Polsce konkretne efekty, takie jak niezaprzysiężenie czwórki prawidłowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, 41 wet, na skutek których budżet stracił ok. 7 mld zł, oraz ułaskawienie „Starucha", agresywnego lidera kiboli Legii Warszawa. Polakom zszokowanym tym ostatnim dokonaniem szef jego kancelarii wyjaśnił, że ułaskawieniem pana „Starucha" prezydent „realizuje program, z którym szedł do wyborów". Domyślam się, że chodzi o program niesienia pomocy prześladowanym przez wymiar sprawiedliwości osobom, z którymi Nawrocki się zna, identyfikuje i dzieli z nimi określone wartości.

Z sondaży wynika, że 56 proc. Polaków jest z prezydentury Nawrockiego bardzo zadowolonych, chociaż u niektórych jego osiągnięcia budzą niedosyt, bo ich zdaniem stać go na więcej. Zgadzam się, że Nawrocki jest w stanie zadać budżetowi znacznie większe straty i wyciągnąć z więzienia więcej osób, z którymi się identyfikuje, ale przecież nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Oprócz tego, że prezydent ułaskawił „Starucha", żeby „zrealizować program, z którym szedł do wyborów", z pewnością ułaskawił go także dlatego, że mógł. W polityce każdy robi, co może. Donald Tusk mógł wysłać swoją „prawą rękę", Marka Berka, do Trybunału Konstytucyjnego, dlatego wysłał. Gdyby mógł, pewnie zacząłby ułaskawiać. A gdyby Nawrocki mógł, może zaprzysiągłby „Starucha" na sędziego TK. Uważam, że byłaby to mocna odpowiedź na nominację Berka. A przy okazji skuteczny sposób na wzmocnienie słabnącej pozycji prezesa Bogdana Święczkowskiego i przepędzenie przesiadujących na korytarzu TK sędziów, których Nawrocki nie zaprzysiągł.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl a53f7da89d



Literacki Sopot zaprasza

Od 20 do 23 sierpnia potrwa jubileuszowa edycja Międzynarodowego Festiwalu Literacki Sopot. W programie m.in. spotkania autorskie, debaty, warsztaty, projekcje filmowe, czytania performatywne, Targi Książki oraz wydarzenia dla dzieci i młodzieży. Festiwal, będący jednym z najważniejszych wydarzeń literackich w Polsce, obchodzi w tym roku swoje 15-lecie. A tematem głównym tej edycji będzie literatura i kultura krajów portugalskojęzycznych. Nie zabraknie jednak spotkań z polskimi autorkami, autorami i tłumaczami. Osobne miejsce w programie zajmą aktywności przygotowane z myślą o dzieciach i ich opiekunach (Literacki dla dzieci).

To już tradycja, że podczas festiwalu posłuchać można również rozmów z laureatami i laureatkami Nagród Historycznych POLITYKI za najlepsze książki opowiadające o najnowszych dziejach Polski. W tym roku zapraszamy na spotkanie z Izabelą Mrzygłód, laureatką Nagrody Historycznej POLITYKI im. Mariana Turskiego w kategorii debiuty.

Rozmowę wokół książki „Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym" (Wydawnictwo Naukowe UMK) poprowadzi historyk i juror naszej Nagrody prof. Marcin Zaremba. Spotkanie odbędzie się w niedzielę 23 sierpnia w Księgarni Smak Słowa przy ul. Bohaterów Monte Cassino 6 A w Sopocie. Start o godzinie 13.30. Serdecznie zapraszamy!

REDAKCJA

Szczegółowy program festiwalu dostępny jest na stronie: www.literackisopot.pl/events

Emerytury dla artystów

Artyści wyróżniają się od zwykłych ludzi talentem, który jest rzadki i który posiada niewielki procent ludzi. W związku z tym nie dotujemy ludzi, lecz ich talenty. A talenty są dobrem narodowym. Ich wytwory wzbogacają całe społeczeństwo. Dlatego dotujemy opery, filharmonie, teatry czy galerie sztuki. Kultura stanowi też, w oczywisty sposób, o tożsamości narodowej, a w przypadku utraty niepodległości pomaga ją zachować. To między innymi dzięki kulturze Polska, która utraciła na 123 lata niepodległość, nie utraciła swojej tożsamości. Dzięki niej mogła odrodzić się po 1918 r. i potrafiła odbudować swoją państwowość.

Dlatego też obowiązkiem państwa jest dbanie o ludzi kultury. Uważam przy tym, że porównywanie pracy artysty wyłącznie z ciężarem pracy innych zawodów jest uproszczeniem. W okresie socrealizmu w Polsce porównywano pracę artystów z pracą górników, wskazując wprost, kto pracuje ciężej – oczywiście głoszono, że górnik. Tymczasem są to po prostu różne rodzaje pracy, wymagające innych predyspozycji i umiejętności. Talentu artystycznego nie można przecież zastąpić samym wysiłkiem fizycznym.

Myślę, że w tej dyskusji bierze się często pod uwagę przede wszystkim artystów muzyki pop czy też aktorów popularnych seriali, którzy zapełniają okładki kolorowych czasopism. To jednak tylko niewielki procent całej zbiorowości artystów. Nie bierze się pod uwagę często rzeszy wybitnych artystów, którzy ciężko pracują w swoich pracowniach czy też na deskach teatrów, a których zarobki kształtują się na ogół na poziomie niższym niż średnia krajowa.

Mając powyższe na uwadze, popieram ustanowienie emerytur dla artystów. Tym bardziej że pracują oni często nie tylko do 65. roku życia, lecz na ogół tak długo, jak pozwalają im na to siły i możliwości twórcze.

RYSZARD MYŚLIWIEC, EMERYT, MUZYK

Gra w semestry

Kilka tygodni temu z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł „Gra w semestry" (POLITYKA 28) i o ile zgadzam się z głównymi jego tezami, czuję potrzebę zabrania głosu w sprawie procesu bolońskiego i jego wpływu na funkcjonowanie polskich uczelni. Moja przygoda ze szkolnictwem wyższym szczęśliwie zakończyła się w 2023 r., kiedy to obroniłem doktorat, jednak z racji długich i krętych ścieżek mojej edukacji zdążyłem zebrać trochę doświadczeń w kwestii studiowania, i to z obu stron katedry.

Studia rozpocząłem w 2004 r. na Wydziale Prawa i Administracji UJ, przydały więc one na okres wdrażania procesu bolońskiego. Z uwagi na fakt, że prawo pozostawało wtedy kierunkiem jednolitym, znałem podział na studia 3+2 tylko z opowieści. Zaznajomiłem się z nim w 2013 r., kiedy to, już jako magister prawa, rozpocząłem magisterskie studia socjologiczne na UW. O ile była to ciekawa intelektualna przygoda, odczuwałem braki w stosunku do kolegów, którzy ukończyli przedtem licencjat z socjologii. Następnie jako doktorant w tym samym instytucie (po krótkim epizodzie studiów doktorskich na innej uczelni) zauważyłem, że regularnym punktem zebrań katedry jest narzekanie na proces boloński i jego destrukcyjną rolę: że zaburzył on rytm studiowania, ponieważ pierwsze lata pomyślane były jako praktyczne, a starsze – bardziej teoretyczne.

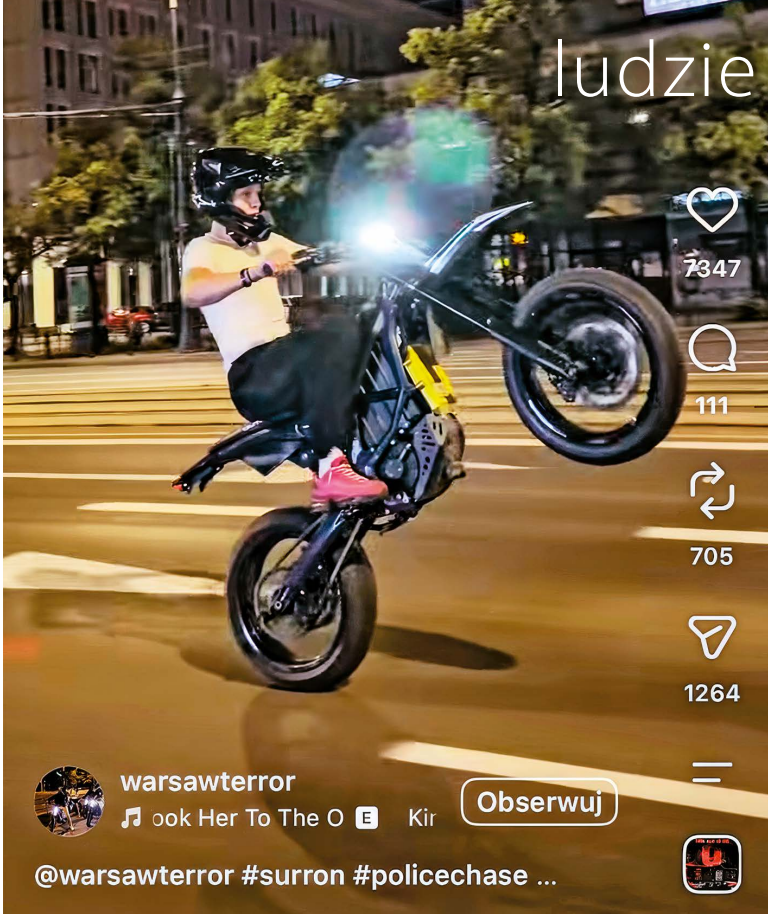
Tutaj nie sposób nie odwołać się do problemu nosa i tabakiery. Moje doświadczenie jest ograniczone, ale mam przeczucie, że może być reprezentatywne. Otóż mniejszym problemem jest proces



boloński sam w sobie, a większym – sposób jego implementacji. Jeśli na innych polskich uczelniach konstrukcja studiów licencjackich i magisterskich przebiegała głównie za pomocą linijki, którą odkreślano III i IV rok studiów, to możemy mieć odpowiedź. Zamiast pogłębionej refleksji i zauważenia, że podział studiów na I i II stopień może poskutkować przyjściem na studia magisterskie osób, które mogą nie mieć pełnej wiedzy, którą nabyłyby na studiach I stopnia tego samego kierunku i podjęcia prób dostosowania programów studiów, dokonano mechanicznego podziału. A potem nastąpiło zdziwienie, które trwa do dzisiaj, że historyk może nie znać podstaw metodologii badań społecznych, a socjolog – dokonać kwerendy archiwalnej. Mam nadzieję, że się mylę, ale moje przypuszczenie jest takie, że gros problemów z procesem bolońskim nie tkwi w samym procesie, ale w podejściu kadry akademickiej do studiowania i jej przeświadczeniu o jakimś przedbolońskim „złotym wieku".

MACIEJ FOLTA

eprasa.pl a53f7da89d



Dzieci Surrona

Rozpędzają się szybciej niż Porsche, prawie do setki, do tego świetnie się na nich ucieka przed policją. Skutery elektryczne typu Surron, ostatni krzyk chłopięcej mody, to także zmora polskich miast.

Wyglądają bajerancko. Gruba opona z tyłu, cieńsza z przodu, amortyzowane tył i przód, podłużne siodełko. Na pierwszy rzut oka – typowy motocross. Ale ich użytkownicy zamiast bezdroży upodobali sobie miejskie przestrzenie. W popisowym wydaniu: na tylnym kole i ze stawaniem na siodełku. Świat to już zna. Tyle że Surrony (nazwa marki przylgnęła do wszystkich urządzeń tego typu) to towar dla dzieciaków. Geometria pojazdów i ich rozmiary dostosowane są do dzieci w wieku od ośmiu lat, a najlepiej sprzedający się model: Surron Light Bee przeznaczony jest dla tych od 11 do 15 lat.

Nastolatki w jeździe Surronami szukają adrenaliny, bez oglądania się na zagrożenia, jakie stwarzają dla siebie i innych. Popisowe numery to np. jazda pomiędzy samochodami czy zjazd po schodach prowadzących do metra. Można je oglądać w internecie, bo nagrywanie i chwalenie się dokonaniami to połowa sznytu tej subkultury. Tak, zdecydowanie jest to już subkultura. I zarazem – nie tylko w Polsce – narastający problem. W Holandii policja zainwestowała w tzw. hamownie, na których można sprawdzić moc silnika – czytaj: udowodnić, że jest za duża, i pojazd skonfiskować. Ale już w nowych wersjach pojazdów moc silnika można ustawić w aplikacji. I w razie kontroli jednym kliknięciem zmienić ją na mieszczącą się w normach.

Zabawa z policją w kotka i myszkę, czyli „beka z bagiet", to ważny element surronowej subkultury. Najważniejszy jednak jest sprzęt. Do Surronów można kupić całe mnóstwo tzw. elementów indywidualizujących – na czym producenci zarabiają krocie. Jednak inwencja własna liczona jest razy dwa. Na jednym z filmików chłopak chwali się, że przykleił do skutera 88 tys. kryształków i teraz wygląda on jak od Swarovskiego.

I bez takich zabaw Surrony nie są tanie. Średnia cena to 15 tys. zł. Na chińskich portalach aukcyjnych można kupić je taniej, nawet dwa razy taniej, ale w razie jakichkolwiek problemów czy usterek klient zostaje z problemem sam. Stąd żniwa u dilerów, którzy sprzęt sprowadzają do Polski. W firmie Electric Studio w Gliwicach Surrona można dostać od ręki. – *Sprzedają się jak świeże bułeczki. To się na kontenery zamawia* – zachwala sprzedawca. Jednak przy pytaniach o homologację zaczynają się schody. – *Homologacji nie ma. No, ogólnie to do użytku w terenie* – kluczy nasz rozmówca.

Biorąc pod uwagę prawo o ruchu drogowym, większością z tych pojazdów nie można wyjechać poza własne podwórko. Surron jako pojazd silnikowy z założenia musi mieć homologację (dopuszczenie do ruchu), tablicę rejestracyjną (należy go więc zarejestrować), ubezpieczenie OC (każdy pojazd silnikowy musi je mieć!), a sam użytkownik powinien mieć co najmniej prawo jazdy kategorii AM (trzeba zrobić kurs, zdać egzamin i mieć minimum 14 lat). Tyle że w antysystemowej subkulturze takie podejście się nie mieści. Liczy się ostra jazda, zabawa i beka. A ostra jazda na takim skuterze to żaden problem. Producent reklamuje, że jeden z modeli do osiągnięcia prędkości 50 km/h potrzebuje zaledwie 1,84 sekundy – to wartość porównywalna z samochodem wyścigowym. Do rozpędzenia się do 90 km/h skutery potrzebują mniej niż 4 sekundy. To zasługa silników elektrycznych, którymi są napędzane. A że pracują bezgłośnie, trudno się dziwić, że piesi Surronów nienawidzą. Zwłaszcza kiedy przychodzi im z nimi dzielić chodnik.



Juliusz Ćwieluch – dziennikarz i reporter, szef działu społecznego POLITYKI oraz autor wideopodcastu „Rowery, nie bajki".

To, co starszych przeraża w tych maszynach, młodych chłopców zwyczajnie zachwyca. Ich ojcowie drżeli z ekstazy na motorynkach pony z Rometa, kiedy udało im się rozpędzić do 35 km/h. Kupując dziś synom Surrony, powinni mieć jednak z tyłu głowy, że w pakiecie jest również ryzyko kalectwa, bo liczba wypadków z ich udziałem – w tym śmiertelnych – rośnie równie szybko jak ich sprzedaż. A ucieczka przed policją jest przestępstwem, nie wykroczeniem.

W przypadku nieletnich odpowiedzialność ponoszą rodzice. Niedawno białostocka policja zatrzymała uciekającego przed nią na elektrycznym crossie 14-latka – bez uprawnień do jazdy. Matka nastolatka została ukarana mandatem w wysokości 5 tys. zł; sprawą zajmie się też sąd rodzinny. ■

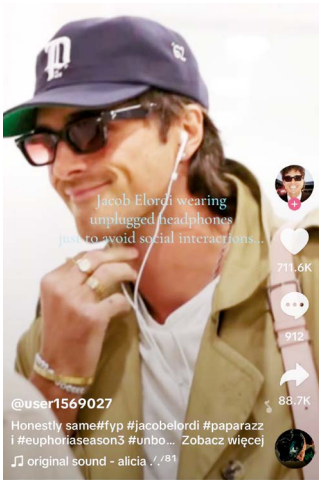
© INSTAGRAM.COM/WARSAWTERROR, LESZEK ZYCH, TIKTOK.COM/@USER1569027, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a53f7da89d

TECHNO

Kabelek zamiast pchełek

Bo nie trzeba ich ładować, a mam wrażenie, że moim życiem rządzą obecnie rzeczy wymagające ładowania. Bo Bluetooth to zaprzeczenie wygody, potrafi nieźle wkurzyć. Bo słuchawki z kablem trudniej zgubić. Bo jakość dźwięku jest lepsza. Bo nie lubię wyrzucać sprzętu tylko z powodu degradacji baterii. To najczęstsze argumenty osób, które rezygnują ze słuchawek bezprzewodowych i wracają do tych z kablem. A wrażenie, że takich osób na ulicach czy w autobusach widać coraz więcej, potwierdzają dane: po raz pierwszy od wielu lat sprzedaż takich urządzeń rośnie, i to w tempie dwucyfrowym.



„Używam słuchawek bluetoothowych do podkastów i filmików, na które nie patrzę. Ale mam osobne słuchawki do poważnego słuchania muzyki i do gier" – ten głos w serwisie Reddit polubiło kilkaset osób. Graczy do kabla zachęca nie tylko jakość dźwięku, chodzi także o brak jego opóźnienia względem obrazu. Niektórzy wciąż też nie ufają bezpieczeństwu technologii Bluetooth i obawiają się, że wielogodzinne wystawianie głowy na takie promieniowanie (zaznaczmy: wielokrotnie słabsze niż to emitowane przez telefony) może odbić się na stanie mózgu, choć żadne wiarygodne badania tych obaw nie popierają.

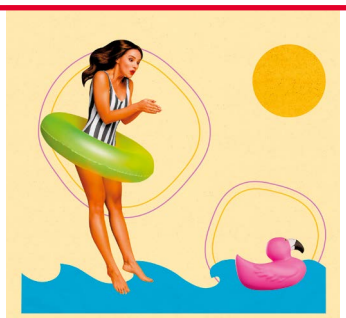
Powrót do kabli bywa też wpisywany w szerszy trend zwrotu przeciw nowym technologiom na czele z AI, na które szczególnie uczulone okazały się młode pokolenia. Inni uważają go za element mody na retro podobny do trwającego już półtorej dekady renesansu płyt winylowych. W każdym razie w słuchawkach z kablem ostentacyjnie pokazują się nawet takie sceniczne gwiazdy jak Ariana Grande i Charli XCX czy aktor **Jacob Elordi**.

Gdy dokładnie dziesięć lat temu Apple przestało instalować gniazda słuchawkowe w telefonach iPhone (ten brak w urządzeniach także innych producentów łatwo uzupełnić niedrogą przejściówką), miało to oznaczać ostateczny koniec epoki kabelków. Bluetooth obiecywał wolność, poczucie swobody. A praktyka? Baterie wysiadają w połowie piosenki, bezprzewodowe „pchełki" często się gubią, urządzenia nie zawsze chcą sparować się z telefonem. „Słuchawki przewodowe podłączasz i już" – powtarzają zwolennicy kabla. Niektórzy jednak podnoszą go do symbolu swojej relacji z muzyką: „Bycie podłączonym do urządzenia sprawia, że słuchanie wydaje mi się bardziej namacalne i intencjonalne".

MARIUSZ HERMA

SŁOWO

Makrowakacje



Gorące lato przyniosło cały pakiet neologizmów. Od *destination dupe* (czyli tańszych lub chłodniejszych alternatyw dla modnych destynacji), przez *coolcation* (czyli świadome wybieranie na wakacje chłodnych miejsc – jak Skandynawia), aż po tiktokowe trendy na makijaż *heat-proof* i *melt-proof* (czyli taki, który nie spłynie od gorąca). Jednak najstarsze dylematy pozostały aktualne: a co, jeśli urlop jest za krótki? To częste wrażenie, które w bardziej zaawansowanym wieku może oznaczać potrzebę dłuższej regeneracji sił, a w młodszym – wypalenie. Termin mikroemerytura – od ang. *micro-retirement* – ma być odpowiedzią na potrzeby tej drugiej grupy, czyli milenialsów, a nawet zetek, które na rynek pracy weszły niedawno, ale już to zmęczenie odczuwają.

„To nic innego jak przerwa w pewnych punktach życia zawodowego. Może trwać kilka tygodni, miesięcy, lat – to oczywiście zależy od możliwości danej osoby oraz, a może przede wszystkim, od sytuacji finansowej" – definiuje portal interia.pl. Nie musi to być wcale letnia przerwa. I nie musi oznaczać tylko wyjazdu – poza odpoczynkiem kojarzy się z resetem zawodowym, a nawet przebranżowieniem. Przede wszystkim jednak (jak pisał serwis Euronews) sygnalizuje fakt, że młodsi nie chcą czekać do emerytury na dalekie podróże. „National Geographic" cytuje sondaż przeprowadzony wśród 2 tys. Brytyjczyków, który pokazuje, że taka przerwa powinna wynosić od jednego do trzech miesięcy. „Prawie jedna trzecia (29 proc.) respondentów rozważa taki krok, a niemal połowa (48 proc.) chciałaby przeznaczyć ten czas na podróże" – czytamy. Brzmi to jak echo piosenki Wojciecha Młynarskiego z postulatem, żeby sfrustrowany słuchacz rzucił to wszystko: „I po prostu wyjedź w Bieszczady/ Tak jak rano jedzie się do biura".

To jednak wariant europejski. W Stanach Zjednoczonych zrozumiano rzecz inaczej. Amerykański magazyn „Fast Company" definiuje *micro-retirement* tak: „To robienie sobie jedno- lub dwutygodniowych przerw co 12 lub 18 miesięcy". I utrzymuje, że trend został wynaleziony przez generację Z. Na to internauci dodali ważną informację kontekstową: „W ten sposób definiuje się wakacje, które nie zostały wprowadzone przez generację Z". Słusznie. Byle tylko zostały prawem, a nie przymusem – bo w środowiskach przestępczych „wczasy" to już krótka odsiadka.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl a53f7da89d



CZARNOGÓRA: bałkańskie rozdroże

1

Ten kraj to kwintesencja bałkańskości rozumianej jako skrzyżowanie cywilizacji. Jest wieloreligijny i multietniczny, rozpięty między dzikimi górami i Adriatykiem. A rozmaite pęknięcia są tu nieustannie widoczne.



Aleksandra Wojtaszek – bałkanistka, dziennikarka i tłumaczka, doktor literaturoznawstwa. Autorka monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa" oraz zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację". Laureatka m.in. Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO i Nagrody Europejski Poeta Wolności.

Swój letni pobyt w Czarnogórze zaczynam odświętnie: od Dnia Państwowości, obchodzonego na pamiątkę wybuchu powstania z 1941 r. przeciwko faszystowskim Włochom. Jean-Paul Sartre zaliczył ten zryw do największych dokonań tradycji wolnościowej XX w. Było to jedno z pierwszych masowych powstań przeciwko państwom Osi w okupowanej Europie, a walczyła w nim przede wszystkim młodzież – połowa powstańców miała mniej niż 23 lata. Włochom po wielkiej kontrofensywie udało się je stłumić, ale partyzantka działała do końca wojny, a siedmiu na ośmiu powstańców nie doczekało wyzwolenia.

Współczesna Czarnogóra jest ze swojej antyfaszystowskiej tradycji dumna, rocznicę wybuchu zrywu obchodzi dwudniowym świętem, które wprawia turystów w zakłopotanie, bo w środku sezonu nagle sklepy są zamknięte na głucho. Kiedy kraj odłączył się od Serbii równo 20 lat temu, rozpoczęło się przywracanie i tworzenie nowych tradycji. Czarnogórcy szczycą się swoją walecznością i umiłowaniem wolności – chociażby tym, że w przeciwieństwie do sąsiadów nigdy nie zostali podbici przez Turków. To prawda, choć powód jest dość prozaiczny: Czarnogórcy po inwazji wycofali się w wysokie góry i tam założyli swoją stolicę, Cetynię. Osmanom zasadniczo nie opłacało się walczyć o nieurodzajne skały, ale prawdą jest też, że bitni górale zgromadzeni w rodowych klanach nieraz dawali im popalić.

Dziś dawna stolica Cetynia to „historyczne centrum" – niewielkie urocze miasteczko pełne kawiarni, muzeów i ambasad. Położone zaledwie pół godziny jazdy od tętniącej hałasem i pełnej turystów **Budvy** (2), najbardziej kiczowatego miasta na czarnogórskim wybrzeżu, które upodobali sobie Rosjanie. Stolicą republiki Czarnogóry stała się Podgorica, do lat 90. zwana Titogradem na cześć jugosłowiańskiego wodza Josipa Broza Tity. Choć to miasto o długiej historii, trudno tu o zabytki – zniszczona doszczętnie przez alianckie naloty, odbudowana została od zera za czasów socjalistycznej Jugosławii. Dziś to administracyjne, przemysłowe i kulturalne centrum kraju pozostaje miejscem do zwiedzania dla koneserów: miłośników brutalizmu i jugosłowiańskiego modernizmu, wielbicieli raczej tego, co interesujące niż w oczywisty sposób piękne. W dodatku, ze względu na specyficzne

eprasa.pl a53f7da89d

położenie, Podgorica jest jednym z najgorętszych miast w okolicy. Przed nastaniem klimatyzacji jej mieszkańcy, żeby przetrwać upalne noce, owijali się w mokre prześcieradła.

Podgorica, w sezonie skomunikowana lotniczo choćby z Krakowem, jest dobrą bazą wypadową do innych miejsc kraju: nad pobliskie Jezioro Szkoderskie, nad morze albo w góry – Durmitor ze swoim słynnym kanionem Tary czy położone na trójstyku Czarnogóry, Albanii i Kosowa Góry Przeklęte. Choć niewielka, Czarnogóra składa się z wyraźnie odmiennych regionów. Zachodnia część wybrzeża to tzw. **Boka Kotorska** (1), nazywana najbardziej na południe wysuniętym fiordem Europy. Jej mieszkańcy uchodzą za nowoczesnych, a stare miasta, wśród nich nieustępujący Dubrownikowi Kotor, pełne są historycznych miejsc. Reprezentują one śródziemnomorski komponent miejscowej tradycji i przypominają o weneckim panowaniu nad tymi terenami.

Centrum kraju to ostoja czarnogórskości. A nie jest to wcale tak oczywiste, ponieważ według ostatniego spisu powszechnego Czarnogórcy stanowią 41 proc., a Serbowie 33 proc. ludności. To napięcie między czarnogórskością a serbskością wyznacza oś większości przeszłych i współczesnych zmagań tego państwa. Czarnogórcy i Serbowie są prawosławni i posługują się właściwie tym samym językiem. Historie obu krajów nieraz się przeplatały, naznaczone są też przez trwające do dziś migracje. Problematyczny jest fakt, że część Serbów nie uznaje czarnogórskości za w pełni odrębną tożsamość. Z obu stron padają wyzwiska: *Montenegrini* – mówią pogardliwie o Czarnogórcach Serbowie, twierdząc, że istnienie tego narodu jest kwestią zachodniej inżynierii i doraźnych interesów politycznych. *Poserbeńcy* – odgryzają się Czarnogórcy, sugerując, że tak jak pod wpływem Osmanów Słowianie przechodzili na islam (obraźliwie nazywano ich Poturczeńcami), tak z powodu nacisków Belgradu Czarnogórcy stają się Serbami.



2

A jest jeszcze Sandżak – region na pograniczu serbsko-czarnogórskim, który zamieszkują w większości muzułmanie. Islam w Czarnogórze wyznaje jedna piąta ludności. Sporą mniejszością są też Albańczycy, liczni zwłaszcza w regionach przygranicznych, choćby w lubianym przez turystów nadmorskim Ulcinju – mieście z długą historią oraz wenecką twierdzą, będącą niegdyś gniazdem piratów pływających po Morzu Śródziemnym, w której – jak głosi legenda – więziony był sam Miguel de Cervantes. Dziś miasto jest żywe i chaotyczne, a wrażenie orientalnej atmosfery potęguje rozlegające się pięć razy dziennie z miejskich meczetów wezwanie na modlitwę.

Czarnogóra, choć często postrzegana przez pryzmat patriarchatu i archaicznych zwyczajów funkcjonujących w tutejszym społeczeństwie, w kwestiach prawodawstwa bywa zaskakująco progresywna. Przykładowo, ustawa o parach jednopłciowych gwarantuje im takie same prawa jak parom różnopłciowym z wyjątkiem możliwości adopcji dzieci. Prawo obowiązuje także obcokrajowców, co oznacza, że polska homoseksualna para może wziąć w Czarnogórze ślub. Za zmianami prawnymi niekoniecznie nadążają jednak kwestie obyczajowe. Wciąż problematyczna pozostaje sprawa dziedziczenia majątków przez kobiety: w wielu miejscach oczekuje się, że siostra zrzeknie się spadku na rzecz braci, aby ziemia i nieruchomości pozostały w rodzinie. Kobieta to przecież „cudza kolacja" – przechodzi do innego domu, przyjmuje inne nazwisko. Najbardziej drastycznym przykładem myślenia w kategoriach rodu i plemienia pozostaje aborcja selektywna, której Czarnogóra jest niechlubnym liderem w Europie.

Jednocześnie czarnogórski nacjonalizm bywa określany jako progresywny. W przeciwieństwie do ekspansyjnego nacjonalizmu serbskiego czy izolacjonistycznego chorwackiego. Jest to związane z głównym aktorem czarnogórskiego życia politycznego ostatniego ćwierćwiecza, Milem Đukanoviciem. Choć początkowo popierał nie tylko związek państwowy Serbii i Czarnogóry, ale także politykę Slobodana Miloševicia, pod koniec lat 90. zmienił radykalnie kurs i stał się jednym z głównych architektów czarnogórsko-serbskiego rozwodu z 2006 r. Skierował on Czarnogórę na prozachodni kurs, czego efektem było chociażby przyłączenie się do NATO. Lansował przy tym wizję czarnogórskości, która wyrasta poza kategorie etniczne – jest państwem obywatelskim, w którym wszyscy traktowani są na równi, jeśli tylko chcą żyć i działać dla wspólnoty. Sam jednak niekoniecznie dorastał do tych ideałów. Podczas gdy wielu obywateli kraju cierpiało niedostatek, budował swoje królestwo politycznych wpływów i ogromnych pieniędzy. Ostatecznie przecenił swoje siły i zadarł ze zbyt silnym przeciwnikiem: kilka lat temu jego rządom kres przyniósł konflikt z Serbską Cerkwią Prawosławną, która zmobilizowała do protestów wyznawców, a także obywateli zmęczonych dotychczasowymi układami.

Od tego czasu konflikty polityczne i społeczne w Czarnogórze wydają się przybierać na sile. Jedno pozostaje jednak niezmienne – Czarnogóra jest zdecydowana, aby stać się 28. państwem członkowskim UE. Plan ten popiera ponad trzy czwarte obywateli. Spośród wszystkich państw Bałkanów Zachodnich to Czarnogóra jest najbardziej zaawansowana na drodze do członkostwa w Unii – otworzyła już wszystkie 33 rozdziały negocjacyjne, a 18 z nich zostało zamkniętych. Choć jeszcze niedawno wydawało się to mało prawdopodobne, wygląda na to, że kraj ten samotnie dołączy do wspólnoty w 2028 r.

Niezależne instytucje zwracają jednak uwagę, że odfajkowywanie kolejnych zobowiązań niekoniecznie łączy się z rozwiązywaniem systemowych problemów kraju, choćby widocznymi tu na każdym kroku nepotyzmem i korupcją. Wierzą jednak, że przynależność do Unii pomoże walczyć z nieprawidłowościami. Być może wtedy po przekroczeniu granicy policjanci nie będą mnie zatrzymywać pod dowolnym pretekstem – którego efektem jest zazwyczaj 10 albo 20 euro „na kawę". ■

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, ANDREY RUDAKOV/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl a53f7da89d

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Kreml ma zgryz

Co czeka Rosję w najbliższych tygodniach i latach? **„Wokół Putina zrobił się ferment" – mówi Anna Maria Dyner (PISM)**, którą gościmy w podkaście „Polskie demo". Analizujemy sytuację na Kremlu przed wyborami (już we wrześniu), wyjaśniamy, jak wygląda wojna kognitywna w różnych krajach Europy, rozstrzygamy też ostatecznie, czy plecak ewakuacyjny to fanaberia, czy wyższa konieczność. Warto posłuchać.



Elon nas nie lubi

Elon Musk na krótko wykreślił Polskę z mapy Europy, uznając, że dostęp do internetu satelitarnego Starlink nam się nie należy. Wybuchła afera, minister Sikorski pogroził Muskowi na platformie X, decyzja została cofnięta. **„Cała ta sprawa pokazuje po raz kolejny, jak Europa uzależniona jest od USA" – pisze na polityka.pl Adam Grzeszak i tłumaczy, co robić, żebyśmy nie byli tak zależni od kaprysów Muska.**



Zielona Złota

Po ponad dwóch latach prac ulica Złota w Warszawie zmieniła się nie do poznania. Zamiast betonowego parkingu jest przyjemny deptak z zielenią. **„We Wrocławiu czy Krakowie rynek wytyczono w XIII w., a w Warszawie w XXI w. zdefiniowano nowe centrum miasta. Być może to sprawa właśnie tego kalibru" – śmieje się Kuba Snopek, urbanista i badacz architektury.** A co myślą sami Warszawiacy? O tym na polityka.pl.



Czy piosenka wyszła z wojska?

„Chociaż zbroimy się na potęgę, to nie próbujemy już budować wokół wojska opowieści kulturalnej" – pisze przy okazji defilady Bartek Chaciński i w żołnierskich słowach wyjaśnia, dlaczego w Polsce zanika nurt pieśni militarnej i patriotycznej. Pozostał nam co najwyżej język militarystyczny. „Tak właśnie, dziewczyno, weź sprawdź mnie/ Wlecę ci w d... moim złotym F-16", rapował Smarki Smark. Nie brzmi dumnie.



Klątwa faraonów

Kto umieszczał napisy na grobowcach, które miały być magiczną bronią i psychologicznym odstraszaczem? **Jak to było ze zgonami po otwarciu grobowca Tutanchamona? I czy klątwa Jagiellonów naprawdę działała? To wszystko objaśnia ze znawstwem egiptolog dr Filip Taterka z PAN w naszym podkaście historycznym.** Jak mówi, ludzie ciągle wierzą w klątwy. Tylko demony i złe uroki zamienili na inne straszaki.

© ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK, ZDM WARSZAWA, LUCA MATTIA VIGILANTE/FORUM, LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl a53f7da89d

POD ZNAKIEM MENORY



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl a53f7da89d

Albatros travel

Albatros 40 lat



Pełne wyżywienie na statku



Kanał Panamski

Rejs z Miami do Los Angeles

Popłyń we wspaniały rejs z Florydy do Los Angeles przez Kanał Panamski i klimatyczne, kolonialne miasta Ameryki Łacińskiej.

Wyrusz z nami z Florydy przez Karaiby, Kanał Panamski, Amerykę Środkową i pacyficzne wybrzeże Meksyku aż do Kalifornii. Odkryjemy fascynujące kultury, kolonialne miasta, tropikalne krajobrazy i rajskie plaże. Przepłyniemy przez 80-kilometrowy Kanał Panamski, odwiedzimy Cartagenę, Antiguę i Panama City oraz plantację kawy w Kostaryce. Czekają nas także relaksujące dni na morzu i ciekawe wycieczki fakultatywne.

18 dni | Wylot z Warszawy 20/04 2027 | od 18.498,-







W poszukiwaniu Tajemnic Majów – od Panamy do Gwatemali

Jedna wyprawa – moc atrakcji! Zwiedzanie Panamy, Kostaryki, Hondurasu, Salwadoru, Nikaragui i Gwatemali. Piękno przyrody i fascynująca cywilizacja Majów.

6 krajów połączyliśmy w jedną niezwykłą podróż. Odkryjemy Kanał Panamski, Panama City i rajskie plaże Bocas del Toro. W Kostaryce przemierzymy dżunglę, podziwiając wulkan Arenal i relaksując się w gorących źródłach. Poznamy urokliwe, kolonialne miasta: Grenadę i Leon w Nikaragui oraz Antiguę, a także kulturę Majów w Salwadorze, Hondurasie i Gwatemali, odwiedzając zagubione w dżungli zespoły miejskie Copán i Tikal, wpisane na listę UNESCO.

21 dni | Wyloty z Warszawy i Krakowa 14/11 2026, 13/03 2027

od 27.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL31**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl a53f7da89d